wyborcza
KSIĄŻKI
DODATEK SPECJALNY

- **Jane Austen nadal w modzie**
- **Starość** - wielki temat sztuki
- **Dlaczego piosenki z lat 80.** opisują rok 2025

WYSOKIE OBCASY

We wszystkim jest mi do twarzy
Co będziemy nosić wiosną i latem

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Rafał Trzaskowski w osobistej rozmowie o rodzicach, dorastaniu i książkach

Ja, Czaskoski

▸14

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 13>

„Wyglądamy na bogatych".
Dlaczego wszyscy latają do Dubaju ▸30

Była wódka, wino, zakąski
Jak Sowieci schwytali przywódców podziemia ▸40

Żyć jak księżna
Meghan Markle uśmiecha się do sałaty ▸34

Sobota–czwartek, 29 marca – 3 kwietnia 2025 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 74.10871 Nakład 80 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl a3741fa136

Agnieszka Kublik

Dobrze jest wisieć na płocie

Jarosław Kaczyński utrudnił sobie życie partyjne. A niby taki geniusz. Najpierw pouczał, że Nawrocki to kandydat obywatelski, a nie żaden tam pisowski. Teraz chce, żeby mu wierzyli, że ich od początku okłamywał, bo Nawrocki jest pisowski, a nie żaden tam obywatelski.

Podlaska wieś. Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. plakaty PiS wisiały wszędzie – przy banku, Biedronce, na przystanku, przy paczkomacie, na balkonach i płotach.

W wyborach parlamentarnych 15 października 2023 r. PiS wygrał – 35,38 proc. Stracił władzę, bo nie miał zdolności koalicyjnych. W tej wsi na Podlasiu partia Kaczyńskiego zgarnęła 53 proc. KO – 13.

Teraz rzuca się w oczy brak plakatów. Parę z Trzaskowskim, mniej z Nawrockim. Żadnego z Mentzenem. – Kiepsko tu z plakatami Nawrockiego – zagajam w sklepie – PiS tu nie agituje?

A to Nawrocki to nie jest kandydat obywatelski, znaczy Koalicji Obywatelskiej? – słyszę na Podlasiu

– A czemu PiS? A to Nawrocki to nie jest kandydat obywatelski, znaczy Koalicji Obywatelskiej?

Szeroko otwieram oczy, bo myślałam, że gdzie jak gdzie, ale na Podlasiu to pisowskiego kandydata rozpoznają bezbłędnie. I nigdy nie pomylą go z Trzaskowskim. Więc pytam sąsiada: – A Nawrocki to czyj kandydat?

– Eee, hm, z Konfederacji?

– A Braun? On jest z Konfederacji.

– To mi się coś pochrzaniło.

W sklepie naszej rozmowie przysłuchuje się tutejszy kominiarz. – Ja tam tym razem płotu nie dam, żadnemu zresztą, one wszystkie te kandydaty jednakie. Pani wie...zawsze chcą dawać, a potem wszystkie zabierają. I kradną, jak się okazuje.

Czyli tu jakieś informacje o pisowskich aferach się jakoś przebiły. Zmienią wieloletni trend? W wyborach prezydenckich w latach 2015 i 2020 Andrzej Duda triumfował z wynikiem ponad 70 proc.

Wygląda, jakby nie było chętnych do dekorowania płotów i balkonów. Słusznie Kaczyński drży, że Nawrocki może nie być kojarzony z PiS-em. Notowania ma niższe niż partia.

Wedle najnowszego sondażu pracowni Opinia24, gdyby w II turze spotkali się Trzaskowski z Nawrockim, to ten pierwszy wygrywa z poparciem 52,4 proc., Nawrocki dostaje 37,6 proc.

Trzaskowski wygrywa w prawie wszystkich grupach wiekowych. Na wsi przegrywa z Nawrockim nieznacznie – 40:44.

Gdyby Nawrocki spadł na trzecie miejsce, Trzaskowski dostałby 50,6 proc., a Mentzen – 42,1. Czyli dla Trzaskowskiego korzystniej spotkać się w II turze z Nawrockim.

Kandydat Konfederacji wśród najmłodszych wyborców (18-24 lata) ma nawet blisko dwa razy wyższe poparcie niż Trzaskowski. I wygrałby na wsi. Czyli Trzaskowskiemu dobrze zrobi, jak go powieszą na wiejskich płotach. ●

Londyn
Prawie jak marmury Elgina

FOT. REUTERS/ISABEL INFANTES

Tuż przed otwarciem wystawy „Plusk! Stulecie pływania i mody plażowej”) pracownicy Design Museum podziwiają słynny kostium Pameli Anderson ze „Słonecznego Patrolu” – serialu, który na początku lat 90. odmienił telewizyjną rozrywkę, a samą Anderson uczynił symbolem uprzedmiotowienia kobiet, prymitywnej seksualizacji popkultury, kiczu, tandety amerykańskiego show biznesu, a po latach – również feminizmu.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Deep Sea Cable Cutter
Wszyscy (zachodni) abonenci będą niedostępni

Chiny zaprezentowały kompaktowe urządzenie do przecinania kabli podmorskich. Pierwszy raz jakiś kraj przyznał, że może zakłócać podmorskie linie komunikacyjne lub energetyczne.

Robot z Państwowego Laboratorium Głębinowych Pojazdów Załogowych może działać na głębokości 4 tys. metrów – dwa razy większej niż maksymalny zasięg istniejącej podmorskiej infrastruktury. Poradzi sobie z kablami pokrytymi stalą, gumą i osłonami polimerowymi, jakie służą do przesyłu 95 proc. globalnej transmisji danych.

Obudowa z tytanu, uszczelki z kompensacją oleju zapobiegające implozji wskutek olbrzymiego ciśnienia, diamentowa tarcza wirująca z prędkością 1600 obrotów na minutę, która mimo to nie podnosi osadów morskich – zespół inżyniera Hu Haolonga jest dumny z rozwiązania poważnych problemów technicznych w warunkach, które panują na dużych głębokościach.

FOT. GETTY IMAGES/MINT IMAGES RF

Chińscy naukowcy twierdzą, że przecinak ma służyć w górnictwie morskim i ratownictwie. Ale anglojęzyczna gazeta „South China Morning Post” przyznaje, że maszyna „może wywołać alarm w innych krajach” i rozważa konsekwencje jej użycia w pobliżu strategicznych punktów, jak np. baza USA na Guam.

A w lutym Chiny poinformowały o rozpoczęciu budowy stacji na głębokości 2 tys. metrów na dnie Morza Południowochińskiego. Pomieści co najmniej sześć osób, które mają badać złoża hydratów metanu, będących potencjalnym źródłem energii. ●

Robert Stefanicki

Andrzej rysuje

Cytat dnia

Był kluczową postacią, wyniósł firmę do skali światowej

WSPÓŁPRACOWNIK PO ŚMIERCI HAN JONG-HEE

Dyrektor generalny Samsunga zmarł na zawał, podobnie jak wcześniej Lee Kun-hee, legendarny prezes koreańskiego giganta

www.nekrologi.wyborcza.pl/34369086

Z głębokim żalem żegnamy

prof. Łukasza Turskiego

– jednego z twórców Centrum Nauki Kopernik

i wieloletniego przewodniczącego naszej rady programowej.

Jego odwaga, siła, determinacja i entuzjazm były dla nas ogromnym oparciem.

Panie profesorze, będzie nam Pana bardzo brakować.

Rada Programowa, Dyrekcja oraz Zespół Centrum Nauki Kopernik

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Bezpieczeństwo i obronność to wspólna sprawa

Kobiecie do twarzy z karabinem

A jeszcze bardziej z oficerskimi pagonami. Ale choć patriarchat odchodzi do lamusa – to nie w myśleniu o wojsku

Jakubowska

Gdy wiele problemów dzieli Polaków, bezpieczeństwo kraju jest tym, co nas łączy. Istnieje zgodność ponad podziałami – chcemy żyć w kraju bezpiecznym. Stąd bardzo wysokie i rosnące wydatki na zbrojenia nie są na ogół kwestionowane, a poparcie dla nich deklaruje trzy czwarte społeczeństwa (75 proc.).

Przekonanie, że polska armia jest zbyt mała i niewystarczająco przygotowana również nie budzi kontrowersji. Polki i Polacy są świadomi braków i wieloletnich zaniedbań w kształtowaniu zdolności obronnych. Z sondażu IBRiS wynika, że dziś, ponad połowa badanych (54 proc.) pozytywnie ocenia działania rządu i MON na rzecz unowocześnienia wojska; przeciwne zdania ma 30 proc. respondentów.

Badanie podkreśla, że dla wielu osób istotne jest, aby zakupy uzbrojenia wiązały się z utrzymaniem i tworzeniem nowych miejsc pracy (44 proc.) i zwiększeniem innowacyjności polskiej gospodarki (40 proc.; wzrost z 25 proc. względem 2015 r.). Istotne jest też zaangażowanie polskich jednostek naukowych w projekty obronne (38 proc.). Jednocześnie badani deklarują – znowu nadzwyczaj zgodnie – chęć zaangażowania w obronę kraju. I ten pozytywny moment należy wykorzystać.

•

W marcu premier ogłosił to, co jeszcze kilka miesięcy temu było tematem, który mógł przynieść szkody trwającej kampanii wyborczej – obligatoryjne szkolenia obronne. Skierował je li tylko do mężczyzn, nadmieniając, że trwają „prace przygotowujące na wielką skalę szkolenia wojskowego każdego dorosłego mężczyzny w Polsce". Dodał: „Kobiety też, ale wiadomo – wojna to jednak ciągle w większym stopniu domena mężczyzn".

I tutaj należy się fundamentalnie z premierem nie zgodzić. Abstrahując od patriarchalnego języka, którego w dzisiejszej Europie zbudowanej na wartościach demokracji i równości używać się nie godzi, to wszelkie statystyki, a przede wszystkim same potrzeby obronnościowe wymagają wysokiego udziału kobiet, stanowiących ponad połowę społeczeństwa. W tym również pod względem kadry wykwalifikowanej. Kobietom trzeba więc umożliwić szkolenia i dalszą karierę w wojsku. Niełatwo będzie szybko nadrobić ich udział, ale brak sukcesywnej pracy włączającej zasilanie rosnącej armii nie tylko mężczyznami nie wyjdzie na dobre równowadze społecznej.

Podczas gdy pobór i szkolenia wojskowe zawieszono w krajach postkomunistycznych na początku XXI wieku, zbliżające się zagrożenie wojną w regionie, kryzys demograficzny i obecny stan wyszkolonego personelu wojskowego, a także niski udział kobiet w wojsku w Europie Środkowej, wraz z ograniczoną edukacją obywatelską, wskazują, że ogólne przygotowanie wymaga poprawy, włączenia i zaangażowania „kobiecej optyki", jak proponują Weronika Grzebalska i Małgorzata Kopka-Piątek w artykule „Odporność i obronność to wspólna sprawa. Potrzebujemy nowego kontraktu płci – na wczoraj" opublikowanym przez Krytykę Polityczną.

• **Ceremonia złożenia przysięgi wojskowej w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu (19.10.2024)** FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Zanim przyjrzymy się liczbom, należy mieć też świadomość, że nie można dłużej wykluczać kobiet z dyskusji o bezpieczeństwie. Bezpieczeństwo i wojna dotyczą każdego – wojna wpływa na bezpieczeństwo, a gdy trwa, cierpią wszyscy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, niezależnie od funkcji jakie pełnią. I także kobiety – pracujące zawodowo, matki, uczestniczki życia publicznego – winny być świadome zagrożeń, mieć wiedzę z zakresu obrony cywilnej, podstawowych zachowań w sytuacji kryzysowej oraz rozumieć swoją potencjalną rolę.

Na stronie Parlamentu Europejskiego czytamy, że biała księga Komisji Europejskiej w sprawie europejskiej obronności „powinna zawierać konkretne propozycje dla Rady Europejskiej, aby umożliwić »prawdziwie przełomowe wysiłki« i »działania zbliżone do tych z czasów wojny«, stwierdzili posłowie z zadowoleniem przyjmując ostatnio przedstawiony plan ReArm". „W tym kontekście Parlament podkreśla, że wysiłki obronne UE »nie mogą pozostać ograniczone pod względem wielkości, rozdrobnione pod względem zakresu i długotrwałe w realizacji«. Posłowie domagają się zwiększenia wysiłków w dziedzinie wojskowości, ale także w sektorze przemysłowym, technologicznym i wywiadowczym".

Propozycja Tuska jest więc w punkt, ale marginalizuje dużą część odbiorców i odbiorczyń. Gotowość do obrony które analizują Wojciech Przybylski i Goran Buldioski (49 proc. Polaków, 23 proc. Niemców, 33 proc. Brytyjczyków, 41 proc. w USA byłoby gotowych bronić kraju, gdyby został zaatakowany), sprawia że „przywódcy centrowych partii politycznych zaczynają rozumieć, że coś z tym muszą zrobić".

•

Gorąca debata przetaczająca się przez polskie media i domy skupia się na tradycjach, podziałach ról, zaangażowaniu czasowym, co w dużej mierze pogłębia tylko patriarchalne schematy i stereotypowe role społeczne, które w wielu innych dziedzinach odchodzą w Polsce i Europie do lamusa. Szkoda, że narracja potoczyła się w ten sposób, bo gdy więcej dowiadujemy się o programach szkoleń, okazuje się, że nie zabierają czasu dla rodziny i nie będą wymagały bezpłatnych urlopów – można więc było budować, a nie dzielić, ponieważ niewątpliwie zaangażowanie wszystkich obywateli (ang. *whole of society approach, defense as public good*) jest konieczne.

Bezpieczeństwo też tworzą kobiety, a ich rola jest kluczowa i może bardzo różnić się od tego, jak wyobraża ją sobie wiele osób. Zaangażowanie kobiet w sektorze obronnym było zaniedbywane, a ich role są tradycyjnie postrzegane w środowiskach niemilitarnych. Różnorodność kobiet, torujących w sektorze swoje ścieżki kariery, może stanowić inspirację dla przyszłych pokoleń lub osób pracujących w różnych sektorach na wszystkich szczeblach, które nie dostrzegają znaczenia bezpieczeństwa w tym szerszym kontekście.

Teraz liczby. Stale malejący przyrost naturalny i niewystarczająca ilość osób do pracy będzie się jedynie pogłębiać, a przesuwanie sił gospodarczych w stronę bezpieczeństwa (ze wspomnianego już sondażu IBRiS wynika, że takie są oczekiwania społeczne) sprawi, że wszelkie zasoby osobowe i specjalności okażą się potrzebne. Im wcześniej je przystosujemy i wykształcimy, tym lepiej.

•

Rząd planuje armię składającą się z 500 tys. osób (obecnie to nieco ponad 200 tys.), a mężczyzn w wieku produkcyjnym (18-59 lat) jest około 10 milionów – zatem około 4-5 proc. z nich zasili armię. Niby niewiele, ale porównajmy sobie to do bezrobotnych w Polsce, których jest ok. 800 tys. To dużo czy mało? Na pewno zauważalnie. Zwiększenie armii oznacza, że co dwudziesty mężczyzna będzie w niej zatrudniony, a nie jak dotychczas co pięćdziesiąty. To dużo czy mało? Na pewno zauważalnie.

O 147 tys. stałych mieszkańców zmniejszyła się Polska w ciągu roku 2024. To jakby ubyło średniej wielkości miasto: Bytom lub Zielona Góra. A w tej dekadzie ubyło już 893 tys. stałych mieszkańców – to tak, jakby zniknął Kraków, czy Wrocław.

Polska ludność z 38,53 mln w 2010 r. zmniejszyła się do 37,63 mln pod koniec 2023 r. A będziemy obserwowali następne spadki. Od 2010 roku odsetek grupy osób w wieku produkcyjnym obniża się i w 2023 r. osiągnął poziom 58,4 proc. Wielkość tej populacji wyniosła prawie 22 mln – o 184 tys. mniej niż rok wcześniej. Wynika to z procesu przesuwania się do grupy wieku poprodukcyjnego roczników osób urodzonych w latach 60. oraz coraz mniejszej liczebności 18-latków zasilających wiek produkcyjny.

W kolejnych latach będzie ubywać osób pracujących i nie będzie komu ich zastąpić. Ta luka każdego roku wyniesie średnio ok. 100 tys. pracowników. A jeszcze 300 tys. osób chcemy włączyć w pracę na rzecz obronności. Jeśli więc nie wykorzystamy specjalistów – kobiet i mężczyzn – i nie poszerzymy rynku pracy w obronie, to system zapadnie się sam lub będziemy musieli masowo udostępniać pracę migrantom.

•

Nawet jeśli społeczeństwa nie są na to gotowe, włączenie kobiet przynajmniej do podstawowego poziomu szkolenia powinno być teraz priorytetem dla kierownictwa sił zbrojnych, ponieważ w czasach wojny kobiety będą w równym stopniu dzielić jej ciężary i będą równą częścią tego przerażającego obrazu – albo na linii frontu, albo jako pomocnice.

Także demografia pokazuje, że zasób męskiej kadry nie jest wystarczający, aby profesjonalizować armię bez udziału kobiet, które stanowią połowę osób w wieku produkcyjnym, ale mają lepsze wykształcenie. Dlatego role w siłach zbrojnych – podobnie jak w innych zawodach – powinny być określane na podstawie zdolności i wykształcenia, a nie płci czy roli społecznej. A kobiety powinny mieć równy dostęp do ofert pracy i współtworzyć na równych zasadach przyszłe struktury obronne.

Na dziś, udział kobiet w służbie wojskowej w krajach Europy Środkowej waha się od 7 proc. w Polsce do 20 proc. na Węgrzech. Polska dąży do więcej niż podwojenia swojego zasobu osobowego zdolnego do obrony, aby potencjał sięgnął wspomnianych 500 tysięcy. Czy da się to zrobić bez kobiet?

Warto zrobić przegląd i ocenić, w jaki sposób możliwe jest włączenie kobiet i w jakich dziedzinach zwiększy to zdolności obronne. Na podstawie takiej analizy należy wprowadzić nabór do armii i programowanie, aby osiągnąć minimalny próg 30 proc. kobiet w armii – podobnie jak w biznesie. Taki próg umożliwi zarówno równy dostęp, jak i uzupełnienie niedoborów kadrowych.

Należy też wykluczyć patriarchalne myślenie oraz wprowadzić kobiety na pozycje kierownicze, aby łatwiej było zmniejszać ich trudności w znalezieniu swojego miejsca w zawodowej służbie wojskowej – m.in. poprzez niwelowanie braków programów szkoleniowych i obiektów obecnie przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn, zmianę postrzegania ról społecznych i eliminację nękania.

Bez holistycznego i odpowiedzialnego podejścia rządu (również w kwestii używanego języka) nie będzie możliwe przygotowanie całości społeczeństwa na wyzwania bezpieczeństwa. Niechęć i wykluczenie przyniosą tylko złe efekty społeczne, a na dłuższą metę brak poszanowania uniwersalnych zasad wolności, solidarnej obrony i sprawiedliwości. ● **Magda Jakubowska**

• **Magda Jakubowska** – wiceprezeska i dyrektorka operacyjna Fundacji Res Publica

eprasa.pl a3741fa136

TEMAT NUMERU

KSIĄŻKI *jak* THERMOMIX?

Na rynku książki jest zbyt dużo tajemnic, klauzul, manipulacji. Pisanie to trudny zawód, wymagający wytrzymałości psychicznej i fizycznej.

Z **INGĄ IWASIÓW**, LITERATUROZNAWCZYNIĄ I PISARKĄ ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

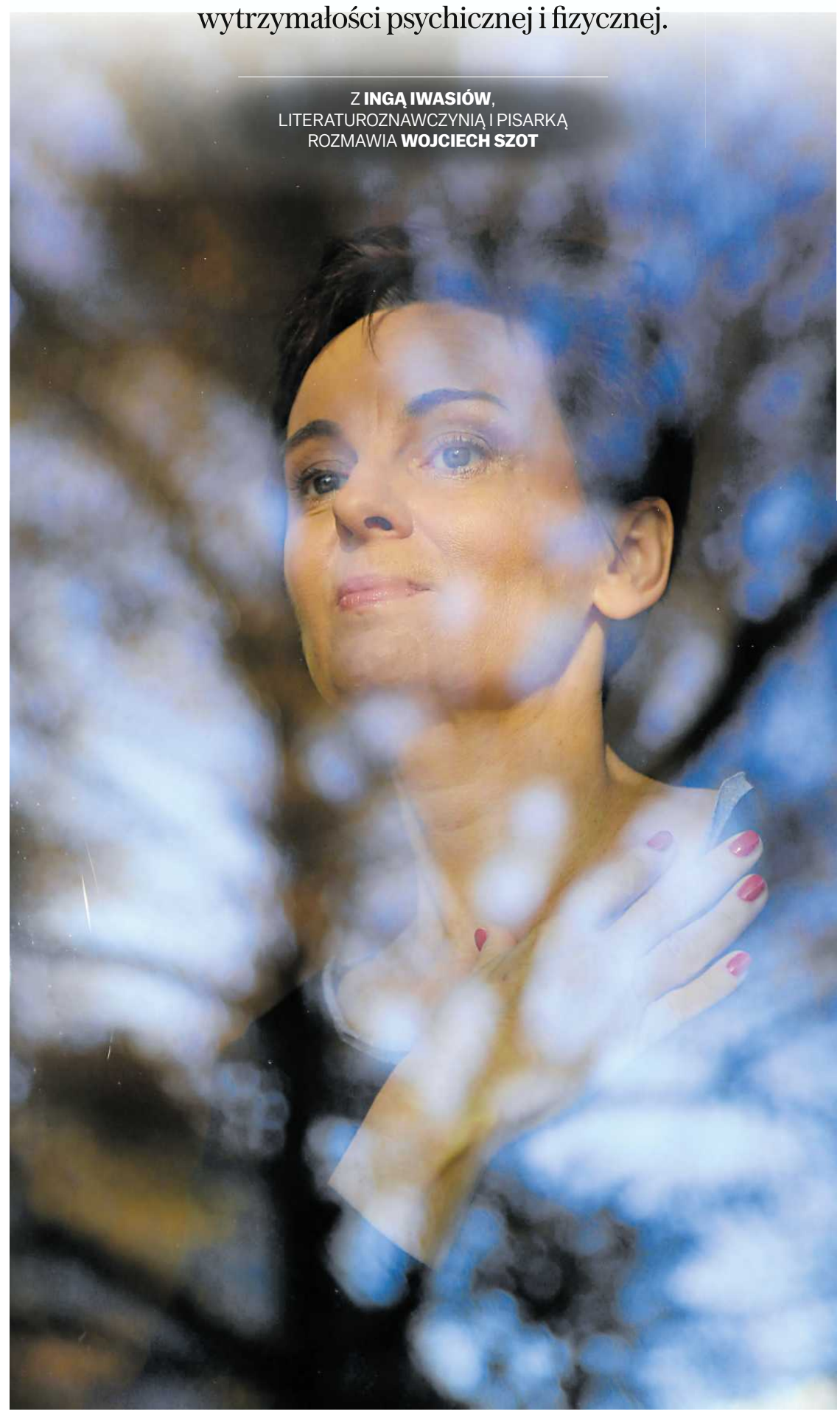

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

WOJCIECH SZOT: W 2008 roku w Świecie Książki, wtedy jednym z potentatów, wychodzi „Bambino", pani pierwsza powieść. Pamięta pani swoje negocjacje?

INGA IWASIÓW: To było raczej dostąpienie zaszczytu podpisania umowy, nie negocjacje. Przeskakiwałam ze świata małych firm osadzonych przy domach kultury, publikujących tomy wierszy lokalnych poetów, w sam środek rozpędzonego biznesu z kapitałem zagranicznym. Wierzyłam mojemu wydawcy, był to człowiek bardzo mi życzliwy i nie sądzę, by chciał mnie wykiwać. Przeciwnie.

Ale przystałam na kiepskie warunki.

Wydałam już kilkanaście książek i wiele razy czułam, że winna jestem wszystkim, którzy mają w tym udział, wdzięczność. Stawiano mnie w pozycji kogoś, kto powinien się wstydzić, bo inni się nim i jego wytworem zajmują. Ten rodzaj wstydu za pisanie towarzyszy mi do dzisiaj. I dlatego niedawno, bardzo świadomie, związałam się z małym, jakościowym wydawnictwem. Żeby czuć się lepiej.

W tym całym układzie wydawniczo-księgarsko-dystrybucyjnym my, autorzy i autorki, dostajemy najmniej pieniędzy i najwięcej upokorzeń. Gdy bankrutuje wydawnictwo, właściciele mają kłopoty, ale nie są przegrani. Nikt ich nie wyśmiewa. My jesteśmy zagrożone hejtem, a groszowa wycena naszej pracy jest trudna także emocjonalnie.

Pisarz to zawód jak inne?

– W 1920 roku powstał Związek Zawodowy Literatów Polski, czyli pierwsza nowoczesna organizacja zrzeszająca pisarzy. Prezesem był Stefan Żeromski. W 1949 roku ZZLP został przekształcony w Związek Literatów Polskich (ZLP). Zabrakło słowa „zawodowy". To charakterystyczne, że zniknęło w momencie, gdy państwo otwierało etap socrealizmu w sztuce, a więc pełnej kontroli nad piszącymi.

W stanie wojennym ZLP został zawieszony, a następnie rozwiązany. W 1984 roku – najpierw podziemnie – powstało konkurencyjne Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (SPP). Od 2019 roku tę sztafetę wiedzie Unia Literacka. Zatem od ponad 100 lat podejmowane są próby stworzenia przedstawicielstwa zdolnego do walki o cele i warunki wykonywania naszego zawodu.

„No proszę, to taki Myśliwski mógł pisać książki, pracując jednocześnie na etacie", pisze czytelnik w mediach społecznościowych, komentując postulaty pisarzy w sprawie poprawy ich losu „zawodowego".

– Były to specyficzne etaty, bezpośrednio powiązane z rolą pisarską. Pracowało się w redakcjach, wydawnictwach, teatrach, zespołach filmowych. Bywały „lewe" zatrudnienia – reporterów w fabrykach, marynistów na statkach. Nie zawsze na pełen etat. Dziś mówimy na przykład o posadzie w sklepie z elektroniką. W PRL-u nie tylko reglamentowano papier i cenzurowano treści, ale też szafowano benefitami: pobytem w jednym z domów pracy twórczej, abonamentami obiadowymi, talonami na dobra luksusowe.

Komentujący pytają – czy to zawód jak elektryk czy księgowa? Ludzie nie do końca dowierzają temu, że to jest taka sama praca. Myślą, że to hobby, niektórzy – fanaberia. A pisanie wymaga czasu, organizacji, kondycji intelektualnej i fizycznej. Potem następuje etap promowania, spotkań autorskich, kontaktu z czytającymi przez media społecznościowe.

No więc – co z tym zawodem?

– Obowiązujące prawo nie sankcjonuje pisarstwa jako zawodu. Trwająca legislacja projektu ustawy o zawodach artystycznych tylko częściowo wychodzi naprzeciw potrzebom. Niestety w przeszłości nigdy nie udało się rozwiązać sprawy emerytur czy ubezpieczenia zdrowotnego dla pisarzy. W projekcie, o którym wspomniałam, by zostać objętym świadczeniami, najpierw trzeba wypracować przychód.

To niby-sprawiedliwe, jednak wobec opowiadanych obecnie w mediach społecznościowych historii i herstorii pisarskich stwierdzam, że moje środowisko cierpi na ubóstwo. Jakich dodatkowych narzędzi należałoby użyć? Nie jest łatwo wyrysować dobre kryteria. Przede wszystkim stwierdzić, kto i dlaczego powinien skorzystać z mechanizmu wsparcia w opłacaniu składek.

Jak zdecydować, czyj dorobek z ostatnich trzech lat (jak czytamy w projekcie) zasługuje na miano znaczącego przy jednoczesnym spełnieniu zasady przychodu? To się rozjeżdża.

Powiedzmy to wprost: czy wspierać tak samo tych, którzy są słabymi pisarzami, ale się sprzedają, jak tych, którzy się nie sprzedają, ale tworzą wartościową literaturę?

eprasa.pl a3741fa136

– Dlatego bardzo podoba mi się nazwa zespołu powołanego w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego: zespół ds. pola literackiego. Socjologiczny termin dobrze obsługuje tę wieloelementową sytuację, o której rozmawiamy.

Kiedyś do ZLP i SPP przyjmowano autorów, którzy wydali dwie książki i mieli rekomendacje. Jednak po 1989 roku to kryterium okazało się niemiarodajne. Pisać każdy może, cierpimy na nadmiar. Czysto technicznie dwie książki może mieć na koncie tegoroczny debiutant.

Niejasny dla samych piszących jest więc próg wejścia do wciąż nieskodyfikowanego zawodu. Po 1989 roku pojawiła się też mantra: rynek wszystko ureguluje. Fałszywa, bo sama sprzedaż nie filtruje wartości, a ja mimo wszystko obstaję przy niepopularnym twierdzeniu, iż byle jak sklecona książka nie jest literaturą.

Jednocześnie weryfikacja rynkowa może się okazać bezpieczniejsza niż weryfikacja urzędowa, która łatwo ulegnie politycznym wpływom.
– W latach 90. XX wieku myśleliśmy, że rynek zweryfikuje politycznych pieszczochów i nie będziemy już czytać Żukrowskiego. Okazało się, że rynek rzeczywiście zweryfikował, w jedną stronę – na korzyść popkultury.

W porządku, ale borykający się z trudnościami ekonomicznymi poeci nie sprzedadzą tylu słów, ilu używają autorzy kryminałów, więc jednak mechanizm powinien być dobrze skalibrowany, jeśli zależy nam, a zależy, na literaturze. Kto poda dane do kalibrowania?

Z pewnością nie będą to krytycy literaccy.
– To zawód, który został osłabiony. Marketingowcy uznali, że pośrednicy nie są wiarygodni, bo ludzie wierzą czytelniczkom takim jak oni sami. W porządku. Czy zatem gwiazdki na popularnym portalu mają decydować o tym, kto dostanie dopłatę do składki emerytalnej?

Zadaję tu wiele retorycznych pytań, a w pierwszej kolejności trzeba zająć się pulą dostępnych pieniędzy: tymi ze sprzedaży oraz z dotacji, grantów, dopłat państwowych i samorządowych.

Sporo pieniędzy przeznacza się na spotkania autorskie w bibliotekach. Są pisarze, którzy na tym świetnie zarabiają. Ale kogo biblioteki najchętniej zapraszają? Tych, którzy są znani, często z czegoś innego niż pisanie. Dzięki temu biblioteki zrealizują cele frekwencyjne. I tak mechanizm się napędza – popularny twórca, który dobrze zarabia na sprzedaży swoich książek, w którego promocję inwestuje wydawnictwo, jest de facto wspomagany środkami publicznymi. A ci, którzy zarabiają mniej, piszą trudniejszą literaturę, nie dostają nawet tej publicznej promocji i zarobku. Zatem misję bibliotek publicznych reguluje dziki rynek.

Wydawcy często sprawiają wrażenie, jakby to, że nie każdy chce pisać kryminały, to jego wina.
– Pamiętam, gdy pierwszy raz przyszłam do siedziby Świata Książki. Na korytarzu wisiały portrety pisarzy, głównie mężczyzn. Nie pamiętam innych pisarek poza Hanną Krall. Przemykając się pod tymi – zrobionymi w odpowiedniej manierze – zdjęciami panów z dużym dorobkiem, czułam się uzurpatorką.

Wiele razy słyszałam, że wydawcy chcieliby mi więcej płacić, ale mogą to robić dopiero, jak zacznę się lepiej sprzedawać. Tak jakby to była wyłącznie moja odpowiedzialność. To, że wydatki na promocję moich książek były niskie, już nie miało znaczenia.

W komentarzach do sporu Joanny Kuciel-Frydryszak z Marginesami czytam, że przecież wydawcy promują. Tak, promują. Już wypromowanych.

Pamiętam, że gdy szłam z wydawnictwa do hotelu, mijałam billboardy z wizerunkiem nowej książki Jerzego Pilcha, wówczas autora Świata Książki. Zaczynałam żmudną drogę po redakcjach, by opowiadać o swojej prozie. Ale nie narzekam, moja sytuacja była o wiele lepsza niż sytuacja osób, które teraz próbują zadebiutować.

O co chodzi w obecnym sporze pisarze – wydawcy

• 14 marca Joanna Kuciel-Frydryszak, autorka „Chłopek” upubliczniła swój spór z wydawnictwem Marginesy. Oświadczyła, że domaga się większego udziału w zyskach ze sprzedaży tej bestsellerowej książki. Pisarka powołała się na tzw. klauzulę bestsellerową – art. 44 ustawy o prawie autorskim mówiący, że „w razie rażącej dysproporcji między wynagrodzeniem twórcy a korzyściami nabywcy” praw autorskich twórca może na drodze sądowej zażądać wyższego wynagrodzenia.

• Wydawnictwo Marginesy wydało oświadczenie, którym czytamy m.in. „Niestety, wszystkie dotychczasowe propozycje Wydawnictwa w tej kwestii były przez Autorkę odrzucane”.

• Joannę Kuciel-Frydryszak poparło w sieci wiele pisarek i pisarzy m.in. Szczepan Twardoch, Joanna Bator i Jakub Żulczyk. „Rynek, na którym wspólnie działamy, jest zupełnie nieprzejrzysty, a panujące na nim zasady systemowo wspierają dominującą pozycję wydawnictw” – napisała Unia Literacka, także wyrażając swoje poparcie dla Kuciel-Frydryszak.

• Autorka „Chłopek”rozpoczęła pełną emocji dyskusję, bo oprócz wsparcia dla niej, autorzy zaczęli publikować wpisy poświęcone dramatycznie złej – ich zdaniem – sytuacji twórców literatury w Polsce. Powołanie czy zawód? Wena czy robota przed klawiaturą? Czy wydawcy wykorzystują pisarzy? Na Wyborcza.pl publikujemy te głosy.

Dlaczego?
– Wtedy wpływ na zainteresowanie książką miała krytyka literacka, a jednocześnie nie była to już ta krytyka poprzedniej dekady tropiąca „literaturę menstruacyjną”.

Nie kupowano poleceń, pierwszą dyskusję na temat wątpliwych praktyk takich, jak blurby od gwiazd medialnych, mieliśmy przed sobą.

Wydawcy sami czasem narzekają, że dzisiaj nie ma już takiego jednego miejsca czy osób, które gwarantują, że czytelnicy po pozytywnej rekomendacji ruszą do księgarń.
– Dlatego ten 2008 rok to nie były takie złe czasy.

Ile pani sprzedała egzemplarzy swoich książek?
– Chciałam powiedzieć, że to tajemnica handlowa, ale przecież.... Nie do końca, moje umowy z czterema wydawcami już wygasły, więc bez obaw mogłabym podać liczby, gdybym je znała.

Paskiem wstydu dla pisarki są raporty (dodam, że ja je dostawałam zawsze) pokazujące, że wciąż jest poniżej zaliczki. No więc w przypadku dwóch wydań „Bambina” zaliczki się zwróciły, podobnie poszło z „W powietrzu”, a ostatnio z „Późnym życiem”. Niepełna wiedza wynika z tego, że umowy się aneksuje. W pandemii podpisałam taki aneks uwalniający e-booki „Na krótko”.

Choć, wie pan, abstrahując od sukcesu Joanny Kuciel-Frydryszak, informacje o nakładach służą albo zawstydzaniu autorów jako niesprzedażnych, albo marketingowi, który nie różni się od stosowanego w sprzedaży Thermomixa.

Może centralna baza książek, do której dostęp mieliby autorzy i wydawcy, każdy do swoich oczywiście, ułatwiłaby kontrolę nakładów.
– Rzeczywiście na rynku jest zbyt dużo tajemnic, klauzul, możliwości manipulacji. Pisarz musi się zajmować nie tylko pisaniem i jeżdżeniem, ale jeszcze pilnowaniem wydawnictwa.

Szczepan Twardoch często mówi i pisze, że każdemu racjonalnie myślącemu człowiekowi odradza pisarstwo jako ścieżkę zawodową. Zgadza się pani?
– Gdyby moje życie potoczyło się inaczej i w momencie debiutu – a debiutowałam zbiorem opowiadań w 1998 roku – nie miałabym etatu, pensji i obowiązków akademickich, to myślę, że zdecydowałabym się na bycie „pełnoetatową” pisarką. Licząc wszystkie prace pisarskie – książki, publicystykę, spotkania autorskie – wydaje mi się, że utrzymałabym się z tego. Przynajmniej w dobrych latach.

Takiej dyskusji [jak ta] jeszcze nie było. Kilka lat temu pojawił się wątek zaliczek pisarskich wywołany pogłoskami o niebotycznych zaliczkach Jerzego Pilcha. Zaliczki małej grupy poczytnych twórców poszybowały, a pozostali, drobnica złapana w sieć z rekinami, nadal dostawali kilka tysięcy

Podoba mi się określenie „prace literackie”.
– Jeżdżenie na spotkania autorskie jest ważną częścią tego zawodu. Trzeba o nie zabiegać. Warto mieć agencję, ale to nie zawsze wychodzi. W efekcie jest się jednoosobowym przedsiębiorstwem – organizatorką imprez, sekretarką, księgową i stylistyką, bo w obecnych czasach autoprezentacja jest ważnym elementem zawodu.

Pisarze niejednokrotnie prowadzą też handel obnośny. Istnieje wręcz oczekiwanie, że tu i tam przyjedzie się z książkami na sprzedaż. Nie robię tego, chyba że zostanę wyraźnie poproszona, a w mieście nie funkcjonuje żadna księgarnia kameralna.

„Bardzo trudno być jednocześnie pisarką i specjalistką od prawa autorskiego oraz swoją własną agentką, rzeczniczką, sekretarką i content creatorką. Nie chcę, żeby to tak wyglądało, i bardzo czekam na zmiany”, napisała Dorota Kotas w mediach społecznościowych. Sławomir Gortych, autor poczytnych kryminałów dziejących się w Sudetach, powiedział, że w ciągu roku miał 200 spotkań autorskich.
– Liczyłam swoje spotkania po „Późnym życiu”, przestałam, gdy przekroczyłam 70. Wynik Gortycha mnie przeraża, choć lubię jeździć i rozmawiać z czytelniczkami/czytelnikami. Losem pisarskim są też kiepskie hotele i nierzadkie upokorzenia, ale tego nie widać na zewnątrz.

W 2024 roku wydałam książkę pt. „Widok z okna w podróży służbowej”, są w niej fotografie niepięknych kuluarów. Mówmy, jak jest, bez romantyzowania, które daje paliwo tym wszystkim argumentującym, że pisarstwo to posłannictwo połączone z jakąś wewnętrzną potrzebą. Taka usankcjonowana grafomania po prostu. A to trudny zawód, wymagający wytrzymałości psychicznej i fizycznej, wielu talentów.

Dyskusja, która wybuchała po oświadczeniu Joanny Kuciel-Frydryszak, robi na mnie spore wrażenie choćby tym, że po raz pierwszy pisarze i pisarki tak wprost mówią o bolączkach tego zawodu.
– Rzeczywiście, takiej dyskusji jeszcze nie było. Kilkadziesiąt lat temu pojawił się wątek zaliczek pisarskich wywołany pogłoskami o niebotycznych zaliczkach Jerzego Pilcha. Zaliczki małej grupy poczytnych twórców poszybowały, a pozostali, pełniący funkcję drobnicy złapanej w sieć z rekinami, nadal dostawali kilka tysięcy. To antagonizowało środowisko, a jednocześnie wzmacniało legendy silnych osobowości, mistrzów wagi ciężkiej w pisarskim fachu.

Druga dyskusja dotyczyła płacenia za recenzje i polecajki okładkowe. Wiele osób ze środowiska wydawniczego twierdziło, że nie stosuje podobnych praktyk. Chcieliśmy zachować wiarę w istnienie etycznej granicy niepozwalającej zrównywać sprzedaży literatury ze sprzedażą garnków.

Naiwne to było, ale proszę zważyć różnicę między przekonaniem, że nie można płacić za zdania ułożone wedle wzoru „znakomita książka, serdecznie polecam” a dzisiejszym hulaj dusza. Metody okresu przejściowego się wyczerpały, czytelnicy nie dostają szansy na odróżnienie reklamy od krytyki.

Oczywiście od wielu lat mówi się o roli Empiku i tym, co w raporcie Polskiej Sieci Ekonomii przygotowanym na zamówienie Instytutu Książki nazwane zostało „oligopolem dystrybucyjnym”. Tyle że w tym oligopolu swe interesy mają też skoligacone z nim wydawnictwa. Wydawca niedysponujący niekolizyjnym pasem transmisyjnym do salonu sprzedażowego umiejscowionego w centrum handlowym jest na przegranej pozycji. Mówiąc o podziale książkowego tortu, pamiętajmy, że wydawca wydawcy nierówny.

Twórcy raportu mówią o „asymetrii informacji”. Autorzy nie znają swoich stawek, umów, tego, co mogą wynegocjować – i ta niewiedza opłaca się wydawcom. Przełamanie milczenia może się okazać początkiem rewolucji. A pani czego by chciała?
– Lubię rewolucje, a skoro – jak brzmi tytuł raportu – książka „jeszcze nie umarła”, chciałabym, żeby praca pisarska zyskała rangę polegającą nie na powtarzaniu zdartych, idealistycznych fraz, lecz na wyłonionym w dyskusji nowym kontrakcie społecznym. Nie potrzebuję już emerytury pisarskiej, bo dosta-

eprasa.pl a3741fa136

nę ją z innego źródła, co nie znaczy, że nie chcę zarabiać. Nie byłoby to niemiłe. Może pomogłoby mi podjąć decyzję o przejściu na emeryturę i poświęceniu się już tylko literaturze.

Chciałabym też, żeby praca pisarska liczyła się do mojego dorobku akademickiego. Od dekady uczę już właściwie wyłącznie pisania literackiego na regularnych studiach uniwersyteckich. Pisanie naukowe nie przysparza mi cierpienia, lubię konferencje i pracę zespołową, ale mam coraz mniej sił. W wielu państwach pisarz-profesor wykazuje dorobek literacki. Nie jestem jedyną akademiczką dzielącą czas między obiegi. Za książki i artykuły naukowe, warto wiedzieć, nie dostajemy wynagrodzenia. Warunkują to nasze umowy – publikowane treści powstają w ramach etatu. W pewnym sensie dostajemy ryczałtowe wynagrodzenie.

Cieszę się z tego, że mam szansę powiedzieć o swojej pracy.

Jako niepraktykująca krytyczka literacka chciałabym też dyskusji o jakości literatury, bez hipokryzji. Często się mówi – dobrze, że ludzie coś czytają, nie zawstydzajmy ich z powodu dokonanego wyboru, niezgodnego z naszym gustem. Każdy rodzaj tekstu może być dobry lub zły, poza tym, że należy do jakiegoś gatunku lub reprezentuje czyjś światopogląd.

Można promować dobrą literaturę, bez zawstydzania.

– Co roku przy okazji publikacji raportu Biblioteki Narodowej jesteśmy świadkami wielkiej dyskusji o tym, czy Polacy czytają. Co z tego wynika? Nic.

Mnie brakuje dyskusji o prestiżu literatury. Bo przecież wszystkie te komentarze mówiące: „zabierzcie się za pracę", „co wy sobie wyobrażacie?", „PRL bis", wynikają z niskiego statusu literatury i pisarstwa.

Napisałam o tym felieton – na spotkania autorskie przychodzą przede wszystkim kobiety, często emerytowane nauczycielki, bibliotekarki. Osoby niemające wysokich świadczeń emerytalnych. Mechanizm literatury podtrzymywany jest przez ich zainteresowanie. Po drugiej stronie sztafety znajdują się odbiorczynie young adult. Sal bibliotecznych nie kojarzy się z prestiżem.

Dużo narzekamy. Czy obserwuje pani coś optymistycznego, pozytywnego?

– W Szczecinie założyliśmy Klikę Literacką, nieformalną grupę. Należą do niej autorki i autorzy piszący wszystko: od wierszy dla dzieci, przez przewodniki, kryminały i powieści obyczajowe. Skupiamy się wokół kilku szczecińskich, jeszcze działających, księgarni kameralnych. Można w nich kupić książki z naszymi autografami.

Najbardziej energicznych właścicieli ma Kamienica w Lesie. Monika Szymanik próbuje wychodzić do czytelników. Stawia stoisko, towarzysząc wydarzeniom miejskim, targom, festiwalom. Dzięki niej robię badania terenowe na małej próbie. Przekonuję się, że ludzie kupią książkę w magicznej cenie okładkowej, jeśli powiemy im, dlaczego to jest ważne. Uwrażliwiamy ich na znaczenie lokalności, jakości przestrzeni miejskiej, którą współkształtuje obecność księgarń, pisarzy, fotografów, przewodników.

Jeśli czytelnik za dostęp do abonamentu, gdzie ma tysiące książek, płaci miesięcznie 50 złotych, to trudno go przekonać, że książka ma wartość, a decyzja o tym, po jakiej cenie się ją kupi, wpływa na kształt rynku książki i literaturę.

– W przypadku abonamentów cyfrowych trudniej liczyć na dobrą wolę nabywców. Wirtualna biblioteka nie ma konturów książki. Reakcje na wiadomości o nierozliczaniu udostępnień przez Legimi użytkownicy kwitowali egoistycznie – „mam stracić dostęp do całej tej chmury?". Pytań o stratę pisarzy, które wypowiadane byłyby poza naszym środowiskiem, nie odnotowałam.

Znaczącym paradoksem jest to, że firmy dokładały abonament Legimi jako benefit. Cieszmy się, w ten sposób wytwarzali modę na czytanie. Słyszałam o zawodach w czytaniu urządzanych w korporacjach. Wolałabym modę na kupowanie książek rozpętaną przez zarabiających z pewnością więcej, niż wynosi emerytura nauczycielska.

Czytelnik może podejmować bardzo ważne decyzje, mieć swój udział w tworzeniu dobrego otoczenia, w przełamywaniu złych praktyk.

My do czytelników się trochę za bardzo łasimy, zamiast powiedzieć: jesteśmy na tym polu literackim razem. I od tego, jak wy będziecie nas traktować, zależy też jakość literatury, a więc i to, co z niej wyciągnięcie dla siebie. ●

Kinga Iwasiów

• pisarka, literaturoznawczyni, profesor nauk humanistycznych na z Uniwersytecie Szczecińskim. Dwa razy przewodniczyła obradom jury Nagrody Literackiej Nike. Członkini Unii Literackiej. Napisała m.in. „Bambino", „Pięćdziesiątkę", „Kroniki oporu i miłości", „Późne życie".

Ile kosztuje wydanie książki i kto na tym zarabia

Kiedy idziemy do księgarni i kupujemy książkę za 60 zł, zaledwie ułamek tej kwoty trafia do jej autora.

Kryminał. 5 tys. egz. nakładu i wszystkie sprzedane. Kto ile zarobił?

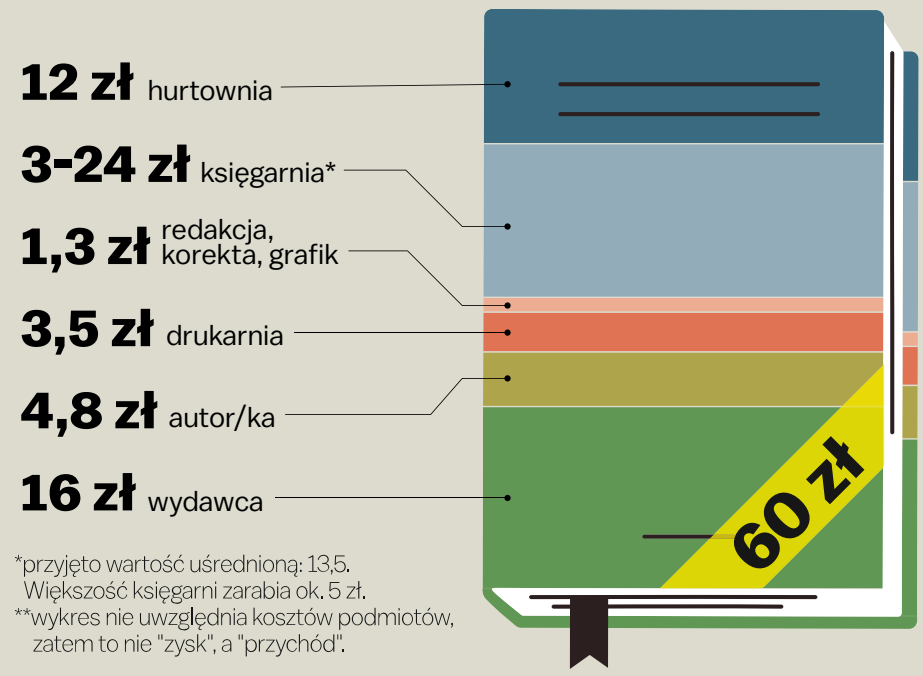

*przyjęto wartość uśrednioną: 13,5. Większość księgarni zarabia ok. 5 zł.
**wykres nie uwzględnia kosztów podmiotów, zatem to nie "zysk", a "przychód".

AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ

Wojciech Szot

Zgodnie z najnowszym raportem o rynku książki, średnia kwota, jaką autorzy zarabiają na egzemplarzu swojego dzieła to zaledwie **2,9 zł.** Czy to prawda?

Na książce zarabiają: autor, tłumacz, redaktor, wydawnictwo, grafik,drukarnia, hurtownia, księgarnia. Kto ile? Spróbujmy to policzyć.

Marzenie wydawcy, czyli martwy autor

Żeby powstała książka, potrzebny jest autor/ka. Nie musi być żywy.

Martwy autor – jeśli jest martwy od przynajmniej 70 lat – nie generuje kosztu praw autorskich, czyli nie trzeba mu płacić. Co prawda funkcjonował kiedyś „Fundusz Martwej Ręki", czyli obowiązek przeznaczania wpłat – od 5 do 8 proc. – od takich „dusz" na rzecz organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, ale został on usunięty z ustawy o prawie autorskim w 2015 roku.

Tak więc autor w stanie wiecznego spoczynku jest w cenie. Podobnie jak tłumacz/ka. Co z tego, że dostajemy wtedy dzieła z XIX wieku przełożone polszczyzną międzywojenną, jeśli jest tanio.

Stoły i regały w księgarniach pełne są takich książek – kolorowych, pięknych wydań np. „Wojny i pokoju". Są dla wydawców łatwe – bo nie trzeba czekać na tekst – i tanie w produkcji.

Co prawda dzieła te powinny być upubliczniane w tzw. „wolnym dostępie", ale państwo nie wystarczająco wspiera rozwój digitalizacji i udostępniania zbiorów.

Ile zarabia pisarz? Żywy też czasem się opłaca

Nasz autor żyje. Ma się dobrze i spędza pół roku na pisaniu książki, a pół – na jej promocji.

Czy pisząc jedną książkę rocznie, jest w stanie się z niej utrzymać? Do tego pytania jeszcze wrócimy.

Załóżmy, że nasz autor to nie debiutant. Na debiutantach wszyscy oszczędzają. Jego/jej marzenia o wydaniu książki biorą górę nad kwestiami finansowymi, nie będzie się więc kłócić o swoją stawkę. A i ryzyko wydawcy faktycznie jest większe – niełatwo o sukces nieznanego autora.

Zatem pisarz z drugą, trzecią książką na koncie. Pisze w miarę poczytne kryminały. Przy podpisaniu umowy dostał już 8 tys. zaliczki.

Załóżmy, że początkowy nakład jego nowej książki wynosi **5 tysięcy egzemplarzy** – to przeciętny nakład dla wydawcy popularnej literatury. Załóżmy też niezwykle optymistyczny wariant, że wszystkie egzemplarze jego dzieła trafiły do czytelników.

Taki pisarz ma zapisane w umowie, że dostaje tantiemy – **od 5 do 20 proc.** od ceny hurtowej swojej książki.

Uwaga! To nie jest procent od ceny okładkowej, czyli tych 60 zł, które widzimy na okładce.

Cena hurtowa to ta, za którą książkę sprzeda wydawnictwo – księgarniom, hurtowniom, czasami bezpośrednio czytelnikom.

Ile zarabia hurtownia?

To hurtownie dyktują warunki na rynku książki. Mówią wydawnictwom – na okładce cena wynosi 60 zł, ale my kupimy ją od was za mniej niż połowę tej kwoty.

Do tego niektóre hurtownie każą sobie płacić za magazynowanie, działania marketingowe (np. za newslettery wysyłane do księgarzy) i różne inne. Finalnie opłaty potrafią przekroczyć 60 proc. ceny okładkowej.

Mamy więc **cenę okładkową 60 zł** i rabat wynoszący 60 proc. Hurtownia kupuje zatem książkę **za 24 zł.**

Ile zarobi? Hurtownie sprzedają księgarniom książki za ok. 40 proc. ceny okładkowej. Czyli 36 zł. W efekcie hurtownia za jeden egzemplarz dostaje **ok.12 zł**.

Oczywiście dotyczy to naszego kryminału, a nie wszystkich książek – zupełnie inaczej wygląda polityka rabatowa w przypadku podręczników, czy książek starszych niż rok (tzw. backlista).

Inne rabaty dostają też od hurtowni księgarnie stacjonarne, a inne – internetowej.

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Ile zarabia księgarnia?

Księgarnie rzadko oferują czytelnikom książkę po cenie okładkowej. Częściej – zwłaszcza te działające w sieci – oferują czytelnikom rabaty od ceny okładkowej wynoszące nawet 35 proc.

Księgarnie internetowe często sprzedają książki z minimalną marżą – wynosi ona niekiedy zaledwie 2 punkty procentowe.

W efekcie księgarnia na jednym egzemplarzu książki za 60 zł może zarobić – w idealnej sytuacji – 24 zł (40 proc. rabatu w hurtowni, sprzedaż po cenie okładkowej), ale w rzeczywistości dobrze, jeśli jest to **3 zł** (40 proc. rabatu w hurtowni, sprzedaż dla klienta z rabatem 35 proc.).

Dlatego kiepsko przędą księgarnie spoza sieci – co chwilę słyszymy, że właśnie zamyka się kolejna księgarnia z tradycjami.

Ile zarabia wydawca?

Wydawca sprzedał książki po 24 zł za egzemplarz.

Ale to nie jest zysk. Wydawca musi zapłacić autorowi. Następnie redaktorowi i korektorom – tu stawki są stałe, nie zależą od liczby sprzedanych egzemplarzy.

Redaktor/ka dostaje – w dobrej sytuacji – od 250 do nawet 500 zł za arkusz wydawniczy (40 tys. znaków). Przeciętny kryminał to minimum 300 tys. znaków, zatem za redakcję takiej książki można dostać od 1800 zł do 3 500 zł (oczywiście brutto).

Przy nakładzie 5 tysięcy – koszt redakcji to 70 groszy za egzemplarz.

Jeszcze niższy koszt to korekta – około połowy stawki redaktorskiej – 40 groszy za egzemplarzu.

Do tego dochodzi grafika – okładka u topowego projektanta to 3 tysiące zł (czyli jakieś 60 groszy/egz.), a skład i łamanie książki – 150 zł za arkusz, zatem ok. 0,22 groszy naszego egzemplarza.

Jest jeszcze koszt druku – wybieramy miękką oprawę i papier średniej jakości. Ceny potrafią być bardzo różne, ale jak mówi mi redaktor naczelny dużego wydawnictwa – 3,5 zł to jest odpowiedni koszt druku za egzemplarz naszej książki.

Dla wydawcy zostaje **ok. 13,6 zł.** Z tego musi opłacić swoją działalność.

Należy jednak pamiętać, że powyższe wyliczenie dotyczy książki popularnej, autora bądź autorki, która znajduje 5 tysięcy czytelników chcących kupić jej książkę w druku.

Nakłady książek ambitniejszych nie przekraczają 3 tys. egz.. Tu wydawca „na egzemplarzu" nie zarobi 13 zł, **a 5 zł.**

No i jest jeszcze autor.

Ile zarobi pisarz, ile zarobi pisarka

Tantiemy dla pisarza naliczane są dopiero wtedy, gdy sprzedaż książki przekracza wysokość zaliczki.

Nasz autor – przyjmijmy bardzo optymistyczną wersję – otrzymuje **20 proc. od ceny hurtowej**. A cena hurtowa to – przyjmijmy uśredniony standard – 40 proc. od ceny okładkowej.

Czyli jeśli książka kosztuje 60 zł netto, do hurtowni trafia za 24 zł, a osoba autorska dostanie z jednego sprzedanego egzemplarza **4,8 zł**.

Nasz autor może więc zarobić – sprzedając owe 5 tys. egz. książki kosztującej „po okładce" 60 zł – **24 tys. zł brutto**.

Podatek pisarza liczymy uwzględniając 50-procentowe koszty uzyskania przychodu. Jest jednak roczny limit kwoty kosztów autorskich – 120 tys. zł. W przypadku jego przekroczenia podatek wynosi 32 proc.

Gdyby autor chciał zarabiać, wyłącznie pisząc książki i zgodził się z życiem za minimalną pensję (4626 zł brutto, 3510 zł netto), musiałby sprzedać powyżej 10 tys. egzemplarzy.

Przypomnę, że w przedsatwionych tu wyliczeniach wziąłem pod uwagę:

1) górne widełki, jakie mogą dostać autorzy, czyli 20 proc., ale wielu z nich dostanie jednak zaledwie 5 proc.

2) i że rozliczenie nie przewiduje dużego sukcesu.

Stąd stanowisko Joanny Kuciel-Frydryszak. Podpisała umowę na niewielki procent, ale po gigantycznym sukcesie „Chłopek" uznała, że należy jej się więcej – dokładnie taką sytuację przewidziało zresztą prawo.

Czy wydawcy są biedni?

W naszych wyliczeniach trudno jest ująć koszty generowane przez wersję cyfrową. Tu dochodzą koszty obsługi technicznej, ale też inna jest wysokość marż dla dystrybutorów i „procenty" dla autorów (30 proc. dla hurtowni, nawet 20-30 proc. dla autorów).

Wyliczenie zaburzają nam książki oferowane w abonamentach cyfrowych, rozliczane w modelu „revenue share" (całość „sprzedaży" miesięcznej w ramach danej aplikacji dzielona na wydawców i autorów), czy audiobooków.

No i trudne do przeliczenia na egzemplarz są koszty firmy – siedziby, działów marketingu, sprzedazy etc.

Wydawnictwo Marginesy, które wydało książkę „Chłopki" Kuciel-Frydryszak, miało w 2023 r. 42 mililony zł przychodu (wzrost o 14,5 mln w ciągu roku) i zysk netto 5,3 miliona (wzrost o 2,6 miliona).

Wydawnictwo Czarne miało 798 tys. zł zysku przy 17,7 miliona przychodu, Karakter – 209 tys. zysku (3,2 mln zł przychodu), a Art Rage – 248 tys. przy 2 milionach przychodu.

Rentowność (stosunek zysku do przychodu) – w przypadku Marginesów i Art Rage przekraczająca nawet 10 procent – to naprawdę dobry wynik.

Oczywiście pozostaje pytanie – czy właściciele wypłacają sobie pensje, czy żyją tylko z zysku. Ale na papierze wygląda to naprawdę nieźle.

Bywają jednak i złe wyniki – Wydawnictwo Literackie kolejny rok zaliczyło stratę. Tym razem 3 miliony złotych przy przychodzie 32 milionów zł.

Dzisiaj Prus nie napisałby „Lalki"

Można powiedzieć – rynek weryfikuje, a pisarstwo to zawód specyficzny, w którym trzeba łączyć różne umiejętności i zarabiać na wielu polach, gdzie książka jest tylko jednym z nich, do tego – niekoniecznie najbardziej dochodowym. Można też powiedzieć, że autorzy wiedzą, w co się pakują – wyliczenie wysokości zarobków nie jest czynnością tajemną.

Dzisiaj Prus nie napisałby „Lalki", bo musiałby najpierw napisać „Dziennik Ignacego Rzeckiego", potem „Wokulski w szponach naftokopów", a później „Izabela i inne. Dziedziczki Warszawy". I to wszystko w pół roku.

Często podkreśla się, że to wydawcy ryzykują wydając książkę – w końcu nie każda jest sukcesem, a, żeby wydać książkę, trzeba zainwestować przynajmniej kilkanaście tysięcy złotych. Większość książek przynosi minimalny zysk, jednak – gdy coś już zostanie bestsellerem – potrafi ozłocić wydawcę milionami. Dlatego wbrew powszechnemu na rynku książki narzekaniu – raczej nie słychać o upadających wydawcach. Za to częściej o upadających księgarniach i ludziach, którzy nie mogą się utrzymać z pisania.

Pisanie książki jest zadaniem dla ryzykantów. Ryzyko twórcze pisarzy połączone jest z ryzykiem życiowym, zawodowym, finansowym.

Jak można sprawić, że książki będą bardziej dostępne, a ich autorzy zostaną godnie wynagrodzeni?

Jak najszybciej – mówi o tym choćby raport Polskiej Sieci Ekonomii – zmniejszyć rabaty oferowane hurtowniom. 60 proc, rabatu od ceny okładkowej sprawia, że wydawcy sztucznie zawyżają ceny z okładki, byle tylko „nakarmić" hurtownię.

Urealnienie ceny książki uzdrowi relacje na rynku. Taką zmianę może wymusić na firmach regulator – UOKiK, ale też wiele do powiedzenia mają tu Polska Izba Książki czy Instytut Książki.

Należałoby zmienić umowy autorskie – ceny hurtowe bywają różne, a autorzy nie mają wielu możliwości kontroli faktur wystawianych przez wydawcę księgarniom i innym odbiorcom. Najuczciwsze byłyby umowy, które ustalają wysokość tantiem w relacji do ceny okładkowej. Wtedy rozliczenia będą przejrzyste, a zarobek pisarzy i pisarek o wiele mniej zależny od relacji biznesowych jego wydawcy. O takim rozwiązaniu pisał niedawno Szczepan Twardoch. On wynegocjował sobie takie właśnie rozwiązanie. Ale ma pozycję gwiazdorską.

Fantastyczny jest pomysł funduszu wsparcia pisarzy i pisarek, na kształt PISF. Dotacje przyznawane autorom też na druk lub promocję książki, sprawiłyby, że mieliby w ręce najsilniejszą na rynku książki kartę przetargową – pieniądze.

A gdyby nasz pisarz chciał zarabiać średnią krajową, czyli 8 tys. zł brutto, a jego książki sprzedawałyby się w stałym nakładzie 5 tys. egzemplarzy?

Musiałby napisać cztery nowe tytuły rocznie. ●

REKLAMA
Kraj/34363148

Wybitny krytyk filmowy Tadeusz Sobolewski wprowadza nas za kulisy najważniejszego festiwalu filmowego na świecie. Wraz z nim śledzimy gwiazdy kina, Jima Jarmuscha, Pedro Almodóvara, Davida Lyncha, Lars von Triera i wielu innych. Objawienia z sali kinowej przenikają się z głębokim przeżywaniem świata, podróże nocnym pociągiem z Paryża z wypisami z filozofów, spacery bulwarem Croisette z wydarzeniami, którymi żyły światowe media.

„Świetna książka. Polecam wszystkim, którzy kochają kino i życie."
GRAŻYNA TORBICKA

SPOTKANIE
z Tadeuszem Sobolewskim
7 KWIETNIA / GODZ. 18:00
Faktyczny Dom Kultury

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

POLSKA

SPOKOJNIE, MAMY KILKA NIERUCHOMOŚCI

Poznałem plan lewicy na dogonienie Mentzena.

Arkadiusz Gruszczyński

Magdalena Biejat chce doinwestować szpitale i przychodnie, budować mieszkania na tani wynajem i żłobki w Polsce powiatowej. Obiecuje liberalizację aborcji i progresywne podatki, które działają na korzyść najmniej zarabiających i niższej klasy średniej.

Z takimi postulatami powinna ze spokojem wejść do drugiej tury wyborów prezydenckich. To żadne chciejstwo. Sprzyjające lewicy nastroje społeczne można wyczytać z sondaży. W badaniach pracowni Ipsos, które na zamkniętym spotkaniu w ubiegłym tygodniu zaprezentowano kilku dziennikarzom, wśród trzech najważniejszych tematów emocjonujących wszystkich Polaków znalazły się dwa wyjęte wprost z lewicowego programu wyborczego.

Na pierwszym miejscu spraw do załatwienia tu i teraz jest obniżenie wysokich kosztów życia, na drugim – poprawa jakości systemu opieki zdrowia, na trzecim – kontrola migracji. A socjaldemokraci wiedzą, w jaki sposób obniżyć rachunki w sklepie (zerowy VAT) i za prąd (większe dopłaty i przestawienie się na OZE, czyli odnawialne źródła energii). Mają przemyślane recepty na odbudowę publicznej służby zdrowia (większe nakłady, wyższe pensje wszystkich zawodów medycznych, lepsza kontrola kolejek do specjalistów).

Lecz poparcie dla Biejat waha się między 2 a 5 proc. Problem w tym, że recepty lewicy przestały interesować ludzi. Co poszło nie tak?

•

– Coś panu opowiem – zaczyna jedna z polityczek Nowej Lewicy, w partii od końca lat 90. – Pracowałam przy kampanii Aleksandra Kwaśniewskiego, którego wszyscy kochali, ludzie nosili go na rękach. Potem pomagałam przy kampanii Sojuszu Lewicy Demokratycznej, kiedy Leszek Miller o mały włos nie zdobył samodzielnej większości. Polacy nas uwielbiali, widzieli w nas wrażliwych społecznie polityków, którzy posprzątają po rządach liberałów i konserwatystów – opowiada działaczka.

– A dzisiaj? Nie ma ani tej energii, ani społecznego zaufania. Wielkim sukcesem będzie, jeśli Magda zrobi wynik lepszy od tego sprzed pięciu lat/

W 2020 r. Robert Biedroń – dziś zapomniany w europarlamencie, wówczas fetowany jako wciąż młoda, pełna energii nadzieja na przełamanie duopolu PiS-PO – zdobył 2,22 proc. Głosowało na niego nieco ponad 432 tys. osób.

•

To fascynujące, jaką drogę przeszła polska lewica: od marginalizacji PZPR, dogorywającej peerelowskiej partii władzy w pierwszych wolnych wyborach przełomowego 1989 roku przez triumf „postkomuny" SLD raptem cztery lata później i szokujące prezydenckie zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego w roku 1995 po mocny mandat uzyskany kilka lat później przez Millera. A następnie spektakularny upadek „żelaznego kanclerza" na początku lat 2000, czas smuty, kiedy lewicy nie było w parlamencie – i dzisiejsze wspólne rządy z liberałami. W roli najsłabszej przystawki, ale mimo wszystko z pozycją i wpływami. Niewspółmiernymi do mizernego realnego poparcia.

Rys historyczny jest konieczny, bo musimy zrozumieć kontekst i pamięć instytucjonalną Nowej Lewicy, czyli spadkobierczyni w linii prostej Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

W 1993 r. lewica pod rządami Millera, Kwaśniewskiego, Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza wygrała wybory parlamentarne – ledwo cztery lata po upadku autorytarnego komunistycznego (choć już głównie z nazwy) reżimu, w którym ta sama czwórka odgrywała ważne role. To zwycięstwo było możliwe z dwóch powodów: prawica była skłócona i rozdrobniona, a to właśnie wtedy pierwszy raz zastosowano 5-proc. próg wyborczy. A ludzie byli zmęczeni i przerażeni skalą transformacji gospodarczej. Od młodych socjaldemokratów – którym udało się odciąć od skojarzeń z siermięgą późnych lat 80. i „towarzyszami Szmaciakami" starszego pokolenia – oczekiwali wyhamowania cięć budżetowych, ochrony praw pracowniczych i zatrzymania triumfalnego pochodu katolickich konserwatystów.

Dwa lata później Kwaśniewski został prezydentem, pokonując samego Lecha Wałęsę, ludowego trybuna i światowej sławy ikonę antykomunistycznej opozycji w jednym, ponieważ on i jego sztabowcy nie tylko doskonale odczytali emocje społeczne, ale też potrafili je – co kluczowe w polityce – przepisać na program. Kwaśniewski miał jednocześnie obronić zwykłych ludzi przed kosztami transformacji oraz przygotować Polaków na skok w przyszłość: dobrobyt, Zachód, płaskie kolorowe telewizory, podróże zagraniczne i równe chodniki. Ówczesna lewica przekonała więc wyborców z dwóch różnych obozów: rodzącej się klasy średniej oraz porzuconych przez państwo robotników i rolników.

W 2001 roku sytuacja się powtórzyła: Miller obiecał nieco więcej obyczajowego luzu plus uporządkowanie kraju po chaotycznych rządach prawicy i liberałów. Skończyło się spektakularną porażką: w ciągu jednej kadencji poparcie dla SLD spadło o 30 proc. Miller – stanowczy, nawet bezwzględny, mający pełnię władzy politycznej i symbolicznej, ówczesny odpowiednik Tuska – upadł na skutek afery Rywina.

Lew Rywin był najbardziej wpływowym producentem filmowym przełomu XX i XXI wieku, współpracował z Romanem Polańskim i Andrzejem Wajdą, znał się doskonale z politykami, ludźmi mediów i biznesu. Ten potężny człowiek na zlecenie polityków lewicy złożył korupcyjną propozycję naczelnemu „Wyborczej" Adamowi Michnikowi: w zamian za 17,5 mln dolarów Rywin pomógłby zmienić przepisy uniemożliwiające Agorze, właścicielce „Wyborczej", kupno Telewizji Polsat. Ale Michnik wszystko ujawnił i wybuchła pierwsza tak wielka afera w III RP, transmitowana w telewizji i szeroko opisywana w mediach. Wraz z pracami sejmowej komisji śledczej badającej aferę zaczęło topnieć poparcia dla rządu Millera.

•

Ale tak naprawdę SLD straciło władzę – i nigdy tak naprawdę nie podniosło się z ringu – bo zdradziło ideały. Polityczne emocje były tylko zapalnikiem, który rozpalił tlące się głębsze społeczne niezadowolenie.

Miller prowadził – jak cała ówczesna europejska socjaldemokracja od Niemiec po Wielką Brytanię – neoliberalną politykę. Chciał zlikwidować fundusz alimentacyjny i dopłaty do barów mlecznych, prywatyzował kolejne zakłady pracy, zamroził podwyżki w budżetówce, zmniejszył budżet pomocy społecznej, 50-procentową ulgę na przejazdy kolejowe zmniejszył do 37 proc. Nie brzmi to jak program socjaldemokracji, nawet w czasach, kiedy dogmatem był wolny rynek i ograniczanie funkcji państwa. A w dodatku chodziło o coś więcej niż symbolika – z dzisiejszej perspektywy to wszystko drobiazgi, ale dla społeczeństwa wciąż na dorobku i nękanego cyklicznymi kryzysami cięcia były naprawdę bolesne. „Obiecywaliście, że będzie lepiej, a jest gorzej. Że dacie, a odbieracie" – to była emocja setek tysięcy obywateli.

Po upadku rządu Millera było już tylko gorzej: startujący w wyborach prezydenckich w 2005 roku Cimoszewicz miał początkowo szanse na wejście do drugiej tury z Lechem Kaczyńskim, ale wycofał się z wyścigu z powodu błędów w oświadczeniu majątkowym (ech, te dawne skandale!). Pięć lat później Grzegorz Napieralski zdołał wskoczyć na podium, zajmując trzecie miejsce – dostał 13,6 proc. i 2,2 mln głosów. 2015 był przeklętym rokiem nie tylko dla PO i PSL, dla lewicy również: Magdalena Ogórek, dzisiejsza gwiazda prawicowych mediów, zdobyła 2,3 proc. i 353 tys. głosów. W tym samym roku lewica pierwszy raz po 1989 roku nie weszła do Sejmu.

Od Napieralskiego do Biedronia – w 5 lat SLD straciło 2 mln wyborców.

•

Ale winy za klęskę polskiej socjaldemokracji nie ponoszą wyłącznie politycy lewicy. Swoje zrobiła ogólna atmosfera wielkiej rewolucji konserwatywnej, jaką obserwujemy w Polsce od 2005 roku.

W początkowej fazie epoki Tusk był kojarzony z prawicą tak samo, jak Jarosław i Lech Kaczyńscy. 20 lat temu ich atrakcyjne, bo świeże (większość wyborców zdążyła zapomnieć Kongres Liberalno-Demokratyczny młodziutkiego Donalda i Porozumienie Centrum Jarosława) formacje opowiadały się za lustracją, czyli ujawnieniem, kto z osób publicznych współpracował w PRL z bezpieką, szły do wyborów z hasłem budowy IV RP, która naprawi patologie III RP, dziecka „postkomuny" i liberałów, i oczyszczenia kraju z postkomunistycznych elit. Z czasem jedni – PO – nabrali europejskiego sznytu, uwodząc klasę średnią aspiracyjnymi hasłami, drudzy – PiS – po-

eprasa.pl a3741fa136

Jest jedyną kandydatką na prezydenta. Ale jej sztabowcy jakby za wszelką cenę próbowali ukryć, że Biejat jest kobietą

szli w bogoojczyźniany tradycjonalizm. Ale Tusk tak naprawdę aż do 2023 roku był liberalnym konserwatystą, który nie będzie zaglądał ludziom do łóżka, ale nie widzi politycznej przestrzeni dla liberalizacji prawa aborcyjnego, legalizacji związków partnerskich czy rozdziału państwa od Kościoła.

W tym samym czasie lewica – głównie za sprawą młodego środowiska Krytyki Politycznej – odkrywała nowe pola walki. Były nim kwestie kulturowe, światopoglądowe, związane z tożsamością płciową. Lewicowe elity angażowały się w emancypację kobiet i środowisk LGBT – tyle że nie miały żadnej odpowiedzi na rosnące nierówności, nie potrafiły reagować na podszytą nacjonalizmem politykę historyczną i ograniczanie praw pracowniczych.

Gdy do Marszów Niepodległości, przez lata niszowej imprezy garstki narodowców i skinheadów, dołączały kolejne tysiące młodych „normalsów", aspirujących do klasy średniej i sfrustrowanych „śmieciówkami", rosnącymi cenami mieszkań, zablokowanymi kanałami awansu, młoda lewica organizowała sympozja o skutkach globalizacji i sytuacji postkolonialnej w Afryce.

Więc w pierwszych latach odbudowy lewica przegapiła okazję na zaistnienie z przytupem w świadomości mainstreamowego wyborcy, potem jako polityczny gang Olsena stała się pośmiewiskiem. A kiedy wreszcie już, już witała się z gąską – bo po latach obyczajowo opresyjnych, aferalnych i zwyczajnie żenujących rządów PiS już nie tylko wielkomiejscy zamożni wyborcy mieli dość panoszącego się Kościoła, ograniczania praw kobiet, sekowania mniejszości seksualnych, lekceważenia problemów młodzieży, obrażania europejskich sojuszników i dewastacji przyrody – spotkała na swojej drodze zawodnika wagi ciężkiej. Czyli Tuska, który jednym ruchem przejął najważniejsze postulaty światopoglądowe lewicy.

I partia Włodzimierza Czarzastego, klasycznego działacza, niegdyś aparatczyka i rzutkiego przedsiębiorcy branży wydawniczej w jednym, który ku zdumieniu wszystkich doprowadził do wielkiego powrotu lewicy do Sejmu, znowu znalazła się w politycznej próżni.

•

Podsumowując: lewica utraciła umiejętność przekładania nastrojów społecznych na postulaty polityczne.

Jasne, trzeba pamiętać o Adrianie Zandbergu, który w 2015 r. zaproponował sensowny program ambitnej modernizacji, wielkich inwestycji, postawienia na nogi usług publicznych. Ale przy okazji zdradził, że chciałby obłożyć najbogatszych potężnym podatkiem, i zdaniem niektórych komentatorów właśnie ten pryncypialnie lewicowy punkt programu zaszkodził Razem – bo Polacy nie chcą słyszeć o nowych daninach, nawet jeśli miałyby im pomóc, a dotknąć tych, którym się powodzi. Jeśli ktoś ma się podzielić, dosypać do domowego budżetu – to państwo. A tę emocję zdążył zagospodarować PiS. Mimo to lewicowa agenda w socjalno-rozwojowo-aspiracyjnym wydaniu okazała się atrakcyjna. Na tyle, że dała „razemkom" z Zandbergiem na czele powszechną rozpoznawalność oraz medialny status „Partii, Która Za Cztery Lata Na Pewno Zmieni Polskę" – a jednocześnie na tyle rozproszyła głosy lewicowych wyborców, że ani Razem, ani SLD Millera nie weszły do Sejmu.

I nagle pojawia się Magdalena Biejat. Przez lata związana z partią Razem, która przez lata żyła fantazją o wielkiej rewolucji ludowej i sojuszu inteligencji z robotnikami pracującymi w tymczasowych strefach ekonomicznych, nagle wskoczyła do „dużej" polityki. W 2019 r. weszła do Sejmu, startując z nie najlepszego, bo czwartego miejsca w Warszawie. A w 2023 r. weszła do Senatu, została wicemarszałkinią izby wyższej i odłączyła się od sekciarskiej grupy skupionej wokół Zandberga. Wybrała polityczną sprawczość i współrządzenie z Koalicją 15 października.

– Jedna z najbardziej odważnych i ambitnych polityczek młodego pokolenia – tak mówią o niej nie tylko politycy Nowej Lewicy w kuluarowych rozmowach.

Już pod koniec ubiegłorocznych wakacji usłyszałem, że Biejat chce wyjść z Razem, bo ma ambicje prezydenckie. Kiedy w ostatnich miesiącach je ujawniła, spytałem najbliższych współpracowników Czarzastego, dlaczego lider postawił na Biejat. Czy to prawda, że postawiła warunek: wyjdę z Razem, ale wystawicie mnie na prezydenta?

– To chyba bardziej skomplikowane. Żadna z naszych minister nie chciała startować, bo obawiały się porażki. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk czy Katarzyna Kotula mogłyby spokojnie kandydować, ale nie były zainteresowane. A Magdy nie trzeba było namawiać, bo wie, że walczy tak naprawdę o rozpoznawalność i przejęcie w przyszłości władzy po lewej stronie sceny. Ona i cała Nowa Lewica wiedzą, że nie wygramy tych wyborów, dla nas liczy się coś innego: Włodek chciał zainwestować w nowe nazwisko i poszerzyć bazę wyborców – opowiada mój rozmówca.

Fakty są jednak takie, że Biejat nie przyciąga nawet wyborców Nowej Lewicy: partię popiera 8 proc. wyborców, a jej kandydatkę – 3 proc. – Bo Rafał Trzaskowski odbiera nam głosy. Gdyby kandydatem Koalicji Obywatelskiej był Radek Sikorski, Magda miałaby dzisiaj 10 proc. – twierdzi znany działacz lewicy.

I jeszcze jedna sprawa, o której mówią w sztabie Biejat. – Kampanię zdominowała tematyka bezpieczeństwa i ochrony granic. A Biejat wypada na tle mężczyzn słabo, nie potrafi przebić się ze swoją narracją, co jest dziwne, bo mieliśmy bardzo lubianych ministrów obrony narodowej takich jak Jerzy Szmajdziński czy Janusz Zemke. Boimy się, że do końca kampanii nie otworzy się dla nas okienko, kiedy będziemy mogli opowiedzieć o naszym pomyśle na Polskę – mówią mi sztabowcy.

Ta rozmowa uświadomiła mi, dlaczego wzywanie na pomoc przy dosłownie każdych wyborach Aleksandra Kwaśniewskiego nie ma większego sensu, a mówiąc inaczej: dlaczego ktoś o takim nazwisku i dorobku nie przynosi lewicy worka głosów. Odpowiedź jest banalna: „Szmajdziński? Że kto?". Eks-prezydent jest wciąż popularny i lubiany jako on sam, natomiast z upływem lat i wchodzeniem w dorosłość kolejnych pokoleń ludzie przestali kojarzyć tamtą ekipę, jej dokonania i tamte nazwiska, nawet zasłużone czy znaczące. Tak samo, jak dziś nikt nie pamięta Jana Rokity, Mariana Krzaklewskiego czy Jerzego Buzka.

•

W dodatku swoje robi bratobójcza walka z Zandbergiem, który też chce zostać prezydentem i którego poparcie też waha się o 2 do 5 proc.

Rozmawiam z prominentnym politykiem Nowej Lewicy z najbliższego otoczenia Czarzastego: – Czy zadzwonicie do Zandberga i zaproponujecie mu podmiankę w wyborach? Zamiast Biejat cała lewica poparłaby lidera Razem. Co by nie mówić, jednak bardziej kojarzonego przez przeciętnego wyborcę.

– Wykluczone. Po tym, co o nas mówią, jakikolwiek sojusz z ludźmi od Zandberga jest wykluczony.

– Ale to on ma poparcie. Może niezbyt imponujące, ale wyższe niż wasza kandydatka.

– To chwilowy trend, za chwilę go przegonimy i zaczniemy ścigać Sławomira Mentzena na TikToku i Instagramie.

– Panie pośle, litości! Już zostawmy to, że Mentzena wszędzie pełno, każdego dnia odwiedza inne miasto i miasteczko. Ale on budował zasięgi przez lata. Skąd lewica weźmie nagle kilka milionów złotych na płatne reklamy na fejsie i na insta, na karmienie algorytmów X i TikToka?

– Spokojnie, mamy kilka nieruchomości w całej Polsce, nie narzekamy na brak pieniędzy.

•

Chciałem na własne oczy przekonać się, jak Biejat wypada na wiecu wyborczym, co mówi, jakich emocji dotyka. A przy okazji zapytać ludzi, dlaczego nie przekonuje ich młoda polityczka, jedyna kobieta w wyścigu o prezydenturę.

W ostatnią niedzielę Biejat zawitała do Warszawy. Na Polu Mokotowskim lewica rozstawiła namiot,

• 23 marca, Warszawa, Magdalena Biejat w swoim miasteczku kampanijnym na Polu Mokotowskim

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl a3741fa136

wielką literę „B", która jest jej znakiem graficznym, oraz maszynę do robienia waty cukrowej. Młodzi działacze rozdawali przypinki, torby i koszulki z zielonym „B", wokół biegały pieski, dzieci wyrywały się rodzicom w stronę kuszącej chemicznym zapachem waty cukrowej. Obok dymił grill.

Zanim przyjechała bohaterka dnia, w miasteczku lewicy pojawił się inny kandydat. Pomiędzy dziennikarzami i przechodniami zapanowało poruszenie na widok Krzysztofa Stanowskiego. Słynny youtuber w ostatnim czasie odwiedza wszystkich kandydatów, przepytuje ich z programu i zaprasza do Kanału Zero. Przechadzając się pomiędzy namiotami, grillem i watą cukrową, na dłuższą chwilę stał się gwiazdą wiecu Biejat. Nawet młode lewicowe działaczki chętnie robiły sobie z nim selfie. Tę kłopotliwą sytuację zakończyła mikro debata dwojga kandydatów, w której twórca Kanału Zero nacierał, zadając zaczepne pytania, a Biejat musiała błyskotliwie na nie odpowiadać.

Poradziła sobie całkiem dobrze. Zbijała kolejne argumenty Stanowskiego, który pytał o wysokie podatki (powinny być progresywne), nierówno traktowanie mężczyzn (trzeba wprowadzić jawność płac) czy – moje ulubione – „a w czym pani jest lepsza ode mnie?". – Jestem lewaczką – zaśmiała się Biejat.

•

Stanowski na sam koniec zrobił sobie zdjęcie z kandydatką lewicy, dostał torbę z literką „B", a przed mikrofonem stanęła Magdalena Biejat. Trzeba przyznać: potrafi przemawiać z charyzmą i energią, jest mocno zaangażowana, jej przekaz jest jasny i zrozumiały. Mówiła sporo o mieszkaniach (że trzeba budować), ochronie zdrowia (że nie dopuści do prywatyzacji), bezpieczeństwie (również tym codziennym). Aż nagle zaczęła opowiadać o opodatkowaniu wielkich korporacji, a w mojej głowie zaczęło kotłować się pytanie: ale w sumie kogo to obchodzi?

Na poziomie intelektualnej dyskusji wszystko jest super: międzynarodowe korporacje nie płacą w Polsce tyle, ile powinny, stosują sztuczki, powinny dorzucać się do systemu opieki zdrowia, obronności, generalnie do rozwoju kraju, w którym zarabiają, więc państwo musi wprowadzić dodatkowe obciążenia podatkowe. To dobre argumenty i zrozumiała, atrakcyjna emocja polityczna: duże firmy nie dzielą się wypracowanym zyskiem, trzeba więc je docisnąć, bo zarabiają tyle, że nawet 50- procentowa danina nie uszczupli ich zysków. Tylko że od razu przypominam sobie badania Ipsos – te, które dopiero co w tajemnicy prezentowano dziennikarzom. A z nich wynika, że podatkami interesuje się 11 proc. wyborców Biejat, 16 proc. wyborców Trzaskowskiego i 10 proc. osób popierających Zandberga.

Jedynie elektoraty Sławomira Mentzena (26 proc.) i Szymona Hołowni (22 proc.) pociąga ten temat. Mówiąc inaczej: podatki, a szczególnie ich podwyższanie komukolwiek, nie są tematem tych wyborów.

•

Po przemówieniu Biejat kręciłem się chwilę wśród działaczy i pytałem o szanse ich kandydatki. Dominująca odpowiedź była jedna. Ta sama, którą wcześniej dostawałem na sejmowych korytarzach: oby nie było gorzej niż pięć lat temu. – Pewnie my i Adrian zdobędziemy w sumie 5 proc. No cóż, nie narzucamy w tym momencie tonu tej kampanii – usłyszałem.

Zaczepiłem też kilka osób spoza partii, które przyglądały się wiecowi. – My od zawsze z mężem głosujemy na lewicę, zgodnie z głosem serca – mówi pani Zofia. Mąż przytakuje. – W pierwszej turze możemy zagłosować zgodnie z poglądami, w drugiej poprzemy Trzaskowskiego – dopowiada. Pytam jej męża, czy Biejat będzie odpowiednią prezydentką na czasy kojarzące się wojennie. – No cóż, na tle facetów prezentuje się słabo – smutno się uśmiecha.

• **20 marca, Warszawa, kandydat Razem na prezydenta Adrian Zandberg składa podpisy poparcia w Państwowej Komisji Wyborczej** FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prof. Sadura: Lewica jest postrzegana przez społeczeństwo jak mały, rozszczekany piesek, który nie ma żadnej władzy, za to jest głośny. Lewica ma twarz imby, awantury, kłótni, a Konfederacja to dobrze przygotowany ekspert

– Ale chodzi o to, żeby potrafiła dogadać się z rządem – dopowiada pani Zofia.

Idę dalej i spotykam Patryka, pielęgniarza pracującego w jednym ze szpitali. – Czy Biejat reprezentuje moje interesy? Tylko dlatego, że ma przy sobie posłankę Joannę Wichę, która przez lata pracowała jako pielęgniarka. Ale poza tym to nie wyobrażam sobie, że głosuję na kandydatkę, która kluczyła w sprawie składki zdrowotnej. Raz głosowała za jej obniżeniem, teraz mówi co innego – Patryk się rozgaduje, wykazując niezłą orientację w politycznych meandrach. – A, no Włodek Czarzasty jest obciachowy, a przecież ją popiera. Może na czas kampanii powinni go schować?

To zagłosuje na Biejat czy nie? – Na pewno nie. Chce podwyżek dla nas, mówi nawet spoko rzeczy o mieszkaniach, ale nie jest autentyczna. Nie ufam jej.

I jeszcze jedna rozmowa, tym razem z wymarzoną wyborczynią lewicy, czyli nauczycielką z miasta powiatowego. Zwracam jej uwagę, że Biejat proponuje podwyżki dla nauczycieli, leży jej na sercu dobro szkoły, rozumie nowoczesną edukację, mówi o dostępnych mieszkaniach, z których skorzystają jej dzieci. No i jest kobietą, a kobiety chyba powinny głosować na kobiety.

– Owszem, jej poglądy do mnie przemawiają, doceniam głośne upominanie się o prawa kobiet, jednak nawet nie rozważałam oddania głosu na panią Biejat. Bardziej postawiłabym na Trzaskowskiego, który jest politykiem z dużo większym doświadczeniem, samorządowcem – pani Lucyna argumentuje wnikliwie i z zaangażowaniem. – Oddanie głosu na panią Biejat, z jej obecnym poparciem, byłoby odebraniem głosu Trzaskowskiemu, jedynemu kandydatowi, który jest w stanie wygrać z kandydatami PiS i Konfederacji, a tych panów nie chciałabym nigdy zobaczyć w Pałacu Prezydenckim.

Dopytuję więc, co musiałaby zaproponować Biejat, żeby zmieniła zdanie. – Dopóki trwa wojna PiS – PO, a teraz jeszcze, niestety, Konfederacja rośnie w siłę, to zatrzymanie radykałów jest dla mnie nadrzędne. W obecnym układzie nie przekona mnie pani Biejat. Może kiedy już będzie bardziej „normalnie" i kiedy będziemy mieli kraj, rząd i prezydenta naprawdę wszystkich Polaków, bez wykluczeń i pogardy dla tak dużych grup ludzi, wtedy będę miała większy wybór. Teraz nie czuje, że mam wybór. Muszę zrobić to, co według mnie słuszne – słyszę w odpowiedzi.

•

– Ale co pan tak narzeka i szuka dziury w całym. Mamy jeszcze siedem tygodni, kampania dopiero się rozkręca, słuchamy doradców i radykalizujemy przekaz. Jeszcze się odbijemy – mówi poseł lewicy.

Tylko w ostatnich kilku dniach Biejat mocno zaatakowała Kościół za to, że w czasach rządów PiS dostał od państwa co najmniej 10 mld złotych. Była w Brukseli, gdzie spotkała się z socjaldemokratami z innych państw, z którymi rozmawiała o przekazaniu Ukrainie rosyjskich pieniędzy zamrożonych na zagranicznych kontach. W dynamicznym filmiku opowiadała o patologiach rynku mieszkaniowego. Zapowiedziała wprowadzenie limitu marż kredytów hipotecznych. Powtarza, że chce wprowadzić podatek katastralny.

Ale w tych wszystkich wypowiedziach przebija ten sam problem. Ludzie chcą usłyszeć jasne deklaracje w sprawie kosztów życia, ochrony zdrowia czy mieszkań – ale czy przerzucanie odpowiedzialności na banki i proponowanie nowego podatku to jasna, przemawiająca do wyobraźni odpowiedź? Hasła dość abstrakcyjne, niekoniecznie odnoszące się do codziennego doświadczenia wyborcy, a na pewno wymagające sporej wiedzy ekonomicznej – to ma być ten lewicowy populizm, atrakcyjna, chwytliwa odpowiedź na populizm liberałów, prawicy i alt-prawicy?

•

A może właśnie tak? Jakimi hasłami Biejat mogłaby wygrać? O to pytam prof. Przemysława Sadurę.

– Lewica nie potrafi dotrzeć ze swoim przekazem do ludzi. W badaniach fokusowych, czyli w trakcie pogłębionych wywiadów, ludzie mylili programy mieszkaniowe lewicy i Koalicji Obywatelskiej, a przecież one opierają się na zupełnie innej filozofii – opowiada. – Poza tym politycy lewicy nie są wiarygodni w oczach elektoratów innych niż te progresywne.

– To jaka byłaby recepta na sukces? – pytam.

– Partia Czarzastego mogłaby przypomnieć sobie o usługach publicznych czy gospodarce, wyjść z nową ofertą i trafić z nią do osób, które dzisiaj nie rozważają oddania głosu na lewicę. Nie wiem jednak, w jaki sposób połączyć atrakcyjny program gospodarczy z bardzo progresywną agendą światopoglądową – zastanawia się Sadura.

A więc łącznie wody i ognia się nie uda, bo część robotników (dziś trafniej byłoby powiedzieć – pracowników produkcji i usług), klasy ludowej i szeroko rozumianego zwykłego społeczeństwa nie popiera małżeństw jednopłciowych – i pole dla lewicy może się pojawić, dopiero kiedy to rządzący liberałowie w końcu wprowadzą wszystkie cywilizacyjne ustawy z aborcją i związkami partnerskimi na czele, normalizując je w oczach wyszydzanych w memach „Janusza z Grażyną".

A skoro tak, to może dzisiejsza lewica, więc również Biejat, powinna silniej grać na emocjach? - pytam profesora. Na przykład na tym, że jest jedyną kandydatką na prezydenta? Ale jej sztabowcy jakby za wszelką cenę próbowali ukryć, że Biejat jest kobietą.

- Aż do Dnia Kobiet ona w ogóle nie zajmowała się agendą kobiecą - zauważa Sadura. - A przecież jako jedyna kobieta w tegorocznym wyścigu prezydenckim powinna ciągle podkreślać, że wybory służą też do zmobilizowania kobiet, które opuściły Koalicję 15 Października.

Ale socjolog zastrzega, że silne emocje nie zawsze sprzyjają lewicy. – Która już teraz jest postrzegana przez społeczeństwo jak mały, rozszczekany piesek, który nie ma żadnej władzy, za to jest irytująco głośny. Lewica ma twarz imby, awantury, kłótni, a Konfederacja to dobrze przygotowany ekspert. Więc granie na emocjach nie jest dobrym pomysłem – mówi profesor. – Może wzrośnie im rozpoznawalność, gdy polityczki lewicy na dobre zadomowią się w rolkach na TikToku, ale jeszcze nie wygrano wyborów, wyłącznie posiłkując się kontrowersją.

W dodatku na tym polu, tak jak kiedyś PiS Razem w kwestii rozwoju i redystrybucji, Nową Lewicę ubiegła Konfederacja. Dzisiaj – czy tego chcemy czy nie – to ona kreuje nowy rodzaj polityki.

Kiedy PiS ograniczył dostęp do mediów publicznych, wyraziści – każdy na inną modłę – Mentzen, Krzysztof Bosak i Grzegorz Braun zbudowali sobie potężne zasięgi w serwisach społecznościowych. Kiedy Mentzen z Bosakiem odkryli, że przesada i peformans nie ułatwiają budowy wizerunku cywilizowanego konserwatysty – pozbyli się z pokładu Brauna. Czyli umieli zatrzymać eskalację emocji.

A kiedy jeszcze nikt nie myślał o realnej kampanii, takiej w terenie, Mentzen już objeżdżał kraj. Specjaliści mówili o falstarcie, ryzyku wypalenia się kandydata, ale każdy sztabowiec praktyk wie, że każdy tydzień w trasie to wzrosty poparcia. Konfederaci, jak na start-upowców przystało, wiedzieli, że nie muszą wyprzedzać konkurencji o dekady, wystarczy, że będą przed nią o krok.

Nie chodzi o wychwalanie poglądów lidera Konfederacji, ale o metodę działania. Lewica w tym czasie nie zrobiła za wiele.

Kiedyś Jacek Kuroń powiedział, żeby nie palić komitetów, tylko zakładać własne. Ten bon mot, nadużywany przez publicystów przy kolejnych zamachach rządzącej Zjednoczonej Prawicy na swobody obywatelskie i instytucje państwa, w pewnej chwili stał się okolicznościową formułą wydrążoną z treści, trochę jak „walka o praworządność i demokrację".

Ale przecież pozostaje aktualny jako jedna z podstawowych zasad skutecznej polityki. Lewica zapomniała o tym świętym przykazaniu. ●

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Jekyll i Hyde

Posługiwanie się tytułem doktora nie było dla Karola Nawrockiego wyrazem straceńczej dumy, ale próbą odcięcia się od swojej mrocznej strony, która co jakiś czas wychodziła na jaw w mediach.

Michał Rusinek

Kandydaci i kandydatki na urząd prezydenta RP zdobyli różne stopnie wykształcenia, przy czym stopień doktora mają m.in.: Rafał Trzaskowski, Adrian Zandberg, Sławomir Mentzen i Karol Nawrocki, a Joanna Senyszyn jest nawet profesorką. Jednak w kampanii wyborczej tylko Nawrocki posługuje się stopniem naukowym i jest przez swoje środowisko konsekwentnie nim tytułowany.

•

Właściwie dlaczego nie mówi się o doktorze Trzaskowskim, doktorze Zandbergu, doktorze Mentzenie i profesor Senyszyn? Dlaczego tylko Nawrocki szarżuje na Pałac Prezydencki z podniesioną przyłbicą człowieka nauki? Co nim kierowało? Straceńcza strategia czy duma ze stopnia naukowego, niepodzielana przez pozostałych kandydatów? Gdyby Nawrocki pochodził z Krakowa, gdzie wciąż panuje pozaborowa tytułomania, sprawa byłaby oczywista.

W pozostałych częściach Polski tylko tytuł profesora, i to wyłącznie belwederskiego, przykleja się na stałe do nazwiska.

A doktor? Niegdyś był synonimem słowa „lekarz", a więc kojarzył się z zawodem darzonym wyższym zaufaniem społecznym niż polityk, ale czy wciąż się kojarzy?

Pytania mnożyły się do momentu, kiedy Emilia Wierzbicki, rzeczniczka Karola Nawrockiego, potwierdziła dziennikarzowi Onetu Andrzejowi Stankiewiczowi, że Tadeusz Batyr – autor biografii Nikosia, ojca chrzestnego trójmiejskiej mafii, to pseudonim Nawrockiego. Natychmiast poinformowała o tym propisowska telewizja wPolsce24 i portal wpolityce.pl, uprzedzając Onet. I wtedy wszystko stało się jasne.

•

Otóż Karol Nawrocki występuje w przyrodzie w dwóch postaciach: jako subtelny intelektualista, autor rozprawy doktorskiej pt. „Opór społeczny wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim 1976-1989" oraz jako tajemniczy autor czytadła „Spowiedź Nikosia zza grobu", reklamowanego jako „pierwsza biografia". W dodatku jako Tadeusz Batyr (Tadeusz to drugie imię Nawrockiego, a „batyr" oznacza po turecku wojownika), w bejsbolówce, z rozmazaną twarzą i zmienionym głosem, chwalił Karola Nawrockiego jako historyka w 2018 r. w TVP: „To historyk, który mnie zainspirował, pierwszy który zajmował się zagadnieniami przestępczości zorganizowanej w PRL. Starałem się do tych suchych historycznych prac doktora Nawrockiego dołożyć (...)publicystykę, ale też rozmowy ze świadkami tamtych wydarzeń". Nawrocki chwali za to na swoim Facebooku książkę Batyra, który zgłosił się do niego „po kilka wskazówek dotyczących uwikłań Nikosia. Za ich udzielenie podziękował ciekawą książką, którą polecam".

Widać więc, że obaj panowie darzą się szacunkiem, ale zła natura Batyra powoduje, że bezczelnie określa on prace naukowe Nawrockiego mianem „suchych".

•

Wszystko to układa się w przejrzysty obraz, z którym oswoiła nas literatura. W 1886 r. Robert Louis Stevenson opublikował słynną nowelę „Doktor Jekyll i pan Hyde". Jest to historia śledztwa prowadzonego przez prawnika, Johna Gabriela Uttersona, w sprawie tajemniczych powiązań jego przyjaciela, doktora Jekylla z podejrzanym mizantropem Edwardem Hyde'em. Śledztwo ujawnia, że to jedna i ta sama osoba i że Jekyll stworzył eliksir pozwalający mu zmienić postać. Po jego wypiciu, pod osłoną nocy zmienia się w ucieleśnienie zła.

Posługiwanie się tytułem doktora przez Karola Nawrockiego nie było wyrazem straceńczej dumy, tylko próbą odcięcia się od swojej mrocznej strony, która co jakiś czas wychodziła na jaw w mediach.

„To nie ja, to Batyr!" – mógłby zakrzyknąć doktor Nawrocki, podobnie jak doktor Jekyll, który mówi, że miał „dwie postaci i dwa charaktery: jeden był gruntownie zły, drugi pozostał nadal charakterem Henry'ego Jekylla [...] Henry Jekyll brzydził się niekiedy postępkami Edwarda Hyde'a, ale [...] z wolna przestały się u Henry'ego Jekylla odzywać wyrzuty sumienia". Stevenson pisze, że Jekylla i Hyde'a oddzielała „nieprzenikniona zasłona".

•

Ale posługiwanie się tytułem doktora przez Nawrockiego było także wołaniem o pomoc, rozpaczliwym sygnałem, że jest on nowym wcieleniem doktora Jekylla, który pod wpływam – jak sam mówi – „wymogu zawodowej chwili" – powołał do życia straszną postać. Może ona robić coś, czego doktorowi Nawrockiemu – dyrektorowi Muzeum II Wojny Światowej, a potem prezesowi IPN-u – nie wypada np. z perwersyjną dokładnością opisywać zmasakrowane zwłoki gangstera i wykazywać niezdrową fascynację gangsterskim półświatkiem. To rozdzielenie jaźni z początku było wygodne i nawet zabawne, jak u Stevensona „lubowałem się tą możliwością, wydawała mi się nawet humorystyczna". To rzeczywiście kuszące: „Zło mogłoby kroczyć swoją drogą, pozbawione skrupułów swego szlachetniejszego bliźniaka. Dobro mogłoby pewnie i silnie odbywać swą drogę wzwyż i czynić dobrze, nie będąc narażone na hamulce ze strony bliźniaczego swego zła" – wzwyż, aż ku Pałacowi Prezydenckiemu. Ale rozdzielenie jaźni musiało być dla Nawrockiego zarazem nieludzkim obciążeniem psychicznym, podobnie jak dla Jekylla.

Nawrocki czekał długie miesiące, aż pojawi się jakiś Utterson i odkryje jego mroczne alter ego – pana Batyra, o wymyślonym nazwisku, podobnie jak Hyde (nazwisko zawiera odwołanie do Hyde Parku, w którym znajduje się Speakers' Corner, gdzie można bezkarnie mówić wszystko, co się chce oraz które brzmi jak „hide", czyli coś lub ktoś, kto się ukrywa w mroku). Nowym wcieleniem Uttersona okazał się Stankiewicz. To dzięki niemu poznaliśmy straszliwą prawdę, to on był akuszerem oczyszczającego wyznania Nawrockiego dokonanego ustami jego rzeczniczki prasowej.

I co teraz będzie? Są różne wersje i adaptacje tej noweli Stevensona, ale wszystkie kończą się dla doktora Jekylla źle. Przemiany w Hyde'a stają się coraz częstsze i mimowolne, konsekwencje jego czynów – coraz straszniejsze. Hyde czyni spustoszenie w życiu Jekylla, niszczy jego karierę i reputację. Jak mówi do Jekylla w musicalowej adaptacji Lesliego Bricusse'a i Franka Wildhorna: „To nie sen, mój drogi, i nie skończy się nigdy. To jest koszmar, który wiecznie trwa. Hyde zostanie z tobą, choćbyś się i opierał. Będzie żył, gdy gwiazda zgaśnie twa!". Następnie słyszymy „unoszące się w powietrzu nieziemskie głosy oraz bicie dzwonów". Kurtyna – opada. ●

Kula pogardy z windy

Politycy PiS prześcigają się w najbardziej perfidnym wykorzystaniu śmierci Barbary Skrzypek.

Marcin Matczak

Jakie były najbardziej popularne skrótowce mojego dzieciństwa? PKP, PKS i CPN, związane z podróżami. ZHP i SKS, przyjemne, dotyczące życia po szkole. Z rozmów dorosłych PGR i GS. No i polityka: PZPR, ORMO, ZOMO. A nad tym wszystkim PRL.

Dzisiaj to TL; DR (Too Long; Didn't Read) – albo jego polski odpowiednik ZBYD (Za Bardzo, Yhy, Długie). Jak ma być czas na czytanie, skoro nie ma czasu na oglądanie meczu piłki nożnej? Ogląda się tylko skróty: bramki i brutalne faule. Sześć tysięcy znaków w felietonie na jeden temat to prawie „Wojna i pokój". Piszę więc felieton patchworkowy, złożony z małych felietoników. Podsumowanie z samych podsumowań. Mamy w końcu kryzys narracji i upadek uwagi, więc może ta nowa forma się przyjmie.

1. Dwa rodzaje gościnności

Wizytuję służbowo USA i porównuję sobie gościnność tutejszą z tą bardziej wschodnią. Wychodzi na to, że jest gościnność wrodzona, kulturowa oraz gościnność transakcyjna, wykalkulowana, kapitalistyczna. Kliszą jest mówić, że od czasu, jak dwieście lat temu Alexis de Tocqueville opisał Amerykę, nic się nie zmieniło. Ale przeczytajcie sami:

„Nigdy nie widziałem w wielkim mieście oberżysty, który żądałby wygórowanej ceny z większą bezczelnością niż ci mieszkańcy pustkowia, u których wyobrażałem sobie znaleźć pierwotną gościnność i prostotę patriarchalnych obyczajów."

Amerykanie prywatnie potrafią być hojni w gościnności. Ale profesjonalna gościnność, ta hotelowa czy restauracyjna, w USA to raczej performans – wyreżyserowane przedstawienie PR. Minimum, żeby gość nie pozwał, a żeby jednak zostawił ten obowiązkowy napiwek, który na Dalekim Wschodzie byłby dla gospodarza obrazą. Powierzchownie, sztucznie, bez jakości. Kultura „have a nice day!", społeczeństwa retorycznego „how are you!", na które nikt nie chce słyszeć odpowiedzi. Relacja jak kontrakt – nic więcej od siebie, dużo od klienta.

A może jednak ta gościnność kapitalistyczna jest tu kulturowa? U nas „gość w dom, Bóg w dom", u protestantów zysk jako błogosławieństwo, a więc „gość w dom, pieniądz w dom, a więc i Bóg w dom". Może to, że w USA nie było feudalizmu, powoduje, że ta gościnność nie jest oparta na zasadzie „klient nasz pan"? W każdym razie podróże pozwalają nieraz docenić bardziej swoje niż obce.

2. Kevinometer

Naukowcy donoszą, że w czasach kryzysu i strachów ludzie nadają dzieciom statystycznie więcej imion wymyślnych. Tak jakby chcieli je lepiej wyposażyć na drogę. Zwykły Adam czy Ewa dziecka nie wyróżni. Ale już Noe, Bolko, Esmeralda czy Rima – całkiem inna sprawa!

Prasa jednak ostrzega – może być odwrotnie. Dziwne imię może dziecko skrzywdzić. Może sygnalizować plebejskie bardziej niż szlachetne pochodzenie. Niemcy mają podobno „Kevinometer" – wskaźnik wymyślnych imion, który może sygnalizować i społeczny kryzys, i ludowe aspiracje. Parafrazując wypowiedź niemieckiego pedagoga Michaela Fertiga o „Kevinie" można by powiedzieć: „Brajan to nie imię, to diagnoza". Z drugiej strony „The Economist" pisze, że według badań w tychże Niemczech statystycznie więcej prezesów wielkich firm ma na nazwisko Król albo Książę (König, Fürst). Więc tak naprawdę nie wiadomo, czy lepiej dać chłopcu Józek czy Alessandro.

3. Semka i Baczyński

Na ekrany wszedł „Smoleńsk – kolejne starcie". Politycy PiS prześcigają się w najbardziej perfidnym wykorzystaniu śmierci Barbary Skrzypek, wiekiem od trumny podpierając spadające słupki poparcia Karola Nawrockiego.

Na czoło peletonu w tym najpodlejszym z wyścigów wysunął się Piotr Semka, który na swoim profilu „X" w dniu pogrzebu dokonał, jak sam pisze, „niezdarnej trawestacji" „Elegii" Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Poniżej całość (czytacie na własną odpowiedzialność):

„I POCZUŁAŚ JAK SIĘ JEŻY W DZWIĘKU MINUT ZŁO, ZANIM PADŁAŚ JESZCZE ZiEMIĘ PRZEŻEGNAŁAŚ RĘKĄ, CZY TO BYŁA KULA POGARDY CZY TO SERCE PĘKŁO?" (pisownia i spacje oryginalne)

Tej trawestacji Semka musiał dokonać w windzie – jest tak zła na tak wielu piętrach. Pomijam brak decorum, porównanie śmierci w czasie pokoju z oddaniem życia za ojczyznę. Pomijam, że znowu ktoś chce nazywać zmarłych „poległymi", dając z liścia w twarz prawdziwym ofiarom wojen. Ale zamienić „synku" na „pogardy"? Zmienić liczbę sylab, zgubić rytm, odebrać Baczyńskiemu tę nieprawdopodobną czułość? To gorzej niż zbezcześcić.

Może Semka, wymyślając „kulę pogardy", trawestował nie Baczyńskiego, ale poetę granego przez Igora Kwiatkowskiego w skeczu „Wieczór autorski"? „Osuwając się na ziemię, zdążył jeszcze z drugiej ręki nadać paczkę o nazwie »kula«, która mknęła właśnie poleconym w stronę Johna. Kurier śmierci. Piewca pożogi. To priorytet, którego nie chciał odebrać. Uskoczył i zaczął uciekać, ale się zmęczył i szedł". Zbieżność stylu uderzająca.

•

„A może coś łączy te tematy?" – zastanawia się moja boomerska głowa, która ciągle chce fakty układać w opowieść z morałem, a nie w chaotyczną, internetową rolkę. Gościnność jako udawanie, Karen, Jessica i Ayan, kula pogardy i piewca pożogi?

Kryzys sensu, autentyczności i głębi – w gestach, relacjach i języku? Otwartość na portfel, nie na człowieka. Imię nie jako nośnik godności, dobre imię albo złe imię, ale jako mem czy baner reklamowy – skuteczne bądź nie. Niewrażliwość i prostactwo, które aż bolą. Brak poczucia, że słowa, formy i konteksty coś autonomicznie znaczą i że nie można tego zmieniać, bo to trochę tak, jakby narysować sprejem penisa na renesansowym obrazie.

Symulacja zamiast przeżycia. Powierzchnia zamiast wnętrza. PR zamiast superego. TL; DR. ●

eprasa.pl a3741fa136

PiS się trochę boi, a trochę nie

DOŁY PARTYJNE JUŻ PRZELICZAJĄ GŁOSY

• **Plakaty wyborcze Sławomira Mentzena i Karola Nawrockiego w Rabce Zdroju**
FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Elektorat nie ogarnął planu prezesa – śmieje się poseł PiS, gdy pytam o kampanię.

Dominika Wielowieyska

Żaden sztab nie może spać spokojnie – z ekipą Rafała Trzaskowskiego na czele. Poprzednie wybory prezydenckie – i w 2015, i w 2020 roku – pokazują, że na dwa miesiące przed głosowaniem sondaże były dalekie od obrazu pierwszej tury.

Przykład: w 2015 roku, kiedy Bronisław Komorowski konkurował z Andrzejem Dudą, w marcu różnica między kandydatami była całkiem spora na korzyść urzędującego wówczas prezydenta. W maju obaj dostali po nieco ponad 30 proc. głosów, różnica wynosiła około 1 proc. Żeby było śmieszniej, w sondażach rockman antysystemowiec Paweł Kukiz miał zaledwie 2 proc. a po dwóch miesiącach w I turze dostał ponad 20 proc.

W 2020 roku rozkład w sondażach był taki: 35 proc. wyborców chciało zagłosować na Dudę, 21 proc. na Rafała Trzaskowskiego, a 19 proc. na Szymona Hołownię. (PBS dla „Wyborczej"). Wynik I tury tymczasem wyglądał tak: Duda – 43 proc. Trzaskowski – 30 proc., Hołownia – 14 proc.

To pokazuje, jak bardzo na finiszu może się zmienić prezydencki krajobraz. A teraz znów jesteśmy w przededniu kluczowej rozgrywki.

Różnica w notowaniach między Karolem Nawrockim a Sławomirem Mentzenem w niektórych sondażach mieści się w granicy błędu statystycznego, nie można więc wykluczyć, że kandydat PiS nawet nie zdoła wejść do II tury.

Słabe notowania Nawrockiego – w okolicy 20 proc. – wywołały panikę wśród posłów PiS. Doły partyjne, po przejrzeniu badań dotyczących wyborów prezydenckich oraz preferencji partyjnych, przeliczają sobie procenty na mandaty w swoim okręgu. Widzą, że daje to im o 2-3 miejsca w Sejmie mniej w porównaniu z obecnym stanem posiadania. I naciskają na szefa sztabu, Pawła Szefernakera, aby ostrzej zaatakować Mentzena i Konfederację. Szefernaker się opiera i przekonuje, że przede wszystkim trzeba wzmocnić przekaz, że Nawrocki to kandydat PiS.

– Nasz elektorat trochę słabo ogarnął i choć prezes Kaczyński mrugał do niego okiem, że ta wersja z kandydatem obywatelskim to taka zmyłka, wyborcy tego nie załapali – śmieje się jeden z moich rozmówców.

Dowodu, że ci z wyborców PiS, którzy niezbyt interesują się polityką, nie zarejestrowali, kim jest szef IPN i kogo reprezentuje, dostarczają notowania Nawrockiego – niższe niż notowania PiS. Dlatego we właśnie zaczynającej się kampanii billboardowej na plakatach i reklamach wielkopowierzchniowych będzie wyraźnie zaznaczone, że Nawrocki to kandydat Prawa i Sprawiedliwości.

•

Sztabowcy na Nowogrodzkiej uspokajają posłów, że Mentzen nie pokona Nawrockiego. Na dowód pokazują badania CBOS, które opisują determinację wyborców poszczególnych prezydenckich kandydatów. Pracownia chciała wiedzieć, czy wyborcy są przywiązani do swoich decyzji. Spytała więc respondentów, jak bardzo są pewni, że zagłosują na danego polityka. Trzy czwarte wyborców Nawrockiego i Trzaskowskiego jest na sto procent przekonanych, że w dniu wyborów postawi na swojego obecnego wybrańca. A w przypadku Mentzena – tylko 48 proc. badanych.

Dla spin doktorów PiS to dowód, że Nawrocki może spać spokojnie. Bo w dniu próby część zwolenników kandydata Konfederacji albo zostanie w domu, albo zapomni o głosowaniu, albo zmieni zdanie pod wpływem jakiegoś przypadkowego impulsu. Ostateczny wynik Mentzena Nowogrodzka szacuje na 16-17 proc.

Następny wniosek, jaki wyciągają w sztabie: kandydat PiS absolutnie nie powinien osobiście atakować Mentzena, trzeba raczej budować wspólnotę poglądów z Konfederacją, bo w większości spraw obie partie się zgadzają. Wręcz przymierzają się już do wspólnego rządzenia w przyszłości.

Co prawda Nawrocki na jednym z ostatnich spotkań z szerokim uśmiechem informował, że on zostanie z uczestnikami spotkania, porozmawia, porobi zdjęcia i nie będzie nigdzie uciekał. To czytelna aluzja do zachowania Mentzena, który po swoich wiecach zwiewa albo na hulajnodze, albo na piechotę, aby uniknąć kontaktu z elektoratem. – Ale to tylko mała szpilka, frontalnego ataku nie będzie – słyszę w PiS.

Lecz jest jeszcze jedna kwestia podnoszona w kontekście relacji z Mentzenem.

•

Głosowania za rezolucją w Parlamencie Europejskim w sprawie wzmocnienia obronności i nad uchwałą Sejmu w sprawie Tarczy Wschód pokazały, że PiS i Konfederacja bardziej cenią swoje fobie antyunijne niż bezpieczeństwo kraju. Koalicja

Nic się nie stanie, panowie, nic się nie stanie

Na 16-17 proc.
• szacują sztabowcy PiS ostateczny wynik Mentzena

O 2-3
• miejsca mniej w Sejmie w porównaniu z obecnym stanem posiadania może mieć PiS po kolejnych wyborach

75 proc.
• obecnych zwolenników Nawrockiego i Trzaskowskiego jest pewnych, że postawią na nich w dniu wyborów

48 proc.
• zwolenników Mentzena jest pewnych, że zagłosuje na niego w dniu wyborów

Ponad 70 proc.
• wyborców Menztena zagłosuje w drugiej turze na Nawrockiego – zakłada PiS

eprasa.pl a3741fa136

15 Października chciała, aby to wybrzmiał mocno, dlatego sprawa europarlamentarnej rezolucji wróciła w Sejmie. I znów PiS z Konfederacją zagłosowały przeciw.

Tymczasem bezpieczeństwo i potencjał obronny UE to tematy ważne dla Polaków. Tym bardziej że z administracji Trumpa płyną kolejne deklaracje podważające solidarność USA z Europą. Jednak PiS przedstawia wspólne projekty zbrojeniowe Unii jako niekorzystne dla nas wzmocnienie i tak dominującego Berlina. Portal wPolsce 24 alarmuje: „Niemcy mają rozkazywać Polakom, gdzie i jak walczyć". A Jarosław Kaczyński na spotkaniu z dziennikarzami wymienia zagrożenie ze strony Niemiec i Rosji na jednym oddechu. „Ci, którzy dziś pchają Polskę w objęcia Niemiec i w gruncie rzeczy także Rosji, ci, którzy mają za nic polską niepodległość, poniosą tego konsekwencje".

Zabawne, bo głosząc tezę o niemieckim zagrożeniu, jednocześnie PiS wymaga od Niemiec, by więcej wydawały na swoją obronność. Przemysław Czarnek w Onecie: „Unia Europejska to państwa członkowskie NATO, które mają święty obowiązek się zbroić i nie jest potrzebna żadna rezolucja, żeby żądać zbrojeń od Niemców i Francuzów".

To ewenement w historii Polski, aby żądać większych zbrojeń od sąsiada, który rzekomo jest dla nas zagrożeniem. Takie rzeczy tylko w PiS.

●

Gdy Ameryka, ulubiony sojusznik Polaków, jest coraz bardziej niestabilna, a wyborcy martwią się o możliwości obronne Europy, podkreślanie dobrej współpracy z Unią jest w kampanii wyborczej na wagę złota. Dlatego głosowanie PiS i Konfederacji w sprawie rezolucji o bezpieczeństwie tak zdumiewa. Ludzie nie rozumieją, dlaczego ktoś nie popiera Tarczy Wschód, a Jarosław Kaczyński jest przecież obdarzony przecież słuchem społecznym, stąd większość komentatorów uważa, że prezes PiS dał się wmanewrować rządzącej koalicji w pułapkę.

Sztabowcy Nawrockiego starają się ratować sytuację: rezolucja to kolejny temat, który łączy Konfederację i PiS.

– A ta wspólnota jest dziś bardzo ważna, ponieważ zakładamy, że Nawrocki będzie w drugiej turze i musimy zrobić wszystko, żeby nie zrazić do siebie Konfederacji. Tusk, podejmując grę w tej sprawie, działa na naszą korzyść, bo uderza w Konfederację, a tym samym skleja nas z tą partią, przełamuje między nami bariery – podkreśla jeden z moich rozmówców, zwracając uwagę, że w większości spraw obie te partie mają to samo zdanie.

Dlatego PiS zakłada, że ponad 70 proc. wyborców Mentzena zagłosuje w drugiej turze na Nawrockiego. Jedyne, czego się obawiają na Nowogrodzkiej, to, że Mentzen osłabnie, a wzmocni się jakiś kandydat centrowy czy lewicowy. Bo to oznaczałoby większą mobilizację elektoratu antypisowskiego. A każde wybory prezydenckie pokazywały, jak ważny jest ten „trzeci" i jego wyborcy: niegdyś reprezentant chłopskiego gniewu Andrzej Lepper, potem Paweł Kukiz, Szymon Hołownia, a teraz Sławomir Mentzen. Bez zagarnięcia zwolenników „trzeciego" wybory trudno wygrać.

Pytanie, czy liderzy Konfederacji wezwą do głosowania na kandydata PiS. Może tylko ogłoszą: „Nie głosujcie na Trzaskowskiego". Czytaj: głosujcie na Nawrockiego lub zostańcie w domu. To druga opcja też jest prawdopodobna, bo zwolennicy Konfederacji nie mogą wybaczyć PiS lockdownu z czasów pandemii. Obarczają też Mateusza Morawieckiego odpowiedzialnością za polską zgodę na Zielony Ład, a także za politykę otwartych drzwi, dzięki której do

Otoczenie Dudy sufluje, że prezydent mógłby zostać premierem przyszłego rządu PiS-Konfederacja

Polski napłynęło kilkaset tysięcy obywateli z Azji i Afryki.

Pytanie, na ile te emocje wygasły. Jeśli teraz PiS zmienia taktykę i prezentuje Nawrockiego jako swojego partyjnego kandydata, to fani Konfederacji mogą się trochę krzywić.

A sztab Trzaskowskiego może odkurzyć przed drugą turą to, jak rząd PiS ściągał do pracy migrantów, lekceważąc ostrzeżenia służb, i aferę wizową, czyli handel wizami Schengen w polskich placówkach dyplomatycznych – aby to wszystko przypomnieć zwolennikom Mentzena, niechętnym obcym i stojącym na stanowisku „nasza chata z kraja". Tuż przed październikowymi wyborami w 2023 roku te tematy potężnie zaszkodziły notowaniom PiS – tak wynika z wewnątrzpartyjnych badań.

●

Mimo deklarowanej przyjaźni z Konfederacją, na Nowogrodzkiej krzywo patrzą na to, że Mentzen ponownie się pojawił w Pałacu Prezydenckim. A także na wieści suflowane z otoczenia Andrzeja Dudy, że obecny prezydent mógłby zostać premierem przyszłego rządu PiS-Konfederacja jako osoba spinająca te dwa środowiska.

Do Kaczyńskiego przybywają jednak posłańcy z Krakowskiego Przedmieścia, by podkreślać, że ten przekaz to tylko gra szefa gabinetu prezydenta Marcina Mastalerka, a „sam Andrzej wcale żadnym premierem być nie chce". Poza tym Mentzen miał tylko pojawić się w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, aby nabrać trochę prezydenckiego sznytu. A to, że znów Duda się z nim spotkał, było efektem rozgrywki doradcy prezydenckiego Łukasza Rzepeckiego.

Aby PiS nie narzekał, Duda zaprosił Nawrockiego do samolotu i razem polecieli w odwiedziny do Tadeusza Rydzyka. Oficjalnie na obchody Narodowego Dnia Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką. Sztab Nawrockiego był zadowolony z tej szybkiej akcji. Poparcie Rydzyka wciąż jest istotne, a pokazanie się z Dudą też ma znaczenie, bo nie byłoby dobrze, gdyby wyborcom utrwalił się obrazek prezydenta dyskutującego z Mentzenem o sprawach wagi państwowej.

Mastalerek i Rzepecki nadal będą grać na Konfederację, bo u Kaczyńskiego są spaleni. Liczą na to, że PiS musi się dogadywać z Konfederacją i dzięki przyjaźni z konfederacką szarą eminencją, niegdyś związanym z PiS Przemysławem Wiplerem, oni w tych relacjach będą odgrywać ważną rolę.

Mały problem polega na tym, że Wipler nie cieszy się popularnością w swoim ugrupowaniu. Nie udało mu się zyskać stanowiska szefa klubu parlamentarnego Konfederacji ani nawet wejść do Rady Liderów – a to tam podejmuje się wszystkie najważniejsze decyzje. Może się więc okazać, że sojusz PiS-Konfederacja będzie opierał się na liderze narodowców Krzysztofie Bosaku i na samym Mentzenie. Jeśli Nawrocki będzie w II turze, to do Rady Liderów będzie uderzał jego sztab, starając się przekonać Konfederację, by zdecydowanie, bez żadnych „ale" poparła kandydata PiS.

Nowogrodzka zrobi wszystko, aby pominąć pośrednictwo Wiplera i otoczenia prezydenta Dudy. ●

REKLAMA
Kraj/34369023

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Byłem wcześniakiem, słaby, nieodporny, nie chciałem jeść. Odratowała mnie położna, która karmiła mnie łyżeczką. ***Powiedziała, że przeżyję, ale do końca życia będę mały i cherlawy.***

Miałem umrzeć

Premierowy fragment książki „Rafał. Rafał Trzaskowski w rozmowie z Donatą Subbotko"

Z **RAFAŁEM TRZASKOWSKIM** ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

RAFAŁ TRZASKOWSKI: Ojciec mnie nauczył, że nie ma jasnej odpowiedzi na wszystkie pytania, a jeśli ktoś twierdzi, że wszystko wie i że na pewno ma rację, to trzeba od niego uciekać.

DONATA SUBBOTKO: To też sens motta „Zniewolonego umysłu" Miłosza.
– Zgoda, ale to także po prostu zdroworozsądkowe. Nie lubię ludzi o zacięciu dydaktycznym, którzy wszystko wiedzą lepiej i próbują mnie wychowywać, zawsze od takich stroniłem. Jeżeli ktoś w tej trudnej rzeczywistości mówi, że ma sto procent racji, to lepiej go omijać. Czasem nawet takim ludziom zazdroszczę, pewnie lżej się żyje, mając poczucie, że wszystko jest proste i łatwe. Bo dzisiaj nic nie jest proste i łatwe.

To też punkt wyjścia do rozmowy o tym, co się z nami teraz dzieje. Dzieciaki zostawia się same z internetem, a one nie mają tego instynktu, żeby sprawdzać, czy coś jest prawdą, czy nie. Często rozmawiam o tym ze swoimi dziećmi. Kiedy słyszę od nich jakieś dziwne teorie, pytam: „Skąd to wiesz?". Tłumaczę, dlaczego to manipulacja bądź nieprawda.

Ludzie przychodzą tu do mnie, do ratusza, i robią oczy jak pięć złotych, bo widzą dwadzieścia biografii Stalina czy Napoleona. Pytają, po co mi tyle. Mam też wiele książek o Hitlerze, Churchillu czy de Gaulle'u. Jedne są napisane lepiej, inne gorzej, ale pewne rzeczy można w nich porównać. Teraz, jak pani widzi, mam tu, na stole, książkę „Polska krwawi, Polska walczy" Andrzeja Chwalby, bardzo dobrego historyka. Co prawda wcześniej czytałem tylko jedną jego książkę, ale ponieważ ta jest naprawdę świetna, kupiłem wszystkie, które napisał.

U mnie w domu panował ferment intelektualny. Do dzisiaj pamiętam kłótnie o zasadność powstania warszawskiego albo – z uwagi na zainteresowania mojego taty – dyskusje o wyższości Strawińskiego nad Rachmaninowem, bo ojciec wolał muzykę intelektualną niż oddziałującą na emocje. A na przykład, jeżeli chodzi o malarstwo, miał gust konserwatywny, kochał holenderskich mistrzów i malarstwo marynistyczne. Awangarda go nudziła, uważał, że to przerost formy nad treścią.

W muzyce odwrotnie.
– Bo sam był muzykiem eksperymentującym, poszukującym i rozwijającym się do końca życia. Rodzice prowadzili dom otwarty, przychodziło wielu artystów i dla mnie od małego było normalne, że istnieją różne punkty widzenia. To nie była Warszawka bananiarska, taka, co piła wódeczkę i rozbijała się samochodami, tylko ludzie mądrzy.

Mieszkaliśmy na Starówce. Znajomi rodziców, którzy w latach 80. przyjeżdżali na demonstracje, przy okazji wpadali także do nas. A jak ZOMO odcinało Nowe Miasto, to u nas spali. Ciągle więc toczyły się w domu typowe w tamtych latach rozmowy o Polsce i polityce. Jako dzieciak latałem głównie z chłopakami po podwórku, ale też przysłuchiwałem się tym dyskusjom, czasem próbowałem wtrącić swoje trzy grosze.

Ojciec był dla mnie chodzącą encyklopedią. Kiedy miałem dziewięć lat, wziął mnie na Powązki Wojskowe, gdzie opozycja postawiła Krzyż Katyński, który zresztą szybko zniknął. Regularnie chodziliśmy na grób brata mojej mamy, który zginął w powstaniu, i na groby harcerzy, „Zośki", „Alka" i „Rudego". Gdy jeździliśmy do Krakowa, ojciec brał mnie zwykle na Wawel i na groby swoich bliskich. Mój pradziadek leży na cmentarzu Rakowickim, tam jest grobowiec rodziny Trzaskowskich. Ale babcia, mama ojca, pochowana jest na Salwatorze. Każdej wyprawie, każdemu spacerowi towarzyszyła opowieść. Tata, mimo że skupiony na muzyce i na ogół zagubiony w myślach, miał dla mnie czas.

Naszym rytuałem stały się coniedzielne wyprawy na Wolumen, bazar bielański. Ojciec – zawsze z dżinsową torbą na ramieniu – kupował książki historyczne, ja komiksy, potem „tygrysy", czyli książki wojenne w formacie kieszonkowym. Tata jęczał strasznie, że wydaję pieniądze na śmieci, ale kupował, co chciałem, nigdy nie musiałem prosić. Moje dzieci, tak jak ja kiedyś, też mogą kupować tyle książek, ile chcą, i takie, jakie chcą, cena nie gra roli.

Co tata opowiadał o Krzyżu Katyńskim?
– Wtedy atmosfera była przesiąknięta Solidarnością, więc przedstawiał to w kontekście walki o prawdę. Ale przede wszystkim wuj ojca – brat mojej babci Marii Trzaskowskiej z domu Urbańczyk – był oficerem w Korpusie Ochrony Pogranicza i w pierwszych miesiącach wojny zaginął na Wschodzie, po prostu zniknął. Mój ojciec latami szukał go na listach katyńskich.

Czyli zginął w Katyniu?
– Żołnierze Korpusu trafiali głównie do Ostaszkowa. Tata podejrzewał, że gdzieś tam go zamordowali i wrzucili do dołu. Do dzisiaj nie wiadomo, co się stało. Od dawna sobie obiecuję, że też czegoś o nim poszukam.

Postanowiłem także pójść do IPN, sprawdzić te wszystkie doniesienia o mojej mamie. Sam byłem ciekaw, co jest w tych archiwach. Wiedziałem, że nie może tam być nic wielkiego, dlatego że ruszyła to tylko „Gazeta Polska" – w 2018 roku, gdy startowałem na prezydenta Warszawy. I nawet oni, tak mi wrodzy, napisali, że moja mama nie chciała nic mówić o swoich bliskich znajomych. Sam sobie obiecałem, że to sprawdzę – tak jak teczkę ojca z czasów stalinowskich, kiedy go prześladowano.

Materiały z IPN o pana tacie są dostępne w internecie – był rozpracowywany przez UB za szerzenie propagandy antyradzieckiej. A mama?
– Sprawdziłem w IPN, co tylko możliwe. W aktach nie ma zobowiązania do współpracy podpisanego przez moją mamę. Wszystko wskazuje na to, że takiego zobowiązania nigdy nie podpisała. Nie ma też żadnego innego dokumentu przez nią podpisanego. Z materiałów wynika, że komunistyczni funkcjonariusze – ale nie SB, tylko kontrwywiadu – wyciągali od niej tylko ogólne informacje podczas luźnych rozmów. Nigdzie nie ma też śladu, żeby mama kiedykolwiek wzięła jakiekolwiek pieniądze od służb PRL.

I teraz najważniejsze. W czasie pierwszej rozmowy, kiedy oficer kontrwywiadu Władysław Prekurat zatrzymał ją na ulicy – to było 29 stycznia 1960 roku przed godziną 15, jak szła na plac Trzech Krzyży – moja mama czuła się zapewne zdezorientowana, zalękniona. Ale po kilku dniach, w czasie drugiej rozmowy, powiedziała mu jasno, jak napisano w notatce służbowej, że „nie chce odgrywać roli donosiciela, że źle by się czuła moralnie,

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

gdyby musiała przekazywać informacje zarówno o Polakach, jak i Amerykanach, którzy, jak ona sądzi, nie działają na szkodę naszego państwa".

Dlaczego komunistyczne służby ją zatrzymały?
– Znajomym rodziców był niejaki Thomas Donovan, attaché kulturalny ambasady amerykańskiej, który prawdopodobnie pracował dla CIA. Jak wynika z materiałów IPN, w 1959 roku kontrwywiadowcy postanowili osaczyć mamę właśnie z jego powodu. Była młoda, miała 27 lat. Od początku to ona załatwiała wszystkie sprawy ojca, także paszportowe – od lat 60. zaczęto go zapraszać na zagraniczne koncerty. Z raportów wynika, że planowali ją szantażować na trzy sposoby. Przede wszystkim przestraszyć, że utrzymując kontakty z Donovanem, działa na szkodę państwa. Jeśli to nie będzie skuteczne, grozić rozpokłe, podstawowe informacje o Donovanie, które im podała, a oni na początku uznali je za cenne. Jednak po jakimś czasie zorientowali się, że mama pomaga amerykańskiemu dyplomacie ich zwodzić. Napisali o niej: „Politycznie bardzo słabo wyrobiona. Jej szczerość wobec naszych organów także budzi zastrzeżenia. Mianowicie »Justyna« swego czasu nie zameldowała nam o wykryciu podsłuchu w mieszkaniu figuranta, aczkolwiek z innych źródeł agenturalnych wiadomo było, iż figurant ten o powyższym się do niej zwierzał".

Raporty służb i logika wydarzeń wskazują, że mama w jakiejś mierze przyczyniła się do zdekonspirowania przed Donovanem komunistycznego kontrwywiadu. Prawdopodobnie od niej dowiedział się, że jest rozpracowywany, a może też, że kontrwywiad PRL-u nęka jego polskich przyjaciół, bo wkrótce władze amerykańskie wycofały go z Polski.

▲ **Bąbel, buldog francuski był kompromisem małżeńskim: ja chciałem boksera, a Gośka małego psa. A papuga, dostaliśmy od pewnego pasjonata ptaków. Szybko zaczął gadać, ale potrafił też naśladowć śmiech mojej żony, szczekanie psa i cieknący kran**

◀ **Nad Bałtykiem. W Chałupach. Już wtedy uwielbiałem polskie morze. Wciąż chętnie tam wracam**

▶ **Z rodzicami Andrzejem i Teresą Trzaskowskim. To chyba moje ostatnie zdjęcie z tatą - 1998 r.**

▼ **4 czerwca 1989 r. Powiew wolności udzielał się wszytkim. Praca przy sztabie wyborczym Solidarności była moim pierwszym poważnym zaangażowaniem politycznym. Pod moją podstawówką przy ul. Ciasnej tłumaczyliśmy jak głosować na kandydatów Solidarności**

Ludzie z peerelowskiego kontrwywiadu napisali o mojej mamie: „Politycznie bardzo słabo wyrobiona. Jej szczerość wobec naszych organów także budzi zastrzeżenia"

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (6)

wszechnieniem plotki o jej „niemoralnym prowadzeniu się".

Tylko że mieli problem, bo jednocześnie zapisali, „Donovan głównie stara się o książki dla niej i dla męża". I: „Nie wydaje się, żeby to był jakiś poważniejszy romans, przede wszystkim dlatego, że Trzaskowska przywiązana jest do swego męża, a poza tym nie zna języka angielskiego".

A trzecia groźba?
– Napisali, że mogą ją szantażować także wyciągnięciem konsekwencji prawnych wobec jej męża, muzyka jazzowego, który mieszka w Warszawie bez zameldowania – co wówczas było poważnym przewinieniem. Są też informacje o tym, że ojciec żyje w trudnych warunkach materialnych, a mama „cierpi na jakąś wadę serca. Na skutek tej choroby pod wpływem minimalnego zdenerwowania ogarnia ją płacz".

Zarejestrowali ją jako TW „Justyna".
– Powiedzieli jej, że obraca się „w gronie cudzoziemców, co do których nie mają jeszcze zdecydowanych opinii, ale ci ludzie z obowiązku interesują się różnymi przejawami naszego życia w kraju". Zasugerowali, że Thomas Donovan jest agentem działającym przeciwko PRL. Mama odpowiedziała, że nie rozmawiają na tematy polityczne, tylko o muzyce jazzowej, a ona jest lojalną obywatelką Polski, jej brat był w AK i zginął w powstaniu warszawskim. Trzeba pamiętać, że to był okres, w którym PRL chwilowo odstąpił od piętnowania AK-owców.

Zostały notatki z kilku jej spotkań z kontrwywiadem PRL. W końcu porucznik Władysław Prekurat, ps. „Zbyszek", uznaje informacje od niej za nieistotne.
– Mama uważała PRL za swoje państwo i chyba w pierwszym odruchu uznała, że wobec infiltracji trzeba temu państwu pomóc. A może po prostu ją wystraszyli. Nie wiem. W każdym razie w notatkach są zwy-

Dorota Kania, Maciej Marosz i inni funkcjonariusze związani z PiS-em pisali, że pana mama donosiła na Jerzego „Dudusia" Matuszkiewicza i Leopolda Tyrmanda.
– Przecież wysłałem pani te wszystkie materiały z IPN-u. Co pani myśli?

Że Kania i reszta kłamali. I że powinni odpowiedzieć za niszczenie ludzi, bo nie tylko pana mamie robili takie rzeczy.
– W IPN są tylko notatki o tym, że mama opowiada zwykłe rzeczy o Donovanie – m.in. że będzie go witać po przyjeździe do Polski razem z moim tatą i swoimi znajomymi, Matuszkiewiczami, Tyrmandami i innymi. Mówi też, z kim bywa na oficjalnych przyjęciach w ambasadach amerykańskiej czy brytyjskiej, tu padają różne nazwiska ludzi polskiej kultury. „Zbyszek" pisze, że jej spostrzeżenia są „ogólnoinformacyjne".

Raz dali mojej mamie paszport na wyjazd do Belgii pod warunkiem, że opowie o spotkaniach z zachodnimi dyplomatami. Ona im to obiecuje, ale po powrocie tego nie robi, unika kontaktu, potem tłumaczy, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia. W końcu pojawiają się wnioski o zaniechanie spotkań z nią. Przez kilka lat służby jej nie nękają. Jednocześnie kilkakrotnie wydają decyzje, że nie warto już wznawiać rozmów z Trzaskowską, a potem, że trzeba ją wyeliminować z sieci kontaktów.

Czy rozmawiał pan kiedyś o tym wszystkim z mamą?
– Nie. Miała już zaawansowanego parkinsona, kiedy wszystkie media, nawet te mainstreamowe, powtarzały za „Gazetą Polską" zmanipulowaną opowieść o mojej mamie jako „esbeczce". Myślę, że strasznie to przeżyła. Pamiętam, że miała coś w rodzaju ataku paniki. Kiedy byłem u niej w tych dniach, chciała mi coś powiedzieć, była przerażona, bardzo rozemocjonowana.

eprasa.pl a3741fa136

I to było najbardziej smutne. Mama wbiła we mnie palce. Widziałem, że próbuje wypowiedzieć jakieś słowa, ale nie daje rady. Tylko spazmy... Już nie można było się z nią porozumieć. Niedługo potem zmarła. No ale to jest dzisiejsza polityka, przecież kogo to obchodzi.

Wspomniał pan o Piwnicy pod Baranami – pana mama prowadziła tam w młodości bar z Zosią Komedową. A po latach pana przyrodni brat Piotr Ferster został dyrektorem Piwnicy.
– Mama była w Piwnicy na samym początku znajomości z moim ojcem, więc to musiało być w drugiej połowie lat 50. Mój brat od małego pałętał się tam pod stołem. Kiedy jako dzieciak i nastolatek jeździłem do Krakowa do brata, też lądowałem w Piwnicy. Piotrek codziennie o 13–14 pił kawę w kawiarni Vis-à-vis– do dzisiaj można go tam spotkać – a potem siedział w kabarecie, więc i ja, chcąc nie chcąc, z nim tam byłem.

Jesteście podobni?
– Obaj mamy oczy po mamie i podobną wrażliwość. Ale mój brat ma zupełnie inny charakter. Jest spokojny, wyważony, ja bardziej niecierpliwy, dynamiczny i asertywny. Piotrek zawsze był moim kumplem i trochę drugim ojcem, bo jest starszy ode mnie aż o dziewiętnaście lat. Od małego zabierał mnie na narty do Zakopanego, a jak już byłem starszy, parę razy wziął mnie na narty do Bułgarii. To zawsze była przygoda, bo jechało się pociągiem dwie doby, a znajomi brata uprawiali kontrabandę. W Rumunii sprzedawaliśmy papierosy kenty, w Bułgarii butle gazowe, a do Polski przywoziliśmy bułgarskie adidasy.

Obrotny był z pana chłopak?
– Myślę, że tak. Znajomi brata śmiali się, że „młody jest szybki". Uczyli mnie, jak sprzedawać papierosy w pociągu stojącym na bocznicy w Bukareszcie i nie dać się złapać, jak nie pozwolić się oszukać na wymianie pieniędzy i jak chować towar przed ruskimi celnikami, którzy najpierw zaglądali pod łóżko, a później sprawdzali sufit. W PRL-u wiedza przydatna wielu Polakom.

A do Krakowa mogłem przyjeżdżać również z dziewczyną czy ze znajomymi z liceum, zabierać ich na przedstawienia Piwnicy i brać w barze piwo, więc mi to imponowało. Wiadomo, że komuna na ten kabaret pozwalała, to był wentyl bezpieczeństwa, ale oni tam robili sobie jaja z Jaruzelskiego, Urbana itd. Miałem poczucie, że uczestniczę w czymś, co jest niemal zakazane, ryzykowne.

Piwnica to wspaniali ludzie, ważne pieśni, mądre teksty. Czy to było formujące dla pana?
– Znałem tam wszystkich, od pana wpuszczającego publiczność przez genialnego oświetleniowca Franka po artystów. Piotrek Skrzynecki traktował mnie wyjątkowo, co było nobilitujące. Był krakowską legendą. Mojego brata, który był dyrektorem Piwnicy, uważał niemal za wychowanka, więc ja też miałem fory. W dodatku byłem synem jego kumpla, bo przecież mój ojciec w swoich krakowskich latach grywał w Piwnicy.

Miałem szesnaście lat, a Skrzynecki potrafił zaprosić mnie na wódkę albo rozmawiać ze mną na serio o Polsce. Jak miał pieniądze, to fundował i wydawał wszystko, innego dnia mówił: „Rafał, masz jakąś kasę? Bo jestem goły, może byś mnie zaprosił na winko". Kiedyś zadzwonił do dyrektora Muzeum Książąt Czartoryskich i wziął mnie tam w środku nocy, żeby posiedzieć przed „Krajobrazem z miłosiernym Samarytaninem" Rembrandta i „Damą z łasiczką" Leonarda Da Vinci. Zabierał mnie do muzealnych piwnic, gdzie wynajdywał obrazy, których nikt nie ogląda, i o nich opowiadał.

W PRL-u artyści w Warszawie raczej dobrze zarabiali, tym z Piwnicy natomiast często ledwo starczało na chleb, bo zwykle nie mieli stałego miejsca zarobkowania. Jeden pisał wiersze, drugi grał na fortepianie, trzeci śpiewał. Znajdowali w tym treść życia, nikomu się nie kłaniali. Ze Skrzyneckim szło się przez rynek i on obściskiwał się ze sprzedawcą balonów, który był już po dwóch setach, a sto metrów dalej gadał z Penderecki. Siadał na ławce na Plantach obok przypadkowych ludzi i robił z tego pasjonującą rozmowę, czasem ciekawszą niż z największymi mózgami Krakowa.

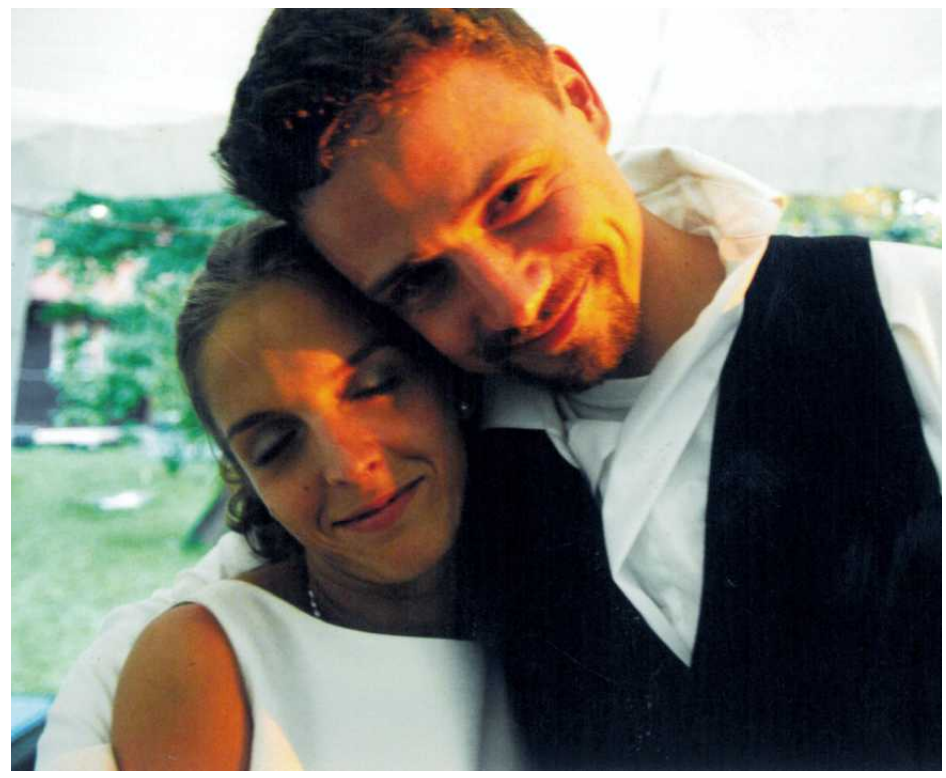
• Czerwiec 2002 r. Ślub w Lanckoronie. Wesele w Willi Tadeusz. „Duduś" Matuszkiewicz zagrał nam wszystkie swoje przeboje. Bawiliśmy się do rana. Impreza roku!

Które utwory Piwnicy są dla pana najważniejsze?
– Oczywiście „Dezyderata". Cudowny, głęboki tekst. O tym, że każdy ma swoją opowieść – zresztą tego samego uczyła mnie moja mama, rozmawiać z każdym, słuchać.

Miałem z dziesięć czy jedenaście lat, kiedy poznałem siedemnastoletniego Grześka Turnaua, który dopiero zaczynał śpiewać w Piwnicy. Pamiętam, jak mój brat szykował wyjazd Piwnicy do Włoch, zobaczyłem u niego stertę paszportów i jedną legitymację szkolną. Pytam czyja, a on, że takiego młodego chłopaka, który wygrał właśnie Festiwal Piosenki Studenckiej. Potem Grzesiek puszczał mi na grundigu swoje piosenki. Od tamtej pory uwielbiam jego twórczość. Ale Piwnica to też Zygmunt Konieczny, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Zbyszek Preisner i cała masa błękitnych ptaków, marzycieli.

„Czaskowski" wziął się właśnie z Krakowa?
– Do mnie tam mówili „Młody", czasem „Trzaskower", bo taką ksywę miał mój ojciec. Ludzie go tam znali, był mentorem całego środowiska muzycznego. Wszyscy pamiętali też moją mamę

Kiedy w 2015 r. startowałem do Sejmu z listy krakowskiej, nakręciłem serię filmików z Michałem Rusinkiem o tym, jak krakusi mówią. Właśnie Czaskowski, Czebinia. O charakterystycznych słowach, intonacji i wymowie. Prawdziwego krakusa poznam po dwóch zdaniach, bo słyszę melodię języka, ona jest inna niż warszawska. Wtedy zresztą poznałem Małgorzatę Wassermann, klasa sama w sobie, gdyby tacy ludzie jak ona i jej ojciec dziś rządzili w PiS, może ta partia miałaby inne oblicze.

Ale wracając do języka polskiego: dlatego uwielbiam Leśmiana, bardzo lubię Białoszewskiego, bo u nich słychać to piękno polszczyzny, neologizmy, pure nonsense. Tego szukam. Oryginalności. Mój ojciec całe życie bawił się ze mną w gierki słowne, wymyślał śmieszne powiedzonka, rymowanki, wierszyki, limeryki, i to mi zostało. Też tak się bawiłem ze swoimi dziećmi i znajomymi.

Coś się panu przypomina?
– Ojej, i co ja mam teraz powiedzieć... Kiedyś na przykład przejeżdżałem z kumplami przez miejscowość Dziśnity na Mazurach i wymyślaliśmy limeryki, mój kolega Michał Furman wypalił natychmiast: „Jutro gwoździe", i wygrał, mimo że limeryk to raczej nie był.

A mój ojciec śmiesznych powiedzonek miał miliony, część niecenzuralna, bo dla niego nie było tematów tabu. Mogę pani poopowiadać, ale to są rzeczy nie do druku. Tata uwielbiał wszystko, co obrazoburcze. Lubił szokować. A jak ktoś był bardzo poprawny i sztywny, to mój stary po prostu musiał przywalić. Kochał „Dekameron" Boccaccia i często opowiadał te historie – „Wilka w owczarni" chyba najczęściej – przekręcając je i dopieprzając, żeby były jeszcze bardziej pikantne. Ojciec powtarzał, że seriami dowcipy opowiadają ludzie mało inteligentni, i miał teorię, którą uważam za słuszną, że dowcip sytuacyjny, powiedziany w jakimś kontekście, jest w porządku, nawet jeśli jest świński, a nawet prostacki.

W domu odpowiadaliśmy sobie czasem wierszem. Uczył mnie szukania i wymyślania słów, bawił się krakowskim slangiem, góralszczyzną, przywoływał różne zabawne cytaty. Przypomina mi się, że kiedy ktoś go pytał: „Co dalej?" – w jakiejkolwiek sprawie – odpowiadał żartem: „I tak dalej i dalej, / jak zaczęli się kłócić, / tak się z miejsca porwali, / chatkę chcieli porzucić". To słowa z wiersza Kraszewskiego, do którego muzykę napisał Moniuszko.

Mieliśmy tysiące takich powiedzonek, które nikomu poza nami nic nie mówiły. W naszej ukochanej komedii „Pół żartem, pół serio" Billy'ego Wildera szef mafii tłumaczy swoim niezbyt ogarniętym ochroniarzom, że jak policja będzie ich pytać, gdzie byli, mają mu dawać alibi i odpowiadać, że byli z nim na „Rigoletto". Kiedy potem ledwo uchodzi z życiem z zamachu, wrzeszczy na swoich cyngli „Gdzieście byli?!", a oni na to: „Z tobą na »Rigoletto«". To była nasza domowa odzywka. Na pytanie: „Gdzie byłeś?", odpowiadaliśmy sobie: „Jak to? Z tobą na »Rigoletto«". To było o tyle fajne, że totalnie nasze. Jeśli ktoś nie znał kontekstu, nie czuł żartu. Tylko mama i ja wiedzieliśmy, o co chodzi.

Gdy pada pytanie, co mogę powiedzieć dobrego o Jarosławie Kaczyńskim, to mówię, że on podobno sporo czyta, więc jeżeli to prawda...

Na pewno czyta sondaże.
– Jest przecież w obozie PiS wielu profesorów czytających książki, chociaż raczej nie są to ci, którzy rządzili – oni mają problem z przebrnięciem przez prozę Tokarczuk. Wciąga mnie pani w te wątki, a nie zamierzam epatować tym, że lubię czytać, ale też nie będę tego ukrywać. Tak, uwielbiam także Tokarczuk, Żulczyka i genialnego Twardocha, który pisze książki, jakie ja zawsze chciałem pisać.

Niektórzy mnie pytają: „Pan ma tyle książek, no ale czy pan je wszystkie przeczytał?". I znowu powtarzam za Umbertem Eco: jak ktoś ma kilkanaście tysięcy książek, to oczywiście, że ich wszystkich nie przeczytał. To jest kwestia trochę nałogu, trochę miłości, tu się przeczyta stronę, tam dziesięć stron, coś od deski do deski.

Kiedy mnie pytają, jaka jest moja ulubiona książka, nie umiem jej wskazać. Łatwiej powiedzieć, co mi się ostatnio podoba. Dla spokoju mówię więc zwykle, że „Mistrz i Małgorzata", choć oczywiście kocham Bułhakowa, jak każdy Polak. Ale gdybym wchodził w rozmowy o książkach, tobyśmy o tym gadali przesadnie długo. Więc może te ataki na mnie, te inby są trochę uzasadnione?

Z maili Dworczyka wynika, że PiS miał i ma dokładnie taki plan szczucia na pana: Trzaskowski to salony, dyskusje po francusku i zero wiedzy o problemach zwykłych ludzi.
– Budowali mi taki wizerunek. Ale tego typu zarzutów pod moim adresem jest tak dużo, że w kampanii prezydenckiej w 2020 roku zacząłem dostawać od ludzi dobrej woli, próbujących mi pomóc, dziwne porady. Na przykład lubię się ubierać zwyczajnie, na luzie, często noszę martensy, dobrze się w nich czuję. Toczyły się więc wokół mnie akademickie dyskusje, żebym nie ubierał się tak, tylko inaczej, a już na pewno nie wolno mi nosić martensów do garnituru, ponieważ wyglądam niepoważnie. Bo zaczęła się kolejna inba, że mam 168 centymetrów wzrostu. A niby polityk powinien być wysoki. Pamięta pani?

Nie, a ile pan ma?
– 180. Ale widocznie PiS robił, jak mniemam, analizy i wyszło im, że powinni przedstawiać Andrzeja Dudę jako tego wyższego. Aż wtedy sprawdziłem: Duda jest wyższy ode mnie o jeden centymetr. I jak zadziałała propaganda pisowska? Ktoś napisał prześmiewczy tweet, a TVP go pokazało jako news o tym, że mam 1,68 metra i dlatego chodzę na koturnach, to znaczy martensy to koturny. Ale dzięki temu, gdzie nie pojadę, wszyscy się dziwią, żem taki wysoki.

Przy okazji dyskusji o „looku": chciałam pana spytać o ten wielki żółty zegarek, który nosi pan na ręku.
– Sportowy. Nie muszę pamiętać o zdjęciu go przed myciem rąk, mogę z nim wejść pod prysznic i się nie zepsuje. Ale ile osób mi już powiedziało, że muszę mieć inny albo że do garnituru nie nosi się sportowego zegarka.

Myślę, że ludzie wyczuwają fałsz i jeśli polityk powie o sobie coś, co jest prawdziwe, to chyba dobrze, prawda? Więc tak, czytam książki i znam języki – ale przecież mogą to o sobie powiedzieć miliony ludzi. I nie opowiadam o tym niepytany.

Pani pyta, to mówię i potrafię się w odpowiednim momencie zatrzymać. Tak jak potrafię opowiadać bardzo niecenzuralne dowcipy, ale wydaje mi się, że z grubsza czuję, kiedy mogę sobie na to pozwolić, a kiedy nie.

Będę czekać.

Był pan chrzczony?
– No jasne, moją matką chrzestną była Grażynka Matuszkiewicz, żona „Dudusia", słynnego kompozytora, największa przyjaciółka mojej mamy, która zawsze chciała mieć dzieci, ale nie miała, więc mama uznała, że to najlepszy wybór. Była cudowną ciocią.

Na chrzestnego rodzice poprosili aktora Ryszarda Barycza, jego żona była daleką kuzynką mamy, a on był człowiekiem zawsze pomocnym, fajnym gościem – jak był problem, to się dzwoniło do Rysia. Byłem wcześniakiem i miałem umrzeć, słaby, nieodporny, w dodatku nie chciałem jeść. Odratowała mnie położna, która karmiła mnie łyżeczką. Powiedziała, że przeżyję, ale do końca życia będę mały i cherlawy. Podobno, gdy przyszła

eprasa.pl a3741fa136

na moje pierwsze urodziny, nie mogła uwierzyć, że kula, która się wytoczyła w jej kierunku, to ja.

Ale wracając do Baryczusia: kiedy rodzice przywieźli mnie ze szpitala do domu, to wybuchły rury, woda zalała mieszkanie. Mama zadzwoniła do Barycza, a on natychmiast przyleciał pomóc. Naturalne było, że powinien zostać moim ojcem chrzestnym. Więc zostałem ochrzczony, u pierwszej komunii też byłem, u franciszkanów.

Co pan dostał na komunię?
– Krzyżyk. Nic więcej, żadnych innych prezentów.

W wielu polskich rodzinach panowała silna tradycja katolicka, a to się nieraz wiąże z wychowywaniem poprzez zawstydzanie i karcenie. U mnie w domu niczego takiego nie było, rodzice nigdy wobec mnie nie stosowali żadnych tego typu krzywdzących metod. Kościół uznawali po prostu za ostoję wolności i część tradycji, która konstytuuje nas jako Polaków. Sam wiele razy kłóciłem się z Hiszpanami, bo u nich Kościół stał po stronie dyktatury, a u nas po stronie społeczeństwa i wolności. Dzisiaj ubolewam, że polski Kościół wsparł PiS, władzę autorytarną.

W latach 80. Kościół był wzorem postawy patriotycznej. Dlatego ja też wtedy chciałem korony na głowie orła w godle i krzyży w urzędach, bo komuniści próbowali to wyrugować z naszej tradycji. Jeszcze w 2013 roku, kiedy zostałem ministrem, kończyłem przysięgę słowami „Tak mi dopomóż Bóg", liczyła się tradycja, szacunek do wiary...

Teraz by pan nie powiedział?
– Nie. Kiedy zostawałem posłem w 2015 roku, to nie powiedziałem. Kościół na świecie ewoluuje, staje się bardziej otwarty na przykład w sprawach uchodźców czy osób LGBT. Natomiast polski Kościół milczy, sprzeniewierzył się wartościom, dał się upolitycznić. Zabiera głos tylko w tych sprawach, w których doktryna pokrywa się z narracją PiS-u. Dlaczego nie jest odważny w innych kwestiach dotyczących naszej tradycji? Dlaczego nie zabiera głosu na przykład wtedy, kiedy faszyści chcą przejąć polskie uroczystości patriotyczne?

Pan mówi o ewolucji w Kościele, ale ta instytucja ma dwa tysiące lat i tam zmiany nie zachodzą z dnia na dzień.
– Ale trochę je widać. Irlandzki Kościół potrafił się rozliczyć z pedofilii, a polski? Obecny papież zajmuje kontrowersyjne stanowisko w kwestii inwazji Rosji na Ukrainę, natomiast w wielu innych kwestiach jest dużo bardziej postępowy niż polski Kościół, który zaangażował się w politykę i stanął po stronie PiS. Rozumiem, że Kościół nie może być liberalny w kwestii aborcji, ale jest duży rozdźwięk na przykład między tym, jaki jest stosunek papieża do mniejszości seksualnych, a tym, co mówią polscy hierarchowie. Papież Franciszek potrafi się otulić flagą tęczową i stanąć po stronie prześladowanych, a polski Kościół nie.

Więc pan walczy z Kościołem czy nie?
– Nie. I nie jestem antyklerykałem. Gdybym był, to życzyłbym Polsce biskupów Jędraszewskich we wszystkich diecezjach, bo za piętnaście lat kościoły świeciłyby pustkami – a tego nie chcę. Nie mam nic przeciwko instytucji Kościoła, ludzie potrzebują absolutu.

Oddzielenie Kościoła od państwa może Kościołowi tylko pomóc. Zaczęły się na nowo prace dotyczące likwidacji Funduszu Kościelnego i ograniczenia lekcji religii w szkołach. Barbara Nowacka chce zmniejszyć liczbę lekcji religii z dwóch do jednej i wprowadzić je na pierwszej lub ostatniej lekcji.

To dobre, kompromisowe rozwiązanie, część społeczeństwa chce, aby religia została w szkole – ludziom jest wygodniej i trzeba to uszanować.

To Polska ma być, pana zdaniem, państwem świeckim czy wyznaniowym?
– Polska nie jest krajem laickim, nie jesteśmy Francją. Ale obiecaliśmy obywatelom rozdział Kościoła od państwa. Jestem za tym, żeby w przyszłości wyprowadzić religię ze szkół, ale tylko, jeśli będą tego chcieli rodzice.

A pan był u bierzmowania?
– Tak, ale nie w liceum, tylko później, szykując się do ślubu kościelnego. Na trzecie mam Andrzej, po ojcu.

To pan ma ślub kościelny?
– Wszystko, jak Pan Bóg przykazał. Nawet się nie zastanawialiśmy z Gośką nad inną opcją. Ślub wzięliśmy w kościele w Lanckoronie, ksiądz był sympatyczny, a wesele dwudniowe. W Willi Tadeusz zagubionej w lesie, młodopolskiej, z sadem, klimaty czechowowskie trochę. Moim świadkiem był Michał Żebrowski, a Gosi – jej siostra Jagoda. Muzyka na żywo, mój brat ściągnął z Krakowa zespół jazzowy. No i „Duduś" Matuszkiewicz grał na saksofonie, co było wydarzeniem, bo nie sięgał po saksofon przez wiele lat, dopiero na moim weselu wrócił do grania.

Nie jestem antyklerykałem. Gdybym był, to życzyłbym Polsce biskupów Jędraszewskich we wszystkich diecezjach, bo za piętnaście lat kościoły świeciłyby pustkami. Nie mam nic przeciwko instytucji Kościoła, ludzie potrzebują absolutu

Co wam grał? Motywy muzyczne, które pisał, ciągle są wspaniałe, choćby muzyka z „Janosika".
– Ponieważ mój ojciec tworzył muzykę ambitną, trudną, to przyjaciele podśmiewali się z „Dudusia", że on robi muzykę trochę na jedno kopyto, do: „Stawki większej niż życie", „Czterdziestolatka", „Wojny domowej", „Janosika", „Jak rozpętałem drugą wojnę światową", „Kolumbów", filmów Barei itd.

A on był fenomenem, mistrzem świata, te utwory są bardzo różne, a wszystkie ponadczasowe. Dla mnie genialna jest muzyka do zapomnianego serialu „Życie na gorąco" z Leszkiem Teleszyńskim. To był taki peerelowski Bond, naładowany ideologią, więc bardzo się zestarzał, ale muzyka jest super.

Na weselu „Duduś" zagrał nam wszystkie swoje szlagiery i bawiliśmy się do rana, było tak fajnie, że nawet pływaliśmy w przedwojennym stawie, który znajduje się przy tej willi. Ciepło, to było w czerwcu 2002 roku.

Ze ślubem wiąże się pewna historia. Moi teściowie byli przywiązani do tradycji, religijni, ale nie ortodoksyjnie. Teściowa była jednak niezadowolona, że zwlekamy z ochrzczeniem syna. Myślała, że to ja jestem hamulcowym, miała pretensje, mówię: „Mamo, niech mama pogada z Gośką". Bo to mojej żonie już wtedy się nie podobało, co się dzieje w polskim Kościele, ja podchodziłem do tego spokojniej.

Na dziesiątą rocznicę naszego ślubu zrobiłem Gośce niespodziankę, w tajemnicy przygotowałem w tej samej Willi Tadeusz imprezę. Powiedziałem jej, że musimy skoczyć we dwójkę na romantyczny weekend. Odwieźliśmy dzieci na Śląsk do jej rodziców, a potem wziąłem ją na kolację. Chodziło o to, żeby goście i teściowie z naszymi dziećmi zdążyli dojechać do Lanckorony przed nami. W końcu dojeżdżamy, wchodzimy, ciemno. Gośka mówi: „Zobacz, zastawa na stołach, ktoś tu chyba robi imprezę". Zapaliły się światła, a tam wszyscy, którzy byli na naszym weselu. Gośka była w szoku. A ja, na boku, mówię do teściowej: „Mam jeszcze niespodziankę dla mamy, jutro są chrzciny Stasia". I następnego dnia ochrzciliśmy go w tamtejszym kościele.

Ale po co to opowiadam? Moja teściowa Gizela zmarła parę lat temu. Dwie godziny przed śmiercią przyszedł do niej, do szpitala onkologicznego, ksiądz na ostatnie namaszczenie. A ona kazała mu wyjść. Powiedziała: „Za to, co robiliście przez ostatnie lata, za to, jak niszczycie polskie życie, za to, jak zaangażowaliście się w politykę, nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Sama rozliczę się z Bogiem".

To było jedno z mocniejszych doświadczeń mojego życia. Taka była Gizela, pryncypialna i odważna – tak bardzo odważna.

Kościół stał się znowu taki, jaki był przed wojną, antysemicki, ksenofobiczny, zaściankowy.
– A ja mam w głowie inny Kościół. Pamiętam księdza Popiełuszkę – jako dziecko byłem z tatą na jego mszy, a gdy zniknął, koczowaliśmy trzy dni pod kościołem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Pamiętam kościół św. Marcina, w którym organizowano pomoc dla opozycji. To były moje rewiry. I chodziłem słuchać papieża, gdy przyjechał do Polski na drugą pielgrzymkę w 1983 roku. Ale jak nie podobała mi się religia w kościele Najświętszej Maryi Panny, to poszedłem do franciszkanów na Senatorską. Szukałem mądrych kazań, u dominikanów na Freta księża mówili odważnie i od serca.

Ojciec wymagał, żebym chodził w niedzielę na mszę, chociaż sam bywał w kościele od święta, chyba tylko na Wielkanoc i zawsze chodził na pasterkę.

Kiedyś – miałem siedem lat – przyszedł do nas ksiądz po kolędzie i pyta rodziców, czy mają ślub kościelny. Mówią, że nie. A on do mnie: „To jesteś bękartem".

I?
– Mój ojciec miał krótki lont i łatwo się wściekał. Powiem grzecznie, że wyprosił tego księdza z domu. I kazał mu zająć się biednymi. A mnie rodzice wytłumaczyli, co to znaczy bękart i że ludzie mogą żyć ze sobą szczęśliwie również bez ślubu kościelnego, moja mama była przecież rozwódką.

Urodził się pan dopiero czternaście lat po ślubie rodziców.
– Bo mnie miało nie być, rodzice nie chcieli dziecka. Mama miała już syna, Piotrka, i uznali z tatą, że to wystarczy.

Ale kiedy zaszła w ciążę, lekarz powiedział: „Pani Tereso, pani chyba chce tego dziecka. Niech pani przyśle do mnie męża".

I ojciec do niego poszedł. Lekarz powiedział, że to ostatni dzwonek, potem będzie za późno, i żeby się z mamą zastanowili. No i rodzice, na szczęście dla mnie, uznali razem, że jednak są gotowi na dziecko.

Dowiedziałem się o tym, gdy miałem osiemnaście lat, chciałem iść do tego lekarza z kwiatami, ale już nie żył. Trudno po czymś takim lekko traktować kwestię aborcji, prawda? Ale czy to nie jest za mocne, żeby o tym opowiadać?

Ładne przecież.
– A gdy się urodziłem, to już było wariactwo. Ojciec – który prowadził rozrywkowy tryb życia, koncerty, to, tamto – porzucił dla mnie muzykowanie i został szefem Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji, żeby się ustatkować. Kazał tylko wybudować w moim pokoju drzwi w obawie, że będę się darł i nie będzie mógł komponować. Ale podobno za bardzo się nie darłem, nie byłem krzykliwym dzieckiem.

Wcześniej nie mieli drzwi?
– Łuki – jak w „Czterdziestolatku", tam też były „łuki Karwowskiego". Drzwi jedynie do łazienki. Mieszkanie miało 75 metrów, ale z antresolą na górze, gdzie była sypialnia rodziców. Na dole wspólny pokój plus oddzielony łukiem pokój ojca, gdzie stały fortepian, książki i biurko.

Rodzice wstawili mi drzwi także z tego względu, że po urodzeniu byłem słabowity, bali się, że pies przeniesie na mnie wszystkie możliwe zarazki. A jak mnie przynieśli do domu, to bokser Bąbel i tak po pięciu minutach wpakował gębę do mojej kołyski i zaczął mnie lizać. To naprawdę była miłość od pierwszego wejrzenia. Mój obecny pies też ma na imię Bąbel.

Pan ma psa i papugę, tak?
– Papug – bo to był chłopak – już umarł, miał dziewięć lat. Nie wiedziałem, że będę z nim tak związany, wyrzucam sobie, że spędzałem z nim za mało czasu. Był bardzo fajny i inteligentny. Dostaliśmy go od pasjonata ptaków pracującego w zoo. Papug szybko zaczął gadać. Najpierw politykował, znał słowa: „konstytucja", „demokracja", a nawet przekręcał nazwiska pewnych polityków i klął. Potem nauczył się mówić „Ola, ucz się", „Rafał, jak się masz". Czasem śmiesznie mieszał słowa, ale wymawiał je bardzo wyraźnie. Potrafił też naśladować szczekanie psa, śmiech mojej żony i cieknący kran.

Po co trzymać ptaka w klatce?
– Mój papug latał po całym mieszkaniu. Ola była na wszystko uczulona, i to naprawdę poważnie, mówiłem pani, że bywała w szpitalach. Kiedy się urodziła, mieliśmy psa i kota, i musieliśmy je oddać.

Mojego ukochanego boksera oddałem sprawdzonym ludziom – ale to i tak rozdzierało serce. Na szczęście dobrze się odnalazł w nowej rodzinie, byłem u niego, miał tam kolegę, drugiego boksera. Natomiast kota, maine coona o imieniu Szczota, wzięła moja teściowa, więc wychowywał się w rodzinie. Po iluś latach Olce trochę przeszło uczulenie na krótkosierściuchy, dzieci od rana do nocy wywierały presję, że chcą mieć zwierzaki, stąd najpierw pojawił się papug, potem pies, chociaż on do dzisiaj nie może wchodzić do pokoju Olki.

Buldog francuski był kompromisem małżeńskim, bo ja chciałem boksera, a Gośka małego psa. Dzisiaj Bąbel ma osiem lat, jest cudowny, słodki, ale niestety psy z krótką kufą sporo chorują, musiał przejść operację, żeby oddychać.

Wszystkie moje trzy psy nazywały się Bąbel. Mówiłem, że w dzieciństwie też miałem boksera. Chyba ojciec go sobie wymyślił, bo pamiętam książki na temat psów, więc pewnie się obczytał, poza tym w rodzinnym domu ojca też były psy, dziadek Stanisław miał psy myśliwskie posokowce. Więc ja się z bokserem wychowałem, bo jak przyszedłem na świat, to Bąbel miał już ze cztery lata. Boksery są przyjazne, mądre, nieagresywne, uwielbiałem z nimi chodzić na długie spacery. Natomiast mój buldog francuski najbardziej lubi leżeć na kanapie.

Zajmuje panu miejscówkę?
– Swoje miejsce to mam tutaj, w ratuszu, swoje książki, swoje biurko. A w domu jak nie mogę czytać na kanapie, to czytam na balkonie, mnie jest wszystko jedno. Dzieci mają swoje pokoje, my z Gośką mamy sypialnię i jest duży pokój dzienny, gdzie wchodzimy sobie wszyscy na głowę.

Nasze mieszkanie jest trochę takie, jaki był dom moich rodziców, otwarte. Kiedy ojciec komponował, to zakładał słuchawki. U mnie domownicy wiedzą, że gdy czytam książkę, lepiej nie przeszkadzać, bo jak trochę nie poczytam, to robię się drażliwy. Książki to nie tylko pasja, ale najlepsza terapia na stres. ●

• **„Rafał. Rafał Trzaskowski w rozmowie z Donatą Subbotko"**
Wywiad-rzeka z prezydentem Warszawy i kandydatem KO na prezydenta, który właśnie ukazuje się nakładem Znaku. Książka dostępna w dobrych księgarniach i na stronie wydawnictwa Znak.

eprasa.pl a3741fa136

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CZYTAJ WYGODNIE

JAK ZAMÓWISZ prenumeratę papierowego wydania „Gazety Wyborczej”

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej”
u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do wyborcza.pl
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów

Zamów „Wyborczą” z DOSTAWĄ DO DOMU
w wybranych placówkach Poczty Polskiej
(zapytaj na swojej poczcie)

- Masz dostarczaną gazetę do miejsca zamieszkania lub do wybranego urzędu pocztowego bez dodatkowych opłat
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty

wyborcza.pl/prenumeratagw

eprasa.pl a3741fa136

ŚWIAT

NIKT NIE LUBI AMERYKAŃSKIEGO STUDENTA

FOT. REUTERS/CARLOS BARRIA

• **Prezydent Trump na spotkaniu z uczniami i studentami w Białym Domu, tuż po tym, jak podpisał dekret o zamknięciu Departamentu Edukacji (20.03.2025).**

Profesor z Harvardu: Całkowicie nas nie zarżną. Ale bez problemu zamienią w technikum dla Wall Street i Doliny Krzemowej.

Mateusz Mazzini

Na wydziale literaturoznawstwa prestiżowej amerykańskiej uczelni należącej do Ligi Bluszczowej, nastają nowe porządki. Stanowisko kierownicze obejmuje młoda wykładowczyni.

To uwertura do tektonicznych zmian. Po pierwsze, jest kobietą, pierwszą w historii katedry. Po drugie, z pochodzenia jest Koreanką, a wszyscy pozostali pracownicy w jej katedrze to biali, heteroseksualni Amerykanie w wieku albo przed- i mocno emerytalnym. Na tym tle wyróżniają się nowa kierowniczka oraz młody badacz zajmujący się postmodernizmem. Oboje są uwielbiani przez studentów, na ich zajęciach sale pękają w szwach. Ona jest po prostu dobra w swoim fachu i unika pryncypialności, on skraca dystans i zamienia wykłady w performance.

Brzmi fajnie, ale szybko za nonszalancję przyjdzie mu zapłacić. Na jednym z wykładów, wcielając się w postać z epoki, o której naucza, wyciąga prawą rękę w górę. Brać studencka się śmieje, ale jedna ze słuchaczek filmuje smartfonem. Natychmiast dzieli się nagraniem w serwisach społecznościowych. Podpisuje: „Faszyści na kampusie”. Wielbiony wykładowca zostaje zawieszony. Awantura zaczyna wymykać się spod kontroli: młodemu wykładowcy grozi zwolnienie, równoznaczne z wilczym biletem w całej Lidze Bluszczowej.

Wykładowca postanawia walczyć o dobre imię. Zaprasza oskarżycieli na *town hall* – publiczną debatę na środku kampusu. – Naziści zamykali uczelnie, a ja całą karierę pracowałem na uniwersytecie i chcę dalej to robić, chcę was uczyć – mówi, powołując się na fakty historyczne i odwołując się do logicznego rozumowania. Ale młodzi krzyczą, że słuchać go nie będą, bo „kolejny biały heteroseksualny mężczyzna nie będzie im mówił, jak mają myśleć”.

•

Ta historia to zalążek fabuły miniserialu „Pani Dziekan”. Ale to nie znaczy, że się nie zdarzyła. W ostatnich latach na kampusach najbardziej prestiżowych amerykańskich uczelni doszło do moralnej i normatywnej rewolucji na skalę niewidzianą od wojny w Wietnamie. Nigdzie w amerykańskim społeczeństwie rozwiązania spod znaku DEI – Diversity, Equity and Inclusion, różnorodności, równości i włączania – nie miały tak szerokiego zastosowania i tak powszechnej, zinstytucjonalizowanej implementacji, jak w miasteczkach studenckich.

Niektóre historie przychodzące zza oceanu pocztą pantoflową wydawały się tak absurdalne, że aż trudno było w nie uwierzyć. Ktoś nagrał mężczyznę przez pomyłkę wchodzącego do niewłaściwej toalety na kampusie, co skończyło się połajanką od dziekana. Znajomy wykładowca musiał tłumaczyć się z przytaczania tekstów żydowskich autorów na zajęciach z socjologii, bo w ten sposób miał popierać ludobójstwo w Gazie. Inni opisywali przypadki donosów do rektoratu za pokazywanie na zajęciach historycznych materiałów z *blackface*, białymi aktorami z twarzami pomalowanymi na czarno, jeszcze do lat 50. odgrywającymi czarnych w teatrzykach, wodewilach i skeczach.

Choć sam kończyłem Oksford, a więc anglosaską uczelnię, w opowieści z USA nie chciałem wierzyć. Harvard czy Princeton miałyby się tak bardzo różnić od mojej alma mater? Ale opowieści znajomych było tak wiele, że uwierzyłem w ogólną tendencję, która początkowo wydawała mi się typową alt-rightową paniką moralną, podchwyconą przez media głównego nurtu. Ostatecznie przekonał mnie bliski znajomy, gdy polecił mi „Panią Dziekan” z komentarzem: „Obejrzyj koniecznie. To jest właśnie życie, od którego uciekłem, wypisując się z kariery na amerykańskiej uczelni”.

•

Wychylone na lewo amerykańskie kampusy stały się jednym z pierwszych celów ofensywy administracji Trumpa. Do mediów przebiły się przypadki aresztowań studentów zaangażowanych w protesty przeciwko ofensywie Izraela w Gazie. Ale to tylko jedna

eprasa.pl a3741fa136

z wielu kwestii, za którą MAGA chce ukarać uczelnie ze wschodniego wybrzeża. Cięcia grantów z budżetu federalnego Biały Dom motywuje choćby niewłaściwą zdaniem trumpistów polityką wobec sportowców transpłciowych (Uniwersytet Pensylwanii) czy zaangażowaniem w pomoc rozwojową w ramach USAID, niemal zrównanej z ziemią przez Elona Muska agencji organizującej pomoc międzynarodową, w tym humanitarną (Johns Hopkins University).

Z prawnego punktu widzenia te uczelnie są podmiotami całkowicie prywatnymi, więc rząd federalny ma nad nimi ograniczoną władzę – głównym narzędziem wywierania nacisków są środki przyznawane przez polityków w Waszyngtonie na badania naukowe i projekty międzynarodowe za pośrednictwem rozmaitych instytucji, jak np. Narodowy Instytut Zdrowia (NIH). W dodatku nie są to kwoty decydujące o przetrwaniu całych uniwersytetów. Większość dysponuje własnym majątkiem, *endowment*, sięgającym kilkudziesięciu miliardów dolarów.

A jednak powrót Trumpa wywołał na kampusach efekt mrożący. Tam, gdzie cięcia już wprowadzono – 800 mln dolarów dla Johns Hopkins, 400 mln dla nowojorskiej Columbii, 175 mln dla Pensylwanii – za redukcją finansowania poszły zwolnienia. Znajdujący się w Maryland Johns Hopkins zwolni około dwóch tysięcy pracowników, co odbije się na całej lokalnej gospodarce – uczelnia jest największym pracodawcą w swoim mieście, Baltimore. Umowy z wykładowcami na kontraktach rozwiązują Columbia, Brown, Northwestern. Inne szkoły, w tym Harvard, słynny MIT, czyli Massachusetts Institute of Technology, oraz położone poza wschodnim wybrzeżem Duke, Stanford czy Uniwersytet Kalifornijski, wprowadziły dyrektywę o zamrożeniu zatrudnienia nowych pracowników poza stanowiskami naukowymi, na które już trwała rekrutacja.

•

O to, jak teraz wygląda życie na amerykańskich kampusach i kto będzie kolejnymi ofiarami antysystemowej krucjaty Trumpa i Muska, zapytałem studentów i wykładowców uczelni Ligi Bluszczowej: tych, którzy są tam nadal oraz tych, którzy byli naocznymi świadkami rewolucji spod znaku DEI.

– Stwierdzenie, że ludzie są zaskoczeni, byłoby niedopowiedzeniem – mówi mi Maciej, absolwent prawa na Cornell. Studiował w czasie pierwszej kadencji Trumpa i wtedy zmiany ani na jotę nie były tak drastyczne, jak teraz. Przy czym jego macierzysta uczelnia i tak nie oberwała tak mocno, jak inne szkoły. Jeszcze nie.

– Na razie zmiany dotyczą narracji – terminologii, ogólnej postawy światopoglądowej samej uczelni. Modyfikowane są nazwy programów, z tytułów kursów znikają hasła związane z DEI. Pracownicy są przesuwani do mniej drażliwych politycznie przedsięwzięć. Uczelnia już nie chwali się w komunikatach badaniami czy programami związanymi z różnorodnością, płcią i tak dalej.

– To dotkliwe dla zainteresowanych, badaczy i studentów, ale niezbyt daleko idące i spektakularne zmiany – zauważam.

– Na pewno wielu osobom rzuciło się w oczy to, że uczelnia nagle przestała zachęcać do dodawania zaimków w stopkach mailowych – i u wielu one momentalnie zniknęły. No i wycofuje się z obiegu niektóre słowa, zwłaszcza związane z równością, kwestiami płciowymi.

High Point, mały uniwersytet w Północnej Karolinie, nakazał wykładowcom audyt sylabusów i wyeliminowanie tam, gdzie to możliwe, słów takich jak „równość", „feminizm", a nawet „płeć".

Na Cornell rykoszetem dostają projekty zupełnie pozbawione kontekstu ideologicznego czy obyczajowego. Zapewne podpadły tym, że były równościowe tak po prostu, czyli pomagały utrzymać się wszystkim studentom. Dotację stracił sklep spożywczy subsydiowany przez uczelnię, dzięki czemu na kampusie można było niedrogo się wyżywić.

– Moi profesorowie śmieją się, że na razie cięcia pogorszą katering na konferencjach – mówi mi z kolei Michał, student Wharton School, biznesowej szkoły przy Uniwersytecie Pensylwanii. Ale śmiech wkrótce będzie przez łzy, bo jego uczelnia już odczuła zmianę nastawienia władz federalnych: przepadło 175 mln dolarów z grantów. Powód – łamanie regulacji dotyczących osób transpłciowych w sporcie.

W lawinie dekretów Trumpa znalazł się też dokument zakazujący transpłciowym studentkom startów w żeńskich kategoriach. Zdaniem Białego Domu *UPenn* nie stosuje się do tych przepisów, więc musi ponieść konsekwencje – nawet jeśli sprawa nie ma nic wspólnego z badaniami naukowymi, na które szły granty. W dodatku to kara retrospektywna, bo dotyczy historii sprzed trzech lat. Wtedy pływaczka Lia Thomas, która przeszła tranzycję w czasie studiów, zaczęła wygrywać żeńskie zawody studenckie. *UPenn* podkreśla teraz, że stosuje się do wytycznych federacji sportowych, a uzasadnienia cięć w finansanowaniu z Białego Domu nie dostał.

– Klasyczny przykład awantury o coś, co dotyczy promila społeczności studenckiej, może kilku osób. Ale ponieważ lewica wzięła to na sztandary, ludzie Trumpa też zrobili z tego ważny punkt programu – uważa Michał.

•

On akurat zgodził się rozmawiać bez specjalnych ceregieli, ale większość bohaterów tego reportażu na dzień dobry stawiało warunek: jasne, możemy porozmawiać, ale chcę zachować anonimowość. Naciskają na nią zwłaszcza członkowie kadry pedagogicznej, ćwiczeniowcy i wykładowcy. Niektórzy odmówili komentarza, bo „a co, jak ktoś z administracji mnie zidentyfikuje".

Młody naukowiec napisał mi wprost, że na jego uczelni pracownikom naukowym zasugerowano milczenie w kontaktach z prasą. „Wiem, jak to brzmi, ale jeśli pracownicy dyplomatyczni USA stacjonujący w Polsce uznają »Wyborczą« za medium dyskryminujące bądź ekstremistyczne, to te parę słów dla ciebie mogłoby być początkiem końca mojej kariery" – odpisał na prośbę o rozmowę. I zacytował formułki, jakie władze uczelni przekazały pracownikom naukowym na internetowym seminarium: im mniej o tobie w internecie, tym lepiej. Unikaj materiałów online, bo samo pojawienie się twojego nazwiska przy jakimś materialne w sieci uznanym za niesprzyjający jest podstawą do zawieszenia, wydalenia, odebrania już wydanych dyplomów, a nawet deportacji. Zielona karta może cię nie ochronić. Nie komentuj bieżącej polityki, także w prywatnych wiadomościach.

•

Sonia, która na Harvard przyjechała z Europy Środkowo-Wschodniej, zgadza się porozmawiać, bo jako studentka ryzykuje nieco mniej. Prosi tylko, żebym zmienił jej imię.

– Szybko zorientowałam się, jak ogromnie dużo osób patrzy tu na świat przez pryzmat tożsamości, płci i rasy. Ludzie błyskawicznie na tej podstawie wyciągali wnioski, szufladkowali ludzi. Sama wielokrotnie usłyszałam, że jestem kolonizatorką, bo jestem biała. Łapałam się za głowę: »ziomki, pochodzę z biednego kraju postkomunistycznego, co ja mam wspólnego z waszym kolonializmem?«. A ja przecież nie chodziłam po kampusie i nie wytykałam przywileju kolegom, którzy mają wielomilionowe fundusze powiernicze i dostatnią przyszłość.

Motyw oceniania rzeczywistości przez pryzmat tożsamości, zwłaszcza płciowej i rasowej, wzmocniony przez polaryzację wywołaną konfliktem izraelsko-palestyńskim, przewija się w każdej z kilkunastu rozmów. Niektóre z historii moich rozmówców trudno nazwać inaczej niż triumfem ideologii nad zwykłym zdrowym rozsądkiem.

– Na pierwszym roku w ramach bloku humanistycznego miałem zajęcia z przedmiotu „Food and Society", jedzenie i społeczeństwo – wspomina Michał. – Studiuję ekonomię, a to był przedmiot o ewolucji rolnictwa i gospodarek z nim związanych, więc powinien się przydać. Któregoś dnia omawialiśmy Marksa. Jedna ze studentek wstała i powiedziała wykładowczyni, że nie widzi sensu w uczeniu się perspektywy marksistowskiej, bo Marks był białym, cis-genderowym mężczyzną, który nie zajmował się niewolnictwem i kwestiami rasy – więc z punktu widzenia amerykańskiego społeczeństwa nic nie wnosi.

Maciej: – Dla mnie największym szokiem były sanktuaria. Myślałem, że chodzi o schronienia dla nielegalnych imigrantów. Na Cornell sanktuariami określano miejsca na kampusie, w których nie można było organizować debat czy spotkań na określone tematy – na przykład o aborcji. Ten zakaz na twardo wpisano do regulaminu uczelni.

Umowy z wykładowcami rozwiązują Columbia, Brown, Northwestern. Harvard, MIT, Stanford i Uniwersytet Kalifornijski zamroziły już trwające rekrutacje

•

– Mój pierwszy bojkot dotyczył jedzenia – opowiada Zachary, student szkoły prawa na Harvardzie, z uczelnią związany od pięciu lat, wcześniej studiował na Harvard College. – Zaproponowałem znajomym kolację w restauracji z kuchnią marokańsko-izraelską. Świetne jedzenie, knajpa jest naprawdę dobra i znana w okolicy. W dodatku poza kampusem, to przywilej Harvardu, w przeciwieństwie do innych uczelni jesteśmy przyklejeni do dużego miasta. Usłyszałem, że nie możemy tam iść, bo jedzenie izraelskich potraw jest obraźliwe. A to było kilka lat temu, długo przed 7 października, czyli atakiem Hamasu w 2023 roku.

Sonia: – Te kampusy są tak różnorodne, że zawsze znajdzie się coś, co ktoś uzna za obraźliwe. Ludzie czują się dotknięci dosłownie wszystkim. A potem są realne konsekwencje, zwłaszcza towarzyskie. Ja w temacie Izraela i Palestyny zabrałam głos raz. Powiedziałam, że rozumiem racje obu stron, a koniec końców to wojna, w której ludzie giną po obu stronach. Kilka tygodni później dowiedziałam się, że jedna z bliskich mi osób poczuła się ogromnie dotknięta. Dalej się kumplujemy, ale o Izraelu już nie rozmawiam. Z nikim.

Michał: – Ja przez DEI sporo ryzykowałem. Na zajęciach z etyki omawialiśmy temat odszkodowań dla czarnej populacji USA. Asystentka, która prowadziła ćwiczenia, robiła z tego doktorat. Pochodziła z Ghany. Zabrałem głos, powiedziałem, że mam z tym podejściem problem. Praktyczny – bo nie wiem, jak mielibyśmy te odszkodowania wypłacać ani z czyich pieniędzy. Oraz etyczny, bo niby czemu na przykład Amerykanie azjatyckiego pochodzenia mieliby płacić kary za niewolnictwo sprzed ponad stu lat. Prowadząca odparła, że zredukowanie do zera wydatków na obronność uwolniłoby środki na godne życie dla wszystkich czarnych Amerykanów. Odpowiedziałem, że jestem z Polski – to już było po rosyjskiej inwazji na Ukrainę – i że Ameryka jest również gwarantem mojego bezpieczeństwa. Byłem ostatnim głosem w debacie.

Wkrótce zostałem pilnie wezwany do profesor prowadzącej cały kurs. Dowiedziałem się, że odciąłem doktorantkę od możliwości wypowiedzenia się. Zapytano mnie, co zamierzam zrobić ze swoim karygodnym zachowaniem. Próbowałem użyć równościowego argumentu: sam jestem z Polski, kraju przez lata eksploatowanego, najeżdżanego, obecnie znów na celowniku Rosjan, państwa imperialnego. Usłyszałem, że „zachowałem się niewłaściwie wobec osoby, która przeszła więcej ode mnie". Musiałem pisemnie przeprosić. W mailu złożyłem autentyczną samokrytykę. Jak w czasach sowieckich.

– A co by się stało, gdybyś odmówił – pytam. I dowiaduję się, że takich oskarżeń, choć spokojna rozmowa, gdy wszyscy ochłoną, powinna rozwiązać problem, nie wolno bagatelizować. – Wykładowca mógł poprosić, by student z naruszeniem na koncie wypisał się z przedmiotu. A ponieważ na uczelniach obowiązuje minimum programowe – trzeba być zapisanym na określoną liczbę zajęć, a wybór nie jest nieograniczony – niedokończony kurs może zamknąć drogę do dyplomu czy wręcz doprowadzić do relegowania z uczelni.

•

Większość byłych i obecnych studentów czy wykładowców Ligi Bluszczowej jest zdania, że DEI i inne polityki równościowe były oparte na dobrym założeniu, ale często stawały się karykaturą za sprawą pryncypialnych, zaangażowanych młodych idealistów. Nielicznych, ale widocznych i nadających ton za sprawą Facebooka czy Twittera/X. Moi rozmówcy podkreślają, że sporo inicjatyw równościowych miało sens i odpowiadało na realne potrzeby czy deficyty na kampusie. Ginęły jednak w krzyku najbardziej radykalnych pomysłów. Skutek: DEI napędzały realne zmiany, ale bardziej w kierunku czegoś, co w socjologii nazywa się „igrzyskami cierpienia" – rywalizacji mniejszości o to, która jest bardziej uciśniona.

Zachary: – Intencje były słuszne, ale wyszło jak z punktami za pochodzenie w PRL. Uczelnie robiły to, żeby móc pochwalić się liczbami – w danym roku przyjęliśmy tyle i tyle czarnych czy Latynosów. Ale to nie było żadne wyrównywanie szans, bo owszem, przez selekcję przechodzili studenci niebiali, ale najczęściej bardzo bogaci. Więc na Harvard trafiały kolejne bogate dzieci bogatych rodziców, tylko że o innym odcieniu skóry. Kandydatom z ubogich rodzin nic ten zwrot równościowy nie dał.

Maciej: – Uniwersytety chciały odkupić swoje oderwanie od rzeczywistości poprzez politykę polepszania pozycji mniejszości. Nikt nie rozumiał, że problem tkwi już nie tyle w pochodzeniu etnicznym czy w płci, tylko w fakcie, że kampusy stały się zamkniętą bańką dla bogatych, która z ogółem społeczeństwa nie ma nic wspólnego.

A to w mniejszym stopniu konsekwencja systemowego lub mimowolnego wykluczania mniejszości, w znacznie większym – wciąż rosnącego czesnego oraz kosztów utrzymania przy jednoczesnym ubożeniu klasy średniej i robotniczej.

O ocenę DEI pytam jednak nie tylko mężczyzn.

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Sonia: – Były i dobre inicjatywy. Jestem kobietą, studiuję na wydziale technicznym, brałam udział w dziesiątkach projektów z gatunku „dziewczyny w naukach ścisłych". Tam poznałam rekrutera, dzięki któremu dostałam pracę.

Anna, absolwentka Columbii, Amerykanka: – DEI to był zestaw polityk mających pomóc mniejszościom, ale wyszło tak, że nie wszystkim i nie zawsze pomagał. W czasie protestów związanych z atakami Izraela w Strefie Gazy była cała masa haseł nienawistnych, nawoływania do przemocy. Wezwania do fizycznych ataków na Żydów. Rzadziej na Palestyńczyków, ale zdarzały się i takie. Uniwersytety nie reagowały, bo władze uniwersyteckie się całkowicie pogubiły.

Michał: – DEI ograniczało wolność słowa. Nie trzeba być Republikaninem czy głosować na Trumpa, żeby wiedzieć, że to prawda.

•

Kluczową cechą odróżniającą amerykańskie kampusy od europejskich była intensywność, z jaką za oceanem forsowano narracje równościowe. Choć dyskurs DEI jest obecny również na Starym Kontynencie, moi rozmówcy – spośród których wielu ma doświadczenie studiowania po obu stronach Atlantyku – stwierdzają, że w USA wszedł on na każdą płaszczyznę życia akademickiego.

Podobną historię opowiada mi Max*, doktorant na uczelni Ligi Bluszczowej. Właśnie zaangażował się w tworzenie związku zawodowego doktorantów, ale idzie jak po grudzie, bo inicjatywę oprotestowali żydowscy studenci. Powód? Jednym z haseł związku stała się „Palestyna od rzeki [Jordan] do morza", zawołanie Hamasu, które dla Żydów broniących polityki Jerozolimy wobec arabskiej mniejszości oznacza nawoływanie do zniszczenia państwa Izrael.

Max do Stanów trafił późno, wcześniej pracował jako inżynier. Ma doświadczenie z trzech kontynentów, w tym z krajów obyczajowo opresyjnych, jak bliskowschodnie autokracje. Ale dopiero na kampusie Ligi Bluszczowej poczuł się jak na innej planecie. – Tutaj żyje się w bańce opresji administracyjnej. Wszystko jest narzucane z góry. Podobno od lat tak było, ale na dobre rozkręciło się w pandemii. Coś, co miało racjonalne, naukowe podstawy, zostało wykoślawione przez emocje podszyte, no cóż, wymogiem poprawności, tego, co wypada. Do teraz są u mnie na kampusie kawiarnie, w których obowiązuje chodzenie w maseczkach.

•

Wiele problemów, wynika ze specyfiki życia na amerykańskim kampusie. A konkretnie z geografii. Społeczności akademickie na najlepszych uczelniach są często bardzo wsobne, bo znajdują się na uboczu, niekiedy dosłownie daleko od cywilizacji.

Harvard czy Columbia w pewnej mierze unikają tego zjawiska, bo są ulokowane wewnątrz dużych miast lub obok nich. Ale miejsca takie jak Cornell – 80 kilometrów od jakiegokolwiek choćby średniej wielkości miasta, Princeton w pół drogi między Filadelfią i Nowym Jorkiem czy Dartmouth, pośrodku niczego, skąd do najbliższego dużego miasta – Bostonu – jest 200 km, to już bańki, wewnątrz których ciężko o różnorodność światopoglądową. To bezpośrednio przekłada się na relację prestiżowych uczelni z resztą amerykańskiej rzeczywistości – społecznej i politycznej. I w dużej mierze wyjaśnia nienawiść obecnej władzy do tych instytucji.

W lutym 2024 r. Evan Osnos z „New Yorkera" opublikował przekrojowy esej na temat kondycji elit w USA. Z szerokiego badania wyszło mu, że konsensus co do tego, czym jest elita społeczna, za oceanem wyparował. Nie ma już w Stanach jednej elity – to, kogo się do tego grona zalicza i z jakiego powodu, całkowicie zależy od poglądów.

Osoby o światopoglądzie lewicowym za elitę uznają najbogatszych absolwentów Ligi Bluszczowej, którzy potem idą do pracy na Wall Street. Są biali, pochodzą z zamożnych rodzin. Z kolei dla współczesnej prawicy elity to ci, którzy narzucają dominujące normy estetyczne. Mówią ci, jak masz się ubierać, jakich zaimków używać i gdzie, jak zwracać się do innych. Jedynym punktem wspólnym dla tych dwóch definicji są kampusy Ligi Bluszczowej – i ma to konsekwencje.

To nic, że te uniwersytety są podmiotami prywatnymi. Przed piłą mechaniczną Muska to ich nie uchroni. Po pierwsze, bo w świadomości wyborców Trumpa służą reprodukcji elit i są pasem transmisyjnym pomiędzy zadzierającymi nosa wyższymi sferami oraz arbitrami smaku a instytucjami państwa, ośrodkami władzy i wielkim biznesem. Równie dobrze mogłyby być zrośnięte z rządem federalnym – bo w oczach wszystkich wyborców tęskniących za dawnymi, bardziej egalitarnymi ścieżkami awansu społecznego i tak zrośnięte już są. Jak choćby Uniwersytet Johnsa Hopkinsa – szkoła kształcąca w ogromnej liczbie kadry Departamentu Stanu, Departamentu Zdrowia i innych ważnych instytucji federalnych.

•

Jeśli więc prezydentura Trumpa jest jednym wielkim zamachem na rząd federalny, a uniwersytety są postrzegane jako jego przybudówka, trudno spodziewać się, by masowe cięcia i nadzór nie objęły kampusów.

A po drugie, ciała studenckie są tak zdominowane przez osoby o poglądach liberalnych i lewicowych, że nie stanowią już miniatury społeczeństwa. Konsekwencją tego jest w najlepszym wypadku obojętność i niezrozumienie, w najgorszym – gigantyczna wzajemna niechęć. Spośród osób obecnie studiujących na pierwszym roku na Harvardzie zaledwie 5 proc. identyfikuje się jako Republikanie – wynika z badania studenckiej gazety „Harvard Crimson". W innym badaniu tylko 4 proc. studentów i wykładowców przyznało się do poglądów konserwatywnych. A Harvard i tak stara się zachowywać światopoglądowe proporcje, dobierając profesorów wizytujących czy gości specjalnych.

Zachary: – Tę próbę utrzymania balansu dobrze widać na wydziale nauk politycznych, który co roku zaprasza na wykłady ludzi z różnymi poglądami. Była tu Nancy Mace, kontrowersyjna kongresmenka z Karoliny Południowej, przeciwniczka aborcji. Wystąpił gorący chrześcijanin Paul Ryan, swego czasu gwiazda Republikanów. Była Betsy DeVos, szefowa departamentu edukacji za pierwszej kadencji Trumpa. Ale to nie zmienia faktu, że kampusy są prawie w całości liberalne. Na moim roku jest 80 osób, jedna ma poglądy konserwatywne. Załóżmy, że może jeszcze kilka się ukrywa. I co, maksymalnie dojdziemy do 10 procent. To jak mamy rozumieć resztę Ameryki, a ona ma rozumieć nas, skoro 90 proc. przyszłych absolwentów ma poglądy liberalne, a kadra jest jeszcze bardziej wychylona na lewo?

Michał: – Obraz uniwersytetu jako instytucji całościowo liberalnej jest bardzo głęboko zakodowany po obu stronach politycznej, czy raczej światopoglądowej, barykady. Więc uczelnia może robić jakiś cichy appeasement wobec Trumpa, pisać listy, że się dostosuje, skasuje ze stron internetowych wzmianki o DEI, ale to niewiele da.

Anna: – Najlepsze amerykańskie uczelnie są fundamentem systemu, który według większości społeczeństwa po prostu nie działa. Nic im nie daje. DEI miało być korektą, ale poszło w złą stronę – nie realnego otwarcia się na inne, mniej uprzywilejowane grupy społeczne, tylko na przestrzeganie czystości ideowej we własnej warstwie. Wiadomo, że te instytucje nie upadną, ale nie spodziewaj się, żeby stąd wyszła jakaś oświecona socjaldemokracja. Nie ma na kampusie żadnej refleksji na temat tego, co poszło nie tak w poprzednich latach. Co najwyżej niektórym bardziej lewicowym studentom, którzy krytykowali Bidena za wsparcie dla Izraela, teraz można wytykać naiwność. Mówili, że obaj kandydaci byli takim samym złem, a teraz Trump zmiata zalążki ich wymarzonego świata z powierzchni ziemi. Ale zależność ścieżkowa, czyli wpływ przeszłych decyzji na przyszłe procesy społeczne, jest pomiędzy Ligą Bluszczową a Partią Demokratyczną zbyt duża.

Maciej: – Przepaść pomiędzy narracją dominującą na kampusach a klasycznym elektoratem Partii Demokratycznej, który w ostatnich latach przepłynął częściowo do Republikanów, jest ogromna.

Zachary: – W porównaniu do opinii wyrażanych na kampusie sekcja komentarzy w centrowym, a według amerykańskich standardów niemal lewicowym „The New York Timesie" brzmiała jak cytaty z Republikanów głównego nurtu.

Sonia: – A to, co w sferze idei wychodziło z kampusów, od razu trafiało do polityki najwyższego szczebla, jakby była bezpośrednia gorąca linia. Ale to już jest wybór Partii Demokratycznej, że politycy brali te tematy i ustawiali jako najważniejsze w debacie publicznej. Naprawdę nie wiedzieli, że w skali kraju dla ludzi są ważniejsze problemy niż – z całym szacunkiem dla ich dramatów – prawa kilkorga transpłciowych sportowców na uczelniach? Więc nikt za to nie będzie umierał?

•

Co więc zmieniło się po 20 stycznia, kiedy Trump wrócił do Białego Domu? I co dalej z Ligą Bluszczową?

Michał: – Poza cięciami budżetowymi i symboliczną zmianą języka w oficjalnych materiałach uczelni? To raczej nic. Co się miało zmienić? Jak miały się uaktywnić społeczności konserwatywne, jak tu w ogóle nie trafiają ludzie o takich poglądach? Proces rekrutacji jest tak skonstruowany, że faworyzuje kandydatów z historią zaangażowania w inicjatywy progresywne. Jeśli jesteś w grupie kościelnej, nie dostaniesz dodatkowych punktów. Więc się ze swoim konserwatyzmem musisz schować do szafy. A to powoduje, że w twojej rodzinie, środowisku niechęć do „tych liberałów" narasta.

Zachary: – Liberałowie mówią o sobie, że Ligę Bluszczową ukończyli. I to jest generalnie powód do wstydu, bo oznacza uprzywilejowanie. Konserwatysta powie natomiast, że Ligę Bluszczową przetrwał – i to jest kombatanctwo ideologiczne, powód do dumy.

– A coś się zmieniło przez te dwa miesiące? Uczelniani Republikanie ośmielili się, przestali wstydzić, bać ostracyzmu? – pytam.

– Niektóre inicjatywy prawicowe wyszły z podziemia. A konserwatywna gazeta studencka dostała 40 tys. dolarów od nowych sponsorów. Jak na taki projekt to kupa kasy.

Sonia: – Ogólnie w całych Stanach panuje teraz nagonka na edukację wyższą. Coraz więcej ludzi mówi publicznie, że uniwersytety są nic niewarte, bo wszyscy się uczymy o kilkudziesięciu płciach i nic więcej. Po co więc studiować, lepiej założyć biznes, olać to. Ale mimo wszystko nie martwię się, że będę miała problem ze znalezieniem pracy. Skasowanie nas wszystkich jest niemożliwe, jesteśmy zbyt dobrą siłą roboczą. Poza tym Harvard ma potężny soft power, który dalej działa.

Maciej: – Całkowite zaoranie tych szkół jest niemożliwe. Ale już modyfikacja tak, żeby stały się kuźnią nowych elit, nie jest wykluczona. Gdyby Trump zasugerował zmianę jednej z tych uczelni na taką konserwatywną super-placówkę, federalne pieniądze znalazłyby się natychmiast. Pieniądze też nie są na razie problemem. Szkoły próbują dziurę zasypać datkami od absolwentów – liczba maili z prośbami o wpłaty, które dostaję, zwiększyła się kilkukrotnie w ostatnich tygodniach. Poza tym uczelnie się dywersyfikują. Taki New York University ma kampus w Abu Dhabi. Gdyby jakiś szejk zaoferował, powiedzmy, miliard dolarów, to każdy rektor by wziął natychmiast – nawet za cenę zmian w programie nauczania o prawach człowieka czy na podobnych kursach.

Anna: – Realną groźbą dla przyszłości uczelni byłby nowy podatek od majątku, danina nałożona na każdy *endowment*. Wtedy taki Harvard mógłby zbankrutować. Ale na razie nikt o tym nie wspomina.

Maciej: – To, co się teraz dzieje, to nie rewolucja, tylko kontrrewolucja. Wahadło przechyla się w drugą stronę. A ludzie nie będą bronić uniwersytetów, bo one już dawno nie są narzędziem awansu społecznego. Tworzą zamknięty system, do którego zdecydowana większość osób może wejść tylko i wyłącznie poprzez zadłużenie się po uszy.

Dlatego uniwersytety – mówią zgodnym chórem moi rozmówcy – to drabina, której zwykły Amerykanin nawet nie zobaczy. A jak zobaczy – to nie doskoczy nawet do pierwszego szczebla. Ten system reglamentowania dostępu do władzy tak funkcjonuje od 150 lat, ale choć nikomu przez ten czas nie zależało, żeby dokonać jakichś większych zmian, istniały w nim furtki. Ale w ostatnich dwóch-trzech dekadach kryterium finansowe stawało się coraz ważniejsze, aż marzenie o dyplomie stało się synonimem długu. I elita już prawie się nie odświeża, jedynie reprodukuje. A więc na najsłynniejszych uczelniach świata, symbolu amerykańskiej wyższej edukacji, następuje ideologiczne odbicie, napędzane frustracją ludzi – już wręcz całych pokoleń – zablokowanego awansu społecznego.

Ale potem wahadło pójdzie znów w drugą stronę – i dopiero wtedy zrobi się ciekawie. Bo tego odbicia nie zagospodarują pogubieni i pasywni Demokraci. – Ono będzie rozproszone – podsumowuje Maciej. – Partia, która zbuduje kapitał na sprzeciwie wobec Trumpa, jeszcze nie powstała. Ale myślenie, że za cztery czy osiem lat Demokraci odbiją Kongres, Biały Dom i wszystko wróci do normy, jest naiwne.

•

Z opowieści ludzi związanych z Ligą Bluszczową wyłania się spójny obraz kraju, który już przestał być spójny i ludzi łączy tylko jedno: są wściekli. Ale z bardzo różnych powodów. Jedyne, co ich łączy, to utrata wiary w system oparty na demokracji liberalnej i trójpodziale władzy. Złość na uniwersytety, Waszyngton, rząd federalny narasta od lat, niezależnie od poglądów. Na elitarnych uczelniach nastrój schyłku wisi w powietrzu. – To szybki początek końca starej Ameryki. Na naszych oczach rodzi się nowa – słyszę od wielu rozmówców.

A jedyne, co o niej wiadomo, to że będzie bardzo odmienna. Od tej, do której przywykliśmy, liberalnej, przejętej i zaangażowanej, nowojorskiej i waszyngtońskiej, którą braliśmy za całą Amerykę. Od tej progresywnej, nieco utopijnej, jaką ekspresowo chciała zbudować akademicka lewica. Ale i od tej, za którą tęsknią sympatycy Make America Great Again. ●

Akademicka kontrrewolucja

800 mln dolarów
• federalnych dotacji stracił Uniwersytet Johnsa Hopkinsa w Baltimore. Nowojorska Columbia – 400 mln, Uniwersytet Pensylwanii – 175 mln

ok. 200
• pracowników zwolni Johns Hopkins, co odbije się nie tylko na Baltimore, ale na gospodarce całego stanu Maryland

5 proc.
• studentów pierwszego roku Uniwersytetu Harvarda identyfikuje się jako Republikanie

4 proc.
• studentów i wykładowców Harvardu przyznaje się do poglądów konserwatywnych

40 tys. dol.
• dostała od nowych sponsorów konserwatywna gazeta studencka, dotąd na Harvardzie niszowa

eprasa.pl a3741fa136

Gdzie są europejskie głowice jądrowe?

TRIUMFATOR, ZUCHWAŁY, CZUJNY I GROŹN

Bartosz T. Wieliński

Rosja nieustannie przypomina, że na atomowym celowniku ma europejskie miasta. Co będzie, gdy Europa przypomni jej o tym samym?

Gdzie są europejskie głowice jądrowe? Kilkadziesiąt jest na półwyspie Ile Longue, a reszta ukryta w głębinach Atlantyku. Przy Ile Longue, długim na 2,5 km pasie lądu wcinającym się w zatokę na zachodnim skraju Bretanii – na przeciwnym brzegu zatoki leży Brest – stacjonuje flota francuskich rakietowych okrętów podwodnych.

Okręty są cztery: „Le Triomphant", „Téméraire", „Le Vigilant" i „Le Terrible". „Triumfator", „Zuchwały", „Czujny", „Groźny". To długie na 150 m stalowe cygara mieszczące reaktor jądrowy typu K-15 o mocy 150 MW. Wytwarzana przez reaktor energia podgrzewa parę, która napędza turbiny okrętu. Jeśli chodzi o wytwarzanie ciepła, to francuskie okręty mają połowę mocy małych polskich elektrociepłowni.

Między przedziałem reaktora a trzypoziomowym kioskiem okrętu znajduje się przedział rakietowy, a w nim osiem par stalowych cylindrów wysokich na 12 m. Skrywają pociski M-51, najstraszliwszą broń we francuskim arsenale. Powstały na bazie tego samego silnika rakietowego, który na orbitę wynosi francuskie rakiety kosmiczne Ariane. Na odległość 10 tys. km są w stanie przenieść od czterech do sześciu głowic jądrowych. Oznacza to, że okręt zanurzony w Zatoce Biskajskiej za pomocą M-51 może zaatakować dalekowschodni Władywostok. I zamienić to 600-tysięczne miasto w radioaktywne gruzowisko.

Francuskie głowice strategiczne mają moc 100 kiloton trotylu – to prawie sześć razy więcej niż bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę. Z symulacji wynika, że eksplozja takiego ładunku tworzy kulę ognia o promieniu 423 m. W odległości 4 km od wybuchu wszystko zostałoby zrównane z ziemią. Francja ma w gotowości 240 takich głowic.

Jeszcze trzy lata temu przy nabrzeżu na Ile Longue stały dwa okręty podwodne. Jeden remontowano, drugi był w stanie wypłynąć na patrol w ciągu kilku dni. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę prezydent Emmanuel Macron podniósł poziom gotowości bojowej sił strategicznych. Odtąd poza portem, w głębinach oceanu czają się nieustannie trzy okręty. Rozkaz do użycia broni jądrowej może wydać tylko francuski prezydent. Procedura jego wydania pozostaje tajemnicą.

Okręty Jego Królewskiej Mości

Podobnie sprawa ma się z procedurami w Wielkiej Brytanii. Wiadomo tylko o listach z rozkazami, które brytyjski premier zaraz po zaprzysiężeniu i odprawie z szefem sztabu sił zbrojnych, wysyła do kapitanów czterech okrętów rakietowych Jego Królewskiej Mości: HMS „Vanguard" („Awangarda"), HMS „Victorious" („Zwycięski"), HMS „Vigilant" („Czujny") i HMS „Vengeance" („Zemsta").

Listy w zaplombowanych kopertach są zamknięte w sejfach w centralach bojowych okrętów, do których klucz mają tylko kapitanowie i ich zastępcy. Zawierają instrukcję co robić, gdyby w wyniku ataku jądrowego premier i jego potencjalni następcy zginęli.

W takiej sytuacji – którą potwierdziłoby ustanie nadawania przez radiostacje marynarki wojennej na co najmniej cztery godziny – kapitan mógłby, w zależności od tego, co przeczytał w liście, odpalić przenoszone przez jego okręt 16 rakiet typu Trident (o podobnych parametrach i nieco większym zasięgu co francuskie M-51), nie odpalać rakiet, oddać się pod rozkazy kraju sojuszniczego, czyli USA lub Australii. Czwarta opcja to kierowanie się przez kapitana własnym osądem sytuacji.

W przeciwieństwie do rakiet M-51 tridenty – brytyjska marynarka wojenna ma ich 64, przenoszą 225 głowic – nie zostały opracowane w Wielkiej Brytanii, produkuje je amerykański koncern Lockheed Martin także na potrzeby marynarki wojennej USA. Serwis i załadunek pocisków na brytyjskie i amerykańskie okręty rakietowe odbywa się w bazie Kings Bay w stanie Georgia. Pociski do załadunku na brytyjskie okręty wybiera się losowo, by rozwiać obawy sojuszników, że dostają gorsze wyposażenie niż Amerykanie. Takie atomowe fair play...

Jednak dziś, w drugim miesiącu prezydentury Donalda Trumpa, taka strategiczna zależność od Ameryki jest obciążeniem, nawet jeśli to brytyjski premier ma nad rakietami pełną kontrolę.

Symulowany atak jądrowy na Sztokholm

– Ktokolwiek próbuje nam przeszkodzić, a tym bardziej zagrozić naszemu krajowi, naszemu narodowi, powinien wiedzieć, że odpowiedź Rosji będzie natychmiastowa i doprowadzi do takich konsekwencji, z jakimi nie stykał się nigdy wcześniej w swojej historii – zapowiedział Władimir Putin w orędziu nadanym przez kremlowską telewizję nad ranem 22 lutego 2022 r., gdy rosyjskie kolumny pancerne zaczęły wlewać się do Ukrainy, a na kraj spadały rosyjskie pociski manewrujące.

– Jesteśmy przygotowani na każdy rozwój wydarzeń. Podjęto wszystkie niezbędne decyzje w tym zakresie. Mam nadzieję, że zostanę usłyszany – dodawał Putin. Komunikat rosyjskiego prezydenta był czytelny: jeśli kraje NATO spróbują przeszkodzić Rosjanom w podboju Ukrainy, zostanie przeciwko nim użyta broń jądrowa. Słowo „przeszkodzić" rozumiano szeroko: nie tylko jako przyjście Ukraińcom ze zbrojną odsieczą, ale także jako przesyłanie pomocy wojskowej. Nie bez przyczyny Joe Biden, ówczesny prezydent USA, oprócz żołnierzy z 82. Dywizji Powietrznodesantowej przysłał na lotnisko w podrzeszowskiej Jasionce baterie rakiet przeciwlotniczych Patriot. Opcje rosyjskich ataków na polską bazę i konwoje z zaopatrzeniem rozważano zupełnie na poważnie.

Rosja bronią atomową straszyła Zachód już od czasu finalizowania rozszerzenia NATO na wschód. Zaczęło się od sugestii generałów, że Warszawa, Praga i Budapeszt znajdą się na liście celów rosyjskich rakiet.

Tego typu słowa traktowano jako relikt po ZSRR, absurdalne odruchy moskiewskich twardogłowych. Beztroski So-

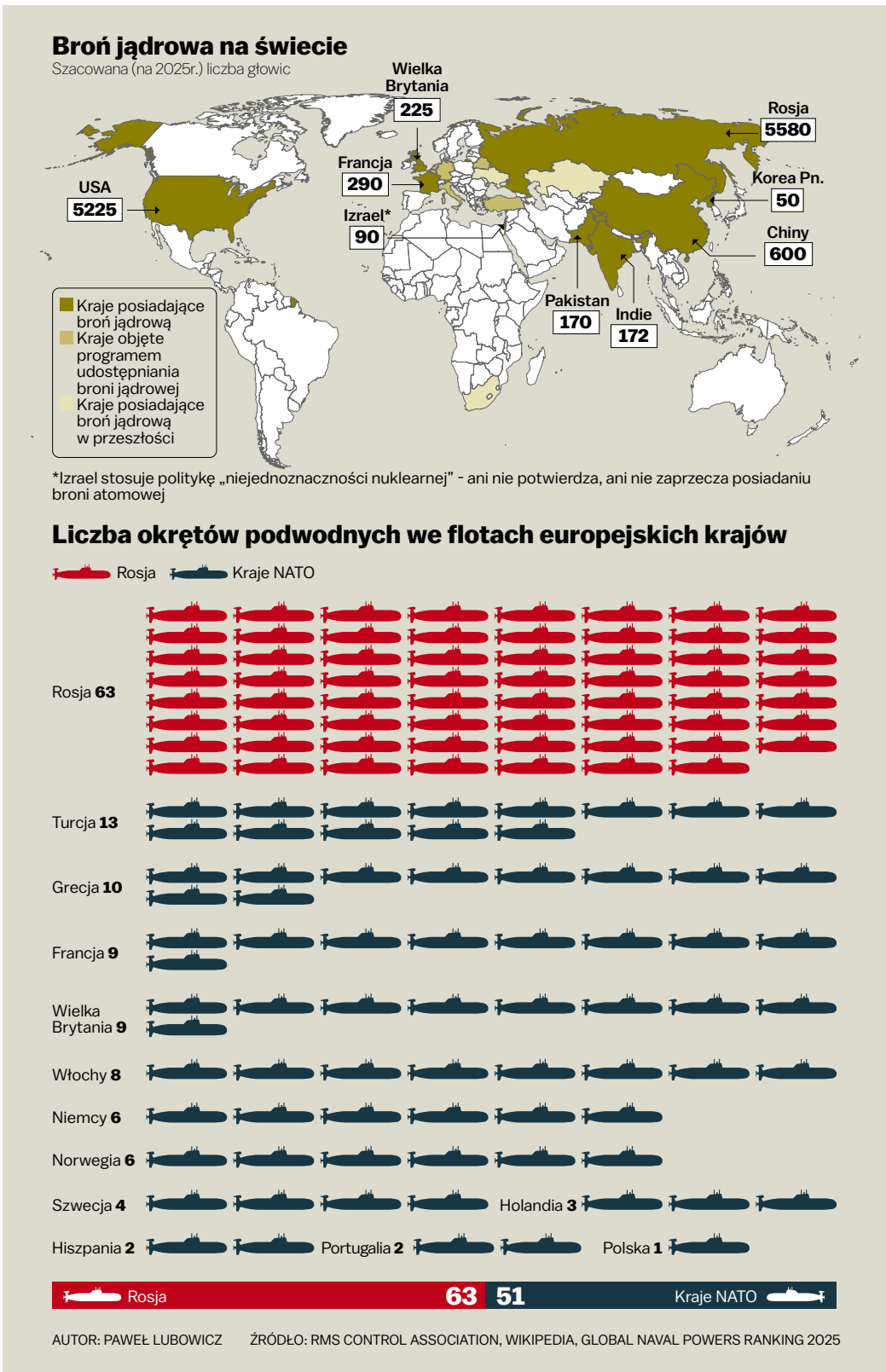

eprasa.pl a3741fa136

• **Triumfator – jeden z czterech okrętów podwodnych francuskiej Marynarki Wojennej z rakietami M-51 na pokładzie**

FOT. JEAN-PHILIPPE PONS/MARINE NATIONALE

juszu Północnoatlantyckiego dowodzi fakt, że ewentualnościowych planów obrony wschodniej flanki Sojuszu przed Rosją nie sporządzono do 2009 r. A przecież już w 2007 r. Putin wygłosił gniewne przemówienie na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, zapowiadając koniec epoki współpracy z Zachodem.

Półtora roku później rosyjskie wojska wkroczyły do Gruzji. Mniej lub bardziej zawoalowanych sugestii dotyczących broni jądrowej przybywało. Po otwarte groźby Rosja sięgnęła dopiero po aneksji Krymu i oderwaniu od Ukrainy części Donbasu w 2014 r.

Za słowami poszły czyny. Rosyjskie lotnictwo w 2015 r. symulowało atak jądrowy na Sztokholm. W 2017 r. podczas rosyjsko-białoruskich manewrów „Zapad" w celach ćwiczebnych odpalono pocisk międzykontynentalny RS-24 Jars przenoszący głowice jądrowe, symulowane odpalenie pocisków przeprowadził też rakietowy okręt podwodny „Dmitrij Donskoj", a do tego nad Bałtykiem i Morzem Norweskim przeleciała para bombowców strategicznych Tu-22M.

W 2022 r. szło już na ostro. Pięć dni po rozpoczęciu inwazji – trwały zażarte walki pod Kijowem, stawało się jasne, że plan zajęcia Ukrainy z marszu się nie powiódł – Putin wysłał kolejny sygnał do Zachodu. Rozkazał podnieść gotowość swoich sił strategicznych. To jak wyjęcie pistoletu z kabury, choć broń jest ciągle zabezpieczona i nieprzeładowana.

Potem o możliwości atomowego odwetu w razie zagrożenia ze strony NATO Putin przypominał już regularnie. A jego propagandyści szli na całość, snując w swoich telewizyjnych programach plany atomowego zniszczenia każdej europejskiej stolicy. Ich tyrady tłumaczono na angielski. Brzmiały dziwnie znajomo.

Chruszczow: Pogrzebiemy was!

Wieczór 18 listopada 1956 r. dyplomaci z krajów ówczesnego NATO akredytowani w Moskwie pamiętali długo. Przybyli do polskiej ambasady na przyjęcie pożegnalne wydane przez Władysława Gomułkę, pierwszego sekretarza PZPR, który miesiąc wcześniej przejął w Polsce władzę. Żegnający gościa przywódca Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow ni stąd, ni zowąd wygłosił napastliwą antyzachodnią tyradę. – Pogrzebiemy was! – wykrzyczał na koniec. Obecni odczytali te słowa jednoznacznie: Chruszczow grozi wojną atomową.

Trwał wówczas kryzys sueski. Po nacjonalizacji Kanału Sueskiego Wielka Brytania i Francja, współpracując po cichu z Izraelem, zaatakowała Egipt, by przejąć kontrolę nad strategicznym korytarzem transportowym. Związek Radziecki wstawił się wówczas za egipskim sojusznikiem. A sowiecki premier Nikołaj Bułganin wysłał list do brytyjskiego premiera Antony'ego Edena z pytaniem, jak by zareagował kraj, gdyby został zaatakowany rakietami. W domyśle: rakietami z głowicami jądrowymi.

Związek Radziecki bombę atomową skonstruował jako drugi, pierwszą eksplozję przeprowadzono w 1949 r., ale jako pierwszy stworzył rakiety zdolne przewieźć niszczycielski ładunek w dowolne miejsce na planecie.

Sowieckie groźby podziałały, brytyjskie i francuskie wojska opuściły Egipt. Chruszczow zaczął się publicznie przechwalać, że w ZSRR rakiety międzykontynentalne produkuje się jak kiełbasę. W 1958 r. atomowym szantażem próbował zmusić USA, Wielką Brytanię i Francję do wycofania wojsk z Zachodniego Berlina. – Tylko szaleniec ryzykowałby wojnę jądrową w takiej sprawie – naciskał na amerykańskiego prezydenta Dwighta Eisenhowera.

W październiku 1961 r. nad poligonem atomowym na Nowej Ziemi Sowieci zdetonowali „Car Bombę", największy ładunek jądrowy w historii, o mocy 50 megaton, czyli 2,7 tys. razy silniejszy niż bomba zrzucona na Hiroszimę. Fala uderzeniowa siedmiokrotnie okrążyła planetę. „Car Bomba" – powstała na życzenie Chruszczowa – mogła być dwa razy silniejsza, ale budujący ją naukowcy przekonali genseka do zmniejszenia mocy w trosce o środowisko naturalne.

Dwa lata później za sprawą Chruszczowa świat stanął na krawędzi III wojny światowej. Sowieci zaczęli przerzucać pociski średniego zasięgu na komunistyczną Kubę, skąd w zasięgu ich głowic jądrowych były praktycznie całe Stany Zjednoczone. USA ogłosiły blokadę wyspy i wystosowały wobec ZSRR ultimatum. Chruszczow ustąpił, bo wbrew jego przechwałkom ZSRR nie był wówczas tak potężny, by wygrać atomowe starcie z USA.

W roku 2022 Zachód grał z Rosją o wiele ostrożniej niż Kennedy. Bojąc się, że Rosja zaatakuje NATO, Amerykanie i ich zachodnioeuropejscy sojusznicy zwlekali z przekazaniem Kijowowi nowoczesnych czołgów, samolotów, a z przysłanej z USA artylerii rakietowej – która okazała się niezwykle skuteczna w boju – Ukraińcy mogli początkowo korzystać tylko do atakowania celów na okupowanych przez Rosjan terenach własnego kraju.

Na przekazanie pocisków manewrujących Ukraińcy musieli czekać ponad rok, Niemcy swojej broni nie przekazali do tej pory. Czy gdyby ukraińska armia miała więcej zachodniego sprzętu podczas kontrofensywy na Charkowszczyźnie i Chersońszczyźnie jesienią 2022 r. przegnałaby Rosjan ze swojego kraju? A może wówczas Rosja, by zatrzymać Ukraińców, zdecydowałaby się użyć taktycznej broni jądrowej?

Pamiętam rozpaczliwe apele rządcy Czeczenii Ramzana Kadyrowa do Putina z tego okresu. „Uważam, że trzeba sięgnąć po drastyczne środki i użyć broni jądrowej o małej mocy" – pisał na Telegramie. Kreml uspokajał wówczas świat, że to tylko „emocjonalna wypowiedź". Atomowe prowokacje trwały jednak dalej. 24 listopada 2024 r. Rosjanie odpalili na Ukrainę swój najnowocześniejszy pocisk średniego zasięgu typu Oresznik. Jego puste głowice spadły na fabrykę pod Dniepr, nie powodując większych szkód. Sygnał był czytelny: to mogły być ładunki jądrowe.

Francuska triada atomowa

13 lutego 1960 r. o godzinie 7.04 nad Saharą w regionie Tanezrouft w środkowej Algierii pojawił się przerażający błysk, po którym przez pustynię przetoczyła się niszczycielska fala uderzeniowa. Grzyb po wybuchu bomby atomowej o kryptonimie „Geboise bleue" (niebieski skoczek pustynny) był olbrzymi. Ładunek, który zapewnił wejście Francji do klubu jądrowych mocarstw – Francja została jego czwartym członkiem po USA, ZSRR i Wielkiej Brytanii – miał moc 70 kiloton.

– Francja hurra! Dziś rano Francja stała się silniejsza i bardziej dumna – pisał ówczesny prezydent generał Charles de Gaulle do ministra obrony Pierre'a Messmera. Dla francuskich elit udane próby atomowe na Saharze (zdetonowano białego i czerwonego skoczka, kolory odpowiadały barwom narodowym Francji) zmywały hańbę sprzed 20 lat, gdy kraj został podbity przez III Rzeszę. Sukces był tym większy, że rządzone przez Konrada Adenauera Niemcy po cichu szukały sposobu na uzyskanie dostępu do broni jądrowej i rozmawiały o współpracy z Francją. De Gaulle te rozmowy przeciął.

Jednym z impulsów do zainicjowania francuskiego programu nuklearnego była inna klęska. W 1954 r., gdy Wietnamczycy oblegali twierdzę Dien Bien Phu we francuskich Indochinach, Paryż prosił Amerykanów o odsiecz i zrzucenie na wietnam-

Teoretycznie wejście Ukraińców w głąb obwodu kurskiego jest wystarczającym pretekstem, by zrzucić atomowe głowice na Ukrainę i państwa NATO

skie pozycje bomby atomowej. Amerykanie desperacką prośbę zignorowali. Dla Francuzów stało się jasne, że w pewnych kwestiach mogą liczyć tylko i wyłącznie na siebie.

– Amerykańska broń jądrowa pozostaje fundamentalną gwarancją światowego pokoju. Ale faktem jest, że amerykańska nuklearna potęga niekoniecznie będzie natychmiast reagować w każdej sytuacji, która dotyczyłaby Europy i Francji – mówił de Gaulle. Zresztą kryzys sueski z 1956 r. – Paryż też otrzymał podobne groźby premiera Bułganina co Londyn – uwidocznił, że tak właśnie będzie. USA wówczas europejskim sojusznikom odmówił wsparcia.

W 1964 r. francuskie lotnictwo otrzymało pierwszą partię bomb atomowych AN-11, ważących półtorej tony ładunków o mocy „Geboise bleue". Siedem lat później 24-godzinne dyżury zaczęły pełnić załogi 1. Dywizji Rakiet Strategicznych. Stacjonujące w bazie na Płaskowyżu Albion pilnowały 16 rakiet z głowicami jądrowymi typu S-2. W morze na patrole wypłynęły podwodne okręty rakietowe ówczesnej klasy Redoutable (Groźny).

Francja była więc gotowa do ataku atomowego za pomocą rakiet ziemia-ziemia i odpalanych z głębin morskich oraz bomb zrzucanych z samolotów. Tworzyło to tzw. atomową triadę. Podczas zimnej wojny Francja miała 540 nuklearnych ładunków. Szacowano, że to wystarczająca liczba, by zniszczyć ówczesny Związek Radziecki.

To francuskie atomowe ambicje były jedną z przyczyn wystąpienia de Gaulle'a ze struktur wojskowych NATO w 1966 r. Amerykanie chcieli bowiem, by brytyjskie i francuskie siły jądrowe podporządkować NATO, czyli w zasadzie pełniącym w Sojuszu najwyższe funkcje amerykańskim generałom. Londyn na to żądanie przystał. De Gaulle powiedział „non". Sojusz musiał przeprowadzić się z kwatery głównej w podparyskim pałacyku Fontainbleau do Brukseli.

Nigdy nie było wątpliwości, że gdyby ZSRR rozpętał III wojnę światową i rzucił przez przesmyk Fulda setki dywizji pancernych z zadaniem wybicia w ciągu tygodnia – także przy użyciu broni jądrowej – drogi do Renu, Francja stanęłaby po stronie sojuszników. Polska w tej operacji miała za zadanie dokonać desantu na Danię i zająć północne Niemcy.

Ale pójście przez de Gaulle'a własną drogą i jego nieskrywana niechęć do USA – jej źródłem były tarcia z czasów II wojny światowej – do tej pory jest oceniana krytycznie jako rozbijanie jedności Zachodu, co zawsze starała się wykorzystywać Moskwa.

Zaś prowadzone jeszcze we wczesnych latach 90., czyli już po upadku żelaznej kurtyny, francuskie próby jądrowe na atolu Mururoa w Polinezji – z powodu wypadków podczas prób na Saharze i skażenia radioaktywnego testy pod koniec lat 60. przeniesiono na Pacyfik – wywoływały powszechną wściekłość. Zwłaszcza że Paryż brutalnie reagował na protesty. W 1985 r. agenci francuskiego wywiadu zatopili należący do Greenpeace'u statek „Rainbow Warrior", który miał wypłynąć w kierunku Mururoa, by zakłócać próby. W zamachu zginął jeden z członków jego załogi.

Rosyjskie miasta na celowniku

35 lat po zakończeniu zimnej wojny sytuacja się odwróciła. To USA idą na dystans wobec NATO, a słowa Donalda Trumpa o gwarancjach bezpieczeństwa tylko dla sojuszników, którzy odpowiednio odwdzięczają się USA, podają w wątpliwość amerykańską lojalność.

Francja wprost przeciwnie, chce NATO – do którego struktur wojskowych wróciła w pełni w 2009 r. – wzmacniać i rozwijać. Już w 2007 r. ówczesny prezydent Nicolas Sarkozy podczas wizyty w Berlinie wprost zaproponował ówczesnej kanclerz Angeli Merkel udostępnienie części nuklearnego arsenału – w 1996 r. Francja zlikwidowała swoje rakiety ziemia-ziemia. Gospodarzy dosłownie zatkało. Dla ówczesnych niemieckich polityków kwestia broni jądrowej była tabu, tym bardziej że w traktacie zjednoczeniowym 2+4 Niemcy zobowiązywały się do rezygnacji z atomowych ambicji.

Półtora roku po rozmowie nowy prezydent USA Barack Obama roztoczył wizję rezygnacji z broni jądrowej i przeforsował nowe porozumienie rozbrojeniowe z Rosją. A w niemieckiej kampanii wyborczej w 2009 r. pojawił się postulat wycofania z Niemiec amerykańskich jądrowych ładunków taktycznych. Na szczęście nie został spełniony.

Prezydent Emmanuel Macron pierwsze propozycje dotyczące europeizacji francuskiego arsenału atomowego składał w 2020 r. Przeszły bez echa, bo świat walczył wówczas z pandemią koronawirusa. Pomysły rzucane w roku 2025, by objąć kraje UE francuskim parasolem jądrowym i przerzucić do baz w innych krajach NATO francuskie samoloty przenoszące pociski manewrujące z jądrowymi głowicami, trafiają na bardzo podatny grunt. Zarówno w Niemczech, jak i w Polsce.

Wielka Brytania nie składa do tej pory takich propozycji, ale patrząc na zaangażowanie premiera Keira Starmera w jednoczenie Europejczyków wokół pomocy dla Ukrainy, taki scenariusz wydaje się prawdopodobny. Tym bardziej że Wielka Brytania zamierza swój atomowy arsenał – po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej – rozbudować.

Można cierpko pisać o wymachiwaniu atomową szabelką przez Macrona, o francuskich i brytyjskich bólach fantomowych po utraconych imperiach, o próbie odbudowy poparcia dzięki radykalnej polityce obronnej. Że projekt europeizacji francuskiej broni atomowej niewiele zmienia, bo i tak decyzje o jej użyciu podejmie francuski prezydent.

To wszystko prawda. Tyle że Rosja w listopadzie zmieniła doktrynę nuklearną, dopuszczając użycie broni jądrowej w odpowiedzi na atak konwencjonalny. Teoretycznie wejście Ukraińców w głąb obwodu kurskiego stało się więc wystarczającym pretekstem, by zrzucić atomowe głowice na cele w Ukrainie i we wspierających ją państwach NATO.

Z kolei każda stanowcza wypowiedź Macrona, w której prezydent przypomina, że Francja jest nuklearnym mocarstwem, wywołuje na Kremlu ataki furii, przez którą przebija niepokój. Rosja straszy Zachód, ale Rosja się boi. Może więc, zamiast się kulić, trzeba Rosjanom nieustannie przypominać, że ich miasta też są na celowniku. ●

eprasa.pl a3741fa136

BARDZO KIEPSKI DEAL

Trump zamknął instytucję, która od 60 lat wygrywała z wrogami Ameryki bez jednego wystrzału.

Radosław Korzycki

Ameryka nie tylko odpływa od nas, ale i sama od siebie. Decyzja o likwidacji USAID, jednej z kluczowych instytucji amerykańskiej polityki zagranicznej, osłabi soft power USA.

Joseph Nye w książce „Soft Power: The Means to Success in World Politics" definiuje tytułową „miękką siłę" jako zdolność państwa do kształtowania preferencji innych poprzez atrakcyjność kultury, wartości politycznych i polityki zagranicznej, bez stosowania przymusu (hard power) w postaci siły militarnej lub ekonomicznej.

Nye argumentuje, że skuteczna polityka międzynarodowa nie opiera się wyłącznie na dominacji, ale na budowaniu pozytywnego wizerunku i przyciąganiu sojuszników poprzez idee i instytucje. Wskazuje na kluczową rolę mediów, edukacji, popkultury i dyplomacji publicznej w kreowaniu globalnego wpływu. Soft power jest szczególnie istotna w erze globalizacji i informacji, gdy narracje i wartości kształtują stosunki międzynarodowe równie mocno, jak siła militarna czy gospodarcza.

Tymczasem Donald Trump zaczął amerykańską soft power wygaszać. Kilka tygodni temu prezydent USA zdecydował o likwidacji USAID, agencji od ponad 60 lat odpowiedzialnej za pomoc rozwojową oraz humanitarną na świecie.

Stany Zjednoczone były przez dekady największym donatorem tej pomocy. Od 3 lutego główna siedziba USAID w Waszyngtonie stoi zamknięta, a prawie 60 pracowników jest na przymusowym urlopie. Wstrzymano działalność ponad 60 biur międzynarodowych i 7 tysięcy pracowników terenowych.

•

Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego nie powstała z czystej potrzeby czynienia dobra ani z troski o głodujące kraje Globalnego Południa. Jej narodziny w 1961 r. były strategicznym posunięciem prezydenta Johna F. Kennedy'ego, wymierzonym w największego geopolitycznego rywala – Związek Radziecki. Waszyngton potrzebował czegoś, co przekonałoby świat, że to Ameryka, a nie Moskwa, jest prawdziwym przyjacielem krajów rozwijających się.

ZSRR przedstawiał się jako obrońca wyzyskiwanych narodów, wspierając ruchy antykolonialne i oferując pomoc gospodarczą krajom, które dopiero wywalczyły niepodległość. Dla USA był to alarm ostrzegawczy: jeśli Ameryka nie zaoferuje własnej wizji przyszłości, biedniejsze państwa mogą zwrócić się ku komunizmowi. USAID stało się narzędziem soft power – sposobem na pokazanie, że kapitalizm to nie tylko Wall Street i wielkie korporacje, ale także solidarność i wsparcie ubogich.

Kennedy doskonale rozumiał, że wojna ideologiczna toczy się nie tylko na polu militarnym, ale także w sercach i umysłach ludzi. Wzorem dla niego stała się książka „The Ugly American" Williama Lederera i Eugene'a Burdicka, która piętnowała amerykańskich dyplomatów jako aroganckich i oderwanych od realiów krajów, w których służyli. USAID miało być odpowiedzią na ten problem – zamiast narzucać siłą swoją wolę, Ameryka miała stać się hojna, empatyczna i troskliwa.

Ironia losu? USAID zostało stworzone, by walczyć z wpływami Związku Radzieckiego, który dziś znamy pod inną nazwą: Rosja. Organizacja, której zadaniem było osłabianie radzieckiej dominacji, dziś działa w krajach, gdzie Moskwa znów próbuje rozszerzać swoje wpływy. Historia zatoczyła koło – i choć świat się zmienił, narzędzia soft power pozostały te same.

•

Soft power jako narzędzie amerykańskiej polityki zagranicznej przez dekady cieszyła się ponadpartyjnym poparciem – niezależnie od tego, kto zasiadał w Białym Domu. USAID, choć powstało w kontekście zimnej wojny, nie straciło na znaczeniu po upadku ZSRR. Wręcz przeciwnie – po zamachach 11 września 2001 Ameryka zdała sobie sprawę, że nowym globalnym zagrożeniem nie są już rywalizujące mocarstwa, lecz radykalny fundamentalizm, szczególnie tam, gdzie państwa były niestabilne i pozbawione silnych instytucji.

Programy USAID miały nie tylko wspierać rozwój społeczno-gospodarczy, ale również przeciwdziałać radykalizacji. Mimo licznych niepowodzeń – zwłaszcza w Iraku i Afganistanie – uznawano, że koszty działania agencji są stosunkowo niewielkie w porównaniu z korzyściami, jakie przynosiła dla bezpieczeństwa i interesów USA.

W 2008 r. w Warszawie miałem okazję rozmawiać z sekretarz pracy w administracji George'a W. Busha, Elaine Chao – prywatnie żoną Mitcha McConnella, który aż do stycznia tego roku kierował republikańskim klubem w Senacie. Chao, wierna republikanka – za pierwszej kadencji Trumpa była sekretarzem transportu – z detalami opowiadała mi o działalności USAID w Polsce, zwłaszcza w czasie transformacji ustrojowej, gdy prezydentem był ojciec jej szefa.

Spotkanie uświadomiło mi, że sama agencja i szerzej rozumiana dyplomacja publiczna są perłą w koronie republikańskiej polityki zagranicznej. USAID nie było wówczas traktowane jako lewicowy projekt „wspierania świata kosztem Ameryki", lecz jako pragmatyczne narzędzie budowania wpływów i stabilizacji, które służyło długofalowym interesom Stanów Zjednoczonych.

•

John Feffer, szef działu spraw międzynarodowych w ważnym waszyngtońskim think tanku Institute for Policy Studies, zwraca uwagę, że pomoc zagraniczna, choć przedstawiana jako wyraz amerykańskiego altruizmu, nie jest wolna od politycznych uwarunkowań – ile, komu, na i gdzie przypadnie, często zależy od geopolitycznych priorytetów Waszyngtonu, a nie wyłącznie od rzeczywistych potrzeb beneficjentów.

Część tej pomocy – 14,2 proc. – jest bezpośrednio związana z kwestiami bezpieczeństwa, przy czym Izrael i Egipt od dekad pozostają największymi odbiorcami amerykańskiego wsparcia wojskowego.

Nie da się również ukryć, że niekiedy pomoc trafia w ręce osób lub instytucji, które wykorzystują ją niezgodnie z przeznaczeniem – czy to do umacniania sieci patronac-

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Dadaab w Kenii przy granicy z Somalią. Największy obóz dla uchodźców na świecie. Powstał w latach 90., kiedy przed wojną i głodem uciekło z Somalii 90 tys. ludzi. Dziś to schronienie i więzienie dla ponad 300 tys. ludzi. Mogą tu przeżyć tylko dzięki pomocy humanitarnej

FOT. OLI SCARFF/GETTY IMAGES

kich, czy do czerpania osobistych korzyści. Niemniej przeciwnicy programów pomocowych jednak wyolbrzymiają poziom korupcji w tym obszarze, a same Stany Zjednoczone niejednokrotnie wykorzystywały swoje inicjatywy do zwalczania nadużyć i przestępczości zorganizowanej.

W dodatku znaczna część amerykańskiej pomocy zagranicznej jest związana z zakupami amerykańskich towarów i usług, więc altruizm koniec końców dosłownie się opłaca – wsparcie dla innych krajów staje się jednocześnie mechanizmem stymulowania rodzimej gospodarki. Wydatki na rozwój gospodarczy stanowią 27 proc. amerykańskiej pomocy zagranicznej, ale duża część tych środków wraca do USA w postaci kontraktów dla amerykańskich firm.

USAID otwarcie podkreślała ten aspekt, zaznaczając, że „głównym beneficjentem amerykańskich programów pomocy zagranicznej zawsze były Stany Zjednoczone" – blisko 80 proc. kontraktów i dotacji trafiało do amerykańskich przedsiębiorstw.

Inną problematyczną kwestią – choć to akurat Trumpa z Muskiem najmniej obchodzi – jest realna skuteczność USAID w niwelowaniu ubóstwa – bo znaczna część tej pomocy ma formę pożyczek, a nie bezzwrotnych darowizn. A pomimo dekad wsparcia wiele krajów, w których działała agencja, wciąż boryka się z chronicznymi problemami gospodarczymi. To jednak skutek złożonych realiów geopolitycznych i wewnętrznych, a nie dowód na bezużyteczność amerykańskiej soft power.

•

W Afganistanie zamykane są szkoły dla dziewcząt. Rodziny wracają do zniszczonych dzielnic w Gazie bez dostępu do czystej wody, schronienia czy zapasów. W Ugandzie zabrakło funduszy na nauczycieli i materiały szkolne. Tysiące ton nasion zalegają w magazynach w Haiti, choć rolnicy już mogliby je zasiewać. W Malawi zamknięto kliniki zdrowia matki i planowania rodziny. W Bangladeszu pomoc żywnościowa dla uchodźców została zredukowana o połowę, a zakończy się w kwietniu.

Wystarczy też przejrzeć polski internet, by poznać skalę traumy demokratycznych mediów, w tym lokalnych redakcji w małych miastach, które straciły ważną część finansowania.

Ale skupmy się na zdrowiu. Apoorva Mandavilli, reporterka naukowa „The New York Times", podsumowała globalny wpływ amerykańskiej pomocy zagranicznej. Opieka zdrowotna pochłania blisko jedną trzecią budżetu USAID, czyniąc ją jednym z filarów amerykańskiej strategii soft power. Szczególną rolę odgrywa w niej walka z HIV i malarią. Stworzony za prezydentury George'a W. Busha program ratunkowy dla chorych na AIDS umożliwił leczenie milionom ludzi, ratując życie i ograniczając transmisję wirusa, zwłaszcza z matek na dzieci. Podobnie Prezydencka Inicjatywa Walki z Malarią doprowadziła do znaczącego spadku liczby zgonów – o połowę w ciągu zaledwie piętnastu lat – dzięki dostarczanym lekom, moskitierom i rozwojowi nowych terapii.

Te programy to nie tylko wyraz humanitarnego zaangażowania Stanów Zjednoczonych, ale także element długofalowej strategii budowania pozytywnego wizerunku.

„Głównym beneficjentem amerykańskich programów pomocy zagranicznej zawsze były Stany Zjednoczone". Blisko 80 proc. kontraktów i dotacji trafiało do amerykańskich przedsiębiorstw

Każda dostarczona paczka czy lek opatrzone są etykietą: „Dar narodu amerykańskiego", co umacnia globalne postrzeganie USA jako państwa współczującego, zaangażowanego i godnego zaufania.

Tego rodzaju pomoc humanitarna wpisuje się w szerszy kontekst geopolityczny – gest dobrej woli jest jednocześnie przemyślaną inwestycją w globalną stabilność i przyszłe relacje handlowe. Gospodarki państw dotkniętych epidemiami HIV czy malarii nie mogą się rozwijać, jeśli znaczna część populacji pozostaje niezdolna do pracy. Wsparcie USAID umożliwia odbudowę siły roboczej, co przekłada się na wzrost produktywności, rozwój gospodarczy i w dalszej perspektywie – na zacieśnienie więzi handlowych z USA.

Zambia jest tego doskonałym przykładem: kraj, który niegdyś zależał od pomocy humanitarnej, dziś stał się kluczowym dostawcą surowców strategicznych niezbędnych dla amerykańskiego przemysłu. To pragmatyczne podejście, w którym interesy gospodarcze i dobroczynność idą w parze, przekształcając dawnych beneficjentów w partnerów.

•

Decyzja o zamrożeniu środków USAID nie tylko uderza w konkretne programy pomocowe, ale podważa cały system relacji międzynarodowych, który przez dekady budował zaufanie do Stanów Zjednoczonych.

Badania dr Leili Mansoor w RPA dobitnie pokazują dramatyczne konsekwencje arbitralnego wstrzymania finansowania. Kobiety uczestniczące w eksperymencie związanym z nową metodą zapobiegania HIV nagle zostały pozbawione opieki, a naukowcy musieli przerwać pracę bez możliwości wyjaśnienia sytuacji. Złamane zobowiązanie, naruszenie relacji opartej na wieloletnim zaufaniu i ludzkie dramaty – kiedy zamykane są programy zdrowotne, edukacyjne i humanitarne, dla ich beneficjentów to nierzadko oznacza realne zagrożenie bezpieczeństwa, a nawet życia.

To, co wydarzyło się w Południowej Afryce, nie jest wyjątkiem. Podobne historie rozgrywają się w różnych zakątkach globu – od programów szczepień w Ameryce Łacińskiej, przez inicjatywy edukacyjne w Azji, po pomoc humanitarną w regionach dotkniętych konfliktami. Wstrzymanie funduszy to dla Muska i jego czyścicieli kwestia budżetowa, dla tysięcy ludzi – życiowy dramat.

Jeszcze poważniejsze są długofalowe konsekwencje. Gwałtowne odcięcie środków nie tylko zamyka laboratoria, kliniki i szkoły, lecz także sprawia, że ci, którzy dotąd widzieli w USA partnera, zaczynają postrzegać je jako nieprzewidywalne i niewiarygodne państwo albo wręcz, kierowani poczuciem krzywdy, jako wroga. Tego rodzaju polityka osłabia amerykańską obecność na świecie, pozostawiając przestrzeń dla innych globalnych graczy, którzy chętnie wypełnią lukę. Jeśli Stany Zjednoczone rezygnują z tej roli, skutki mogą okazać się nieodwracalne.

•

Max Horkheimer i Herbert Marcuse – bożyszcza Nowej Lewicy lat 60. i kalifornijskich studentów – opisywali trzy stany świadomości społecznej. Sami byli rzecznikami przebudzenia, trzeciego etapu świadomości, do którego miała doprowadzić kontrkultura. Krytykowali Kennedy'ego za to, że choć reprezentował świadomość oświeceniową, pozostawał zakorzeniony w burżuazyjnym mieszczaństwie.

Trump, rezygnując z wynalazku Kennedy'ego, cofa nas do pierwszej świadomości – tej z powieści Sinclaira Lewisa w rodzaju „Babbita" czy „Ulicy Głównej", gdzie ludzie są zamknięci w sobie, zaściankowi, nieufni i pełni podejrzeń wobec sąsiadów.

Prezydent i jego otoczenie nigdy nie przywiązywali wagi do miękkiej siły. Nie rozumieją jej ani nie doceniają, bo operują wyłącznie w kategoriach brutalnej dominacji – nacisku, gróźb i szantażu. To świat transakcji, w którym nie ma miejsca na budowanie trwałych relacji ani na strategiczne inwestowanie w globalne wpływy, o współczuciu nie mówiąc. Pomoc humanitarna, wsparcie dla instytucji demokratycznych, długofalowe programy rozwojowe – wszystko to, co przez dekady stanowiło o sile amerykańskiej dyplomacji – dla Trumpa jest zbędnym obciążeniem.

USAID stało się dla niego łatwym celem nie tylko dlatego, że przeciętny Amerykanin nie dostrzega bezpośrednich korzyści płynących z pomocy zagranicznej, ale również dlatego, że wpisuje się to w jego obsesję rozmontowywania federalnej administracji. Trump i jego doradcy nie widzą w amerykańskich instytucjach narzędzia globalnego przywództwa, lecz wrogi biurokratyczny aparat.

Konsekwencje są oczywiste. Tak szybkie i radykalne osłabienie własnej miękkiej siły to prezent dla Chin, które doskonale rozumieją znaczenie inwestycji w infrastrukturę, edukację i rozwój państw globalnego Południa. Chiny wypełnią pustkę pozostawioną przez Trumpa – budując drogi, elektrownie i szkoły tam, gdzie Ameryka była kiedyś liderem.

Trump odwraca proces, który w latach 60. zapoczątkował Kennedy, czyniąc USAID narzędziem globalnego wpływu w konfrontacji z ZSRR. Wraca do epoki sprzed Kennedy'ego – prymitywnej, brutalnej dyplomacji opartej na zastraszaniu, protekcjonizmie i bezwzględnym pragmatyzmie.

To nie jest wizja globalnego mocarstwa. Doraźne, interesowne myślenie skazują Amerykę na stopniową utratę pozycji lidera. W świecie, który zmienia się coraz szybciej i szybciej, Trump proponuje politykę cofania zegara. Ale to nie będzie powrót do tej epoki, do której chciałby wrócić – imperialistycznej ekspansji i wielkich zysków za prezydentury McKinleya. Stany Zjednoczone wrócą do lat 30. XX wieku – czasów, gdy nie były jeszcze globalnym hegemonem, lecz izolującą się potęgą tracącą wpływy na rzecz bardziej strategicznych i dalekowzrocznych graczy.

•

Bob Woodward w „Strachu: Trump w Białym Domu", książce o pierwszej kadencji milionera celebryty, wspomina, że gdy prezydent napotykał przeszkody prawne, wpadał w irytację i wykrzykiwał: „Give me my Roy Cohn!". „Dajcie mi mojego Roya Cohna!" – Trump odwoływał się do swojego dawnego prawnika, diabolicznego stratega, który w latach 80. pomógł mu zbudować deweloperskie imperium, balansując między lukami prawnymi, szantażem i manipulacją. To Cohn nauczył go, że nie ma rzeczy niemożliwych – dlatego Trump tak swobodnie szasta dekretami, w tym tymi o likwidacji USAID. Na szczęście amerykańskiej praworządności nie da się rozmontować z dnia na dzień.

Światełko w tunelu, jeśli chodzi o soft power Ameryki, przyniosło niedawne orzeczenie Sądu Najwyższego. Pięcioosobowa większość – z udziałem dwojga konserwatywnych sędziów, Johna Robertsa i Amy Coney Barrett – nominowana przez Trumpa! – nie dała nowej administracji zgody na zamrożenie środków na zatwierdzone już programy pomocowe.

To oznacza, że przynajmniej część kluczowych inicjatyw USAID może zostać zrealizowana, a Ameryka, mimo wewnętrznego chaosu, nie rezygnuje jeszcze całkowicie z roli światowego lidera. Inna sprawa, że mściwa głowa państwa już zapewne kombinuje, jak ową dwójkę sędziów upokorzyć.

To rozstrzygnięcie jest chwilowe, ale pokazuje, że system checks and balances wciąż działa – i że nawet konserwatywny Sąd Najwyższy nie akceptuje bezwarunkowo każdego posunięcia administracji. Ma to kluczowe znaczenie, bo w kolejce czekają kolejne sprawy dotyczące zarówno polityki zagranicznej, jak i wewnętrznych reform, które mogą przesądzić o przyszłości amerykańskiej soft power.

Paradoks: nadzieja na powstrzymanie destrukcji leży w rękach instytucji, którą sam Trump przez lata starał się ukształtować tak, by już nikt nie mógł powiedzieć „stop" jego wizjom. ●

eprasa.pl a3741fa136

• Szosa wiodąca wzdłuż jeziora Pukaki do Mount Cook National Park, nowozelandzka Wyspa Południowa

FOT. SHUTTERSTOCK

Nowa Zelandia jest w Europie uważana za wymarzone miejsce do życia. Dlaczego ludzie masowo ją opuszczają?

Tobias Kaiser

WELT

Piękno to za mało

UCIECZKA Z RAJU

Lapierające dech w piersiach krajobrazy tego wyspiarskiego kraju od zawsze przyciągały emigrantów. W efekcie populacja licząca ponad 5 milionów osób zawiera w sobie jeden z największych – spośród państw rozwiniętych – odsetków nowych przybyszy.

Ale Nowa Zelandia musi ostatnio radzić sobie ze zjawiskiem odwrotnym: falą wyjazdów na stałe.

Tylko w ubiegłym roku kraj ten opuściła rekordowa liczba obywateli: łącznie ok. 129 tys., czyli prawie 2,5 proc. populacji. Imigracja nie wypełnia tej luki – na koniec ubiegłego roku w kraju żyło o 47 tys. ludzi mniej niż w grudniu 2023.

To nowe zjawisko. W latach 2014-19 kraj tracił średnio zaledwie 3 tys. obywateli rocznie. W latach poprzedzających pandemię doświadczał boomu gospodarczego, który m.in. skutecznie skłaniał wiele osób z nowozelandzkim paszportem do powrotu z długoterminowych wyjazdów za pracą. Dodatkowo w pierwszych latach pandemii obywatele innych krajów nie mogli wjeżdżać do Nowej Zelandii.

Obecna fala wyjazdów spowodowana jest kryzysem gospodarczym. Rok 2024 przyniósł Nowej Zelandii najgłębszą recesję od 35 lat. Według najnowszych danych urzędu statystycznego, gospodarka skurczyła się w ubiegłym roku o 1,1 proc.

Kierunek: Australia

Odczuwa to w pierwszej kolejności rynek pracy: firmy przestają zatrudniać i zaczynają zwalniać. W grudniu bezrobocie wzrosło do 5,1 proc., czyli do poziomu ze szczytu pandemii koronawirusa we wrześniu 2020.

W tej sytuacji atrakcyjną opcją dla wielu Nowozelandczyków staje się sąsiednia Australia, zresztą tradycyjnie najchętniej obok Wielkiej Brytanii cel obierany przez emigrujących Nowozelandczyków. Od prawie 50 lat obywatele Nowej Zelandii mogą osiedlać się i podejmować pracę w Australii bez większych przeszkód biurokratycznych – i odwrotnie. Obecnie aż 15 proc. obywateli Nowej Zelandii żyje na sąsiednim kontynencie, który przyciąga lepszymi zarobkami i wyższym standardem życia. Australia jest wciąż znacznie bogatsza od Nowej Zelandii. Do 2013 r. produkcja gospodarcza per capita w Nowej Zelandii była o ok. jedną czwartą niższa niż w Australii, potem szybki rozwój kraju zredukował różnicę w tak mierzonej zamożności do 15 proc. Ale od pięciu lat Nowa Zelandia już nie goni większego sąsiada.

Jeśli chodzi o siłę nabywczą, przeciętny Australijczyk zarabia o jedną trzecią więcej niż Nowozelandczyk.

Niskie czynsze, cieplejszy klimat i hojny system emerytalny to kolejne czynniki, które australijskie firmy wykorzystują do aktywnego przyciągania pracowników z Nowej Zelandii. Oprócz olbrzymich i coraz intensywniej eksploatowanych zasobów naturalnych Australii, głównym powodem różnicy w dobrobycie jest znacznie bardziej innowacyjna gospodarka, lepiej przygotowana na wymagania XXI wieku.

W ostatnich latach leżące na Pacyfiku państwo przeżywało gospodarczy boom. Ale to już przeszłość: obecnie Nowa Zelandia tkwi w najgłębszym kryzysie od 35 lat. Miejscowi szukają lepszej przyszłości gdzie indziej

„Australia ma liczne duże miasta, które generują innowacje w sposób trudny do powielenia przez ośrodki mniejsze i bardziej izolowane geograficznie" – mówi David Haugh, ekonomista, który urodził się w Nowej Zelandii, ale obecnie analizuje gospodarkę swojej ojczyzny, pracując w paryskim biurze OECD, organizacji zrzeszającej najzamożniejsze demokracje świata.

„Coraz ważniejsze dla gospodarek krajowych stają się sektory oparte na wiedzy, takie jak technologia, doradztwo i farmaceutyka, a więc siłą rzeczy Australia staje się coraz bardziej atrakcyjna dla ambitnych Nowozelandczyków" – dodaje.

Z niespełna 1,5 mln mieszkańców Auckland stanowi największą aglomerację Nowej Zelandii, ale według międzynarodowych standardów jest to metropolia skromnych rozmiarów. W samym tylko Sydney mieszka 5,5 miliona ludzi, czyli więcej niż w całej Nowej Zelandii, której z kolei cała populacja zmieściłaby się w drugim co do wielkości australijskim mieście, Melbourne.

Mały kraj, mało innowacji

Rząd i eksperci są poważnie zaniepokojeni obecną migracją z kraju. W przeszłości ostrzeżenia o drenażu mózgów się nie sprawdzały, wielu Nowozelandczyków wracało po studiach czy niedługim okresie zdobywania doświadczenia za granicą. Tym razem może być jednak inaczej.

„Nowa Zelandia nie jest już krainą mlekiem i miodem płynącą", przyznaje Paul Spoonley, jeden z najbardziej znanych socjologów w kraju. Ci, którzy podejmują obecnie decyzję o wyjeździe, to głównie „dobrze wykształceni, wykwalifikowani, przedsiębiorczy ludzie w wieku 20-30 lat, których potrzebujemy". Do czynników skłaniających do emigracji eksperci zaliczają także poczucie odizolowania, mniejszą dostępność i wysokie ceny towarów importowanych, co przekłada się na ogólne koszty życia.

Gospodarka już teraz cierpi z powodu zbyt niskiej innowacyjności. „Wydajność pracy w Nowej Zelandii zawsze była względnie niska, a dziś przecież jeszcze bardziej to wzrost wydajności determinuje standard życia" – mówi Haugh, ekonomista OECD. Gospodarka wpada w błędne koło: dochód PKB spada, firmy krajowe i zagraniczne nie mają wolnych środków, a zarówno rząd, jak i biznes inwestują zbyt mało w badania i rozwój. Oba te czynniki są kluczowe dla innowacji, nowych pomysłów biznesowych i wzrostu produktywności.

Do tego dochodzi podupadający system edukacji. Od początku XXI w. nowozelandzcy uczniowie notują coraz gorsze wyniki w międzynarodowych porównaniach edukacyjnych, takich jak PISA. A jest to upadek z wysokiego konia: np. jeszcze w 2003 r. kończący podstawówkę Nowozelandczycy zajmowali czwarte miejsce na świecie, tamtejsze szkoły były uważane za wzorowe.

Wprawdzie wyniki PISA spadają prawie wszędzie w zamożnym świecie, ale Nowa Zelandia doświadcza szczególnie dotkliwego regresu – wyniki matematyczne obecnie plasują jej uczniów dopiero na 23. miejscu, podczas gdy w kategorii czytanie ze zrozumieniem spadli z czwartego na miejsce jedenaste.

Szybko spada też liczba studentów pierwszego roku wybierających matematykę, informatykę, nauki ścisłe i inżynierię.

Rząd reaguje

Politycy wszystkich opcji zdają sobie sprawę, że tak dalej być nie może. W ostatnich miesiącach rząd przyjął szereg reform i planuje kolejne. Aby przyciągnąć zagranicznych inwestorów, uproszczono przepisy i ograniczono biurokrację. Tzw. złote wizy, czyli prawo do pobytu i pracy w zamian za inwestycje, mają być w najbliższej przyszłości łatwiejsze do uzyskania.

Badania naukowe mają dostać impuls za sprawą nowego narodowego instytutu centralnego i reorganizację istniejących instytucji, która ma skłonić do bliższej współpracy naukowców z przemysłem. Rząd chce też zmusić banki do większej konkurencyjności, aby firmy miały łatwiejszy dostęp do kredytowania i kapitału inwestycyjnego.

Uelastyczniono prawo pracy, co ma zachęcić firmy do zatrudniania, ale przy okazji ułatwić także zwalnianie. Przepisy dotyczące ochrony pracy zostały złagodzone. Rząd rozważa również daleko idące ułatwienia podatkowe.

„Wszystkie podejmowane działania są skoordynowane i wydają się zmierzać we właściwym kierunku" – przyznaje Haugh, ekspert OECD. „Ale minie jeszcze dużo czasu, zanim to przyniesie zauważalne rezultaty".

Premierem od ponad roku jest lider konserwatystów Christopher Luxon, który w trakcie kampanii wyborczej obiecywał m.in. duże dofinansowanie sektora usług publicznych, zakaz używania social mediów przez uczniów (wzorem Australii), wyłączenie rolnictwa z systemu handlu uprawnieniami do emisji, a także cofnięcie zakazu eksploatacji podmorskich złóż gazu i ropy. ●

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Wielki powrót nowomowy

Robactwo w krwawej łaźni

Stefanicki

Kto ustala język, ten ma władzę. Dzisiejsi prawicowcy tego nie wymyślili, ale nikt nie korzysta z tego sprawniej.

Tego nie wymyślił Donald Trump. W 1990 r. grupa konserwatystów kierowana przez Newta Gingricha wysłała broszurę kandydatom startującym w wyborach stanowych. Gingrich był wówczas whipem, czyli politykiem dyscyplinującym Republikanów w Kongresie, potem spikerem Izby Reprezentantów (propagował też pomysł zakładania kolonii na Księżycu, gdzie w przyszłości miałby powstać kolejny stan USA). Jego broszura była spisem 133 słów, których politycy powinni używać w wystąpieniach, aby zyskać poklask wyborów (rodzina, wolność, duma) i zniesławić konkurentów (upadek, korupcja, żałosny, zdrajcy).

Wcześniej amerykańska polityka zasadniczo opierała się na rywalizacji programów prezentowanych przez równe sobie partie – odtąd zaczęła przybierać postać epickiej walki dobra ze złem. Lista Gingricha uczyła, jak wpajać Amerykanom, że Demokraci nie byli jedynie przeciwnikami, lecz wrogami; że różnice nie są jedynie polityczne, ale moralne. Głównym celem propagandy, jak zauważył Aldous Huxley, jest sprawienie, aby jedna grupa ludzi zapomniała, że inna grupa to też ludzie.

Dokument nosił tytuł „Język: kluczowy mechanizm kontroli". W mediach nazwano go „Newtspeak", przez skojarzenie z „newspeak" czyli nowomową opisaną w „Roku 1984". W dystopijnej powieści George'a Orwella nowomowa to narzucony w totalitarnym państwie Oceania sztuczny język, mający na celu ogłupienie ludności oraz wyeliminowanie nieprawomyślności przez takie przekonstruowanie słów i znaczeń, by niemożliwe stało się sformułowanie czegokolwiek, co godziłoby w panujący reżim.

Orwell bazował na obserwacji komunizmu i faszyzmu, ale jego wnioski dotyczące języka propagandy są uniwersalne – i dlatego tak popularne. Nie ma drugiego tak często używanego przymiotnika od nazwiska pisarza; daleko za „orwellowskim" jest, pokrewny mu znaczeniowo „kafkowski".

Częste użycie prowadzi do nadużycia. Według wiceprezydenta USA J.D. Vance'a orwellowskie są europejskie ograniczenia dotyczące mowy nienawiści. „Żyjemy w 1984 roku Orwella" – skarżył się z kolei Donald Trump Jr., kiedy po próbie siłowego odwrócenia niekorzystnego dla jego ojca wyniku wyborów w 2019 r. platformy społecznościowe zablokowały mu konta. „Jak wszyscy pamiętamy, 'Rok 1984' opowiada o starszym mężczyźnie, który zostaje zbanowany na portalu społecznościowym za regularne nawoływanie do przemocy" – ironizował wtedy liberalny Gravel Institute.

W styczniu 2017 r. – czyli 68 lat po publikacji – „Rok 1984" nieoczekiwanie trafił na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa". Trump właśnie objął władzę, a sekretarz prasowy Białego Domu Sean Spicer upierał się, że jego inauguracja przyciągnęła „największą widownię w historii", choć na nagraniach widać było, że tak nie jest. Doradczyni prezydenta Kellyanne Conway brzmiała jak parodia Ministerstwa Prawdy, gdy ogłosiła, że administracja Trumpa polega na „faktach alternatywnych". Sam Trump stwierdził później: „To, co widzisz i co czytasz, nie jest tym, co się dzieje. Po prostu słuchajcie nas".

My i oni, nic pośrodku

„Na końcu Partia ogłosi, że dwa plus dwa daje pięć, a ty będziesz musiał w to uwierzyć", przewidywał Winston Smith, bohater „Roku 1984". Amerykanie czytali powieść, żeby zobaczyć co będzie dalej. Kiedy Trump oddał władzę, zdawało się, że Orwella można odłożyć na półkę. Ale Trump powrócił, a razem z nim wróciły spotęgowane techniki manipulacji językiem.

Gdy nakazał usunąć z dokumentów rządowych, stron internetowych, projektów badawczych, a nawet programów szkolnych słowa takie jak kobieta, czarni, mniejszość, ofiara, równość czy niesprawiedliwość, zrobiło się diabelnie orwellowsko.

Michał Głowiński w przenikliwych szkicach pisanych blisko pół wieku temu scharakteryzował najważniejsze cechy nowomowy. Znaczenie słów jest mniej ważne i celowo nieprecyzyjne, istotniejsza jest ocena, jaką słowo niesie, koniecznie wyraziście jednoznaczna, dychotomiczna: coś jest najlepsze albo najgorsze, ktoś jest szatanem albo zbawicielem. Nie ma nic pośrodku.

W nowomowie wielką rolę odgrywa żywioł magiczności. Słowa nie tyle odnoszą się do rzeczywistości, nie opisują jej, ile ją tworzą. Magiczność to mówienie o stanach pożądanych w taki sposób, jakby były stanami rzeczywistymi. Magia ta ma także moc znikania rzeczy – słowa wykreślone ze słownika skazują na niebyt treści, które opisywały. Słowa, formuły, uświęcone wyrażenia z dnia na dzień mogą „być zdjęte z porządku propagandy partyjnej", ale mogą też – również na mocy arbitralnej decyzji – do niej powrócić. Arbitralność wyraża się także w dowolnym kształtowaniu znaczeń słów.

W Polsce trenowaliśmy to przez cały PRL i ostatnio przez dwie kadencje rządów PiS. A mimo to nie uodporniliśmy się na nowomowę w wystarczającym stopniu, co widać po wyniku wyborów i sondaży. Nie bądźmy zbyt surowi dla Amerykanów.

Język jako broń masowego rażenia

Najsłynniejsza powieść Orwella jest fikcyjnym rozwinięciem eseju „Język angielski a polityka" z 1946 r. Autor tłumaczy tam, dlaczego słowa mają znaczenie: „Jeśli myśl psuje język, język może również psuć myśl". Problemy semantyczne, zauważył Orwell, mają tendencję do przekształcenia się w rzeczywiste. Język bywa niebezpieczny, może posłużyć jako broń masowego rażenia. Np. pomyślmy o różnych emocjach, jakie budzą dwa określenia tego samego zjawiska: „nielegalni imigranci" i „nieudokumentowani pracownicy".

Etyczny język powinien być jasny. Jasny język nie tylko pozwala nas zrozumieć, jest też oznaką szacunku dla odbiorcy. Ktokolwiek słuchał improwizowanych wypowiedzi Trumpa w oryginale, wie, że ten bełkot, z którego trzeba dużym wysiłkiem wyławiać sens, jest przeciwieństwem jasności. On akurat, zdaje się, inaczej nie potrafi. Ale pewnych słów, wyrażeń, używa świadomie. Niektórym słowom Trump i spółka usiłują nadawać znaczenie przeciwne, co jest pierwszym krokiem do pozbawienia ich jakiegokolwiek znaczenia.

Głowiński: „Nowomowa nie tylko dąży do zastąpienia klasycznego języka, także na różne sposoby go dewastuje. Dewastuje m.in. przez to, że przejmuje jego elementy, nadając im inny sens – często jednak w sposób ukryty, tzn. tworzy pozory, że w jej obrębie słowa znaczą to, co normalnie znaczą, kiedy naprawdę znaczą co innego".

W orwellowskiej Oceanii ignorancja to siła, wojna to pokój, wolność to niewola. PiS po utracie władzy mianował się „opozycją demokratyczną",

Nieustannie kłamią w żywe oczy, wypaczają znaczenie słów. Liczą, że zagubione w semantycznym zamęcie społeczeństwo w końcu zgodzi się na wszystko

przywracanie praworządności nazywa „niszczeniem niezależnego sądownictwa", a areszt – „torturami". Trump jest „jedynym gwarantem demokracji", a zagraża mu „zamach stanu", czyli podważanie przez sądy legalności jego dekretów.

Zjawisko to opisała niedawno Naomi Klein w książce „Doppelganger". W prawicowej polityce istnieje „świat lustrzany" – miejsce, w którym każdy fakt ma retorycznego sobowtóra. Podczas gdy Demokraci i dziennikarze dyskutowali o „wielkim kłamstwie" – twierdzeniu Donalda Trumpa, że wygrał wybory prezydenckie w 2020 r. – jego strateg Steve Bannon wrzucił „wielką kradzież": pomysł, że Joe Biden, wbrew wszelkim dowodom, ukradł prezydenturę. A np. skoro byli dowódcy wojskowi dowodzą, że Trump jest faszystą, co szkodzi nazwać faszystką Kamalę Harris?

Odzwierciedlenia skutecznie dezorientują. W połączeniu z innymi sloganami, serwowanymi w przekazach dnia, mogą funkcjonować jako „klisze kończące myśl", jak ujął to psychiatra i socjolog Robert Jay Lifton. Te frazy skutecznie ograniczają debatę i eliminują podejście krytyczne.

Zarazem Trump porusza się na granicy pastiszu. Słuchacze są nieustannie w niepewności: czy on tak na serio, czy może żartuje, droczy się, trolluje? Ciągła niepewność – dotycząca najpoważniejszych spraw – to jeden ze sposobów ogłupiania.

Lewica też gra językiem, domagając się wymiany starych słów na nowe, ale – co jest fundamentalną różnicą – nie po to, żeby poniżyć i zasiać nienawiść, lecz w ramach empatii wobec grup marginalizowanych (kolejne słowo zakazane przez Trumpa). Nakręcane przez polityków prawicy obrzydzenie wobec poprawności politycznej jest niezamierzonym skutkiem ubocznym.

Nie ma łgarstw zbyt haniebnych

Orwell, obserwując propagandę w faszyzmie i komunizmie, widział, jak szybko wspólny język może zostać przekształcony w język podziałów, lęków i nienawiści. „W naszych czasach polityczna mowa i pismo są w dużej mierze obroną tego, czego nie da się obronić", pisał. „W języku politycznym chodzi o to, by kłamstwa brzmiały jak prawda, morderstwa były godne szacunku, o nadanie pozoru solidności czystemu wiatrowi".

W swoim eseju krytykuje m.in. używanie eufemizmów, które mają moc zaślepiania nas na to, co się naprawdę dzieje. Zagładę Żydów nazistowscy propagandyści nazwali „ostatecznym rozwiązaniem", albo „rozwiązaniem problemu żydowskiego". Bombardowania terenów cywilnych to „pacyfikacja", albo – jak w Afganistanie czy Strefie Gazy – „wojna z terroryzmem". Usuwanie przez Trumpa inicjatyw dotyczących różnorodności, równości i integracji (DEI) w wojsku można nazwać „przywracaniem amerykańskiej siły bojowej". A wybiórcze nauczanie historii Stanów Zjednoczonych, tak żeby uczniowie wierzyli, iż zapisali się w niej wyłącznie biali, bogaci i heteroseksualni mężczyźni, nie krzywdzący absolutnie nikogo – „edukacją patriotyczną".

Samemu Trumpowi trudno zarzucić, że owija w bawełnę. On przesadza, stosuje dysfemizmy – przeciwieństwo eufemizmu polegające na zastąpieniu przyzwoitego, oględnego, obojętnego słowa drażliwym, dosadnym, nieprzyzwoitym. Imigranci, jak twierdzi, dokonują „inwazji" i „zatruwają krew naszego kraju". Jego przeciwnicy polityczni to „robactwo". Przestępczość w rządzonym przez Demokratów Chicago równa się „rzezi". Możliwy upadek przemysłu samochodowego to „krwawa łaźnia". Błędy w systemie ubezpieczeń społecznych polegające na niewykreśleniu niektórych zmarłych beneficjentów to „największa piramida finansowa wszech czasów". A Zełenski – wiadomo, „dyktator".

Hannah Arendt zauważyła, że naziści dążyli do „zawłaszczenia rzeczywistości" poprzez przekonanie całego narodu do fałszywej tezy, że Niemcy są oblężonym narodem i muszą bronić się przed zakusami międzynarodowego żydostwa. Hitler opisał tę technikę manipulacji w „Mein Kampf" jako „wielkie kłamstwo" – tak piramidalne, że ludzie w nie uwierzą, bo nie będą w stanie sobie wyobrazić, że można łgać aż tak haniebnie. W rezultacie całe Niemcy stały się swego rodzaju kościołem mistycznego kultu, a Hitler – guru i zbawicielem. Trudno nie dostrzec analogii z MAGA i notorycznymi kłamstwami Trumpa.

„Stworzenia z Mrocznych Wieków wkroczyły do teraźniejszości" – pisał Orwell o Europie w lecie 1941. Można się pocieszać, że tym razem, w zgodzie z teorią Karol Marksa, tragiczna historia powraca jako farsa. Ale nie ma gwarancji, że jednak nie wróci jako kolejna tragedia. Warto uważać na słowa.

Robert Stefanicki

eprasa.pl a3741fa136

CZUŁOŚĆ WOLNOŚĆ RÓWNOWAGA

FOT. KULCZYK FOUNDATION (2)

• **Mwanzie/Tanzania. Nauka szycia w schronisku organizacji WoteSawa dla osób z doświadczeniem przemocy w służbie domowej. Przez 8 lat przewinęło się przez nie 1588 osób**

Koszmar *za* zamkniętymi drzwiami

W mieście ma czekać na nie lepsze życie. Tymczasem praca, którą podejmują, okazuje się niewolnicza. Robią więcej, niż miały, są traktowane przemocowo przez pracodawców, a z wynagrodzenia nie dostają ani grosza.

Zuzanna Kuffel

Angela Benedicto łączy się ze mną zdalnie ze swojego biura w Mwanzie w Tanzanii. Zaczyna od złych wiadomości – WoteSawę, czyli organizację wspierającą osoby z doświadczeniem służby domowej, dotknęło zamrożenie funduszu pomocowego USA. Na szczęście, zanim ten tekst ujrzał światło dzienne, pomoc odmrożono.

To właśnie z tego funduszu WoteSawa dostaje jeden ze swoich największych grantów, pozwalający Benedicto i jej współpracownicom utrzymać aż trzy domy schronienia dla ofiar służby domowej. Prowadzenie takiej instytucji generuje spore koszty – osoby, którym organizacja pomaga, potrzebują często jedzenia, zakwaterowania, pomocy medycznej i prawnej. Część z kobiet pod skrzydłami WoteSawy to ciężarne zgwałcone przez pracodawców. Bez względu na to, jaka jest ich historia, wszystkie mają jedną uniwersalną potrzebę: usłyszeć, że już są bezpieczne i w dobrych rękach.

W lutym w trzech schroniskach WoteSawy mieszkały 64 osoby. Część z nich wróci do swoich rodzin, część, o których Benedicto mówi: „wrażliwe przypadki", będzie musiała tam jeszcze trochę zostać, m.in. w oczekiwaniu na zeznania w sądzie.

– Niektórzy mieszkają u nas przez tydzień, inni przez miesiąc, a jeszcze inni przez kilka lat. Uratowałyśmy np. siedmiolatkę, której matka i rodzeństwo nie żyją, więc nie może wrócić do rodziny. Jest z nami już trzy lata – mówi Angela Benedicto. Dodaje, że chociaż WoteSawa powstała, by wspierać osoby z doświadczeniem służby domowej, w jednym z trzech schronisk – w Kasulu – pomoc znajdują też ofiary handlu ludźmi i przemocy ze względu na płeć.

Chociaż w Tanzanii prawo pozwala pracować osobom po 14. roku życia, WoteSawa ratuje ze służby domowej także dzieci, nawet dziewięciolatki. Schroniska zaczęły działać w 2014 roku. Przez ostatnie osiem lat przewinęło się przez nie 1588 osób.

Ocalała sama pomaga

Angela Benedicto sama kiedyś pracowała w służbie domowej. Po śmierci rodziców to na nią spadła odpowiedzialność za młodsze rodzeństwo. Opuściła więc swoją wioskę i udała się do miasta z nadzieją, że zarobi tam wystarczająco dużo, żeby wspierać braci i siostry.

Pracowała przez prawie pięć lat, zanim postanowiła, że czas coś zmienić. Miała wtedy mniej więcej 20 lat. Od czasu do czasu spotykała się z innymi młodymi dziewczynami, które były w takiej samej sytuacji jak ona. Z ich rozmów wynikało jedno: żadna z nich nie była zadowolona ze swojej pracy. Wszystkie doświadczały złego traktowania w domach pracodawców, ale żadna nie miała odwagi, by się temu przeciwstawić. Jeśli w jednym miejscu im się nie podobało, przenosiły się do innej rodziny, a tam napotykały podobne kłopoty.

Kiedy już kobieta zacznie pracę w służbie domowej, bardzo trudno jej znaleźć inne zatrudnienie, zwłaszcza że często nie skończyła szkoły średniej, a czasami nawet podstawowej. Gdy już przewinie się przez kilka domów i ma dość służby, ale chce pozostać w mieście, często kończy jako seksworkerka na ulicy. Benedicto ilustruje to tragiczną historią kobiety, która pracowała w służbie domowej, a potem jako prostytutka zaraziła się HIV i umarła.

Benedicto pomogła już setkom kobiet. Dalej nosi w sercu ich historie.

– Pamiętam młodą dziewczynę, która powiedziała, że pracodawca chciał ją zgwałcić, a kiedy się sprzeciwiła, wyjął broń. Nie miała komu o tym powiedzieć. Kiedy mężczyzna, u którego pracujesz, chce zrobić ci krzywdę, jego partnerka w większości przypadków ci nie pomoże. Jako żona nie chce, żeby jej małżeństwo albo męża postrzegano w negatywny sposób, więc będzie troszczyć się przede wszystkim o wizerunek rodziny. Wiele dziewczyn odchodzi z pracy z powodu wykorzystywania seksualnego. W pewnym momencie zrozumiałam, że musimy zabrać głos – wspomina Benedicto.

Nie było łatwo. Lokalna społeczność nie przejmuje się losem osób pracujących w służbie domowej. Jak mówi założycielka WoteSawy, nie dostrzega się w nich wartościowych ludzi. W trosce o własne bezpieczeństwo wiele ofiar niewolniczej służby domowej nie może mówić publicznie o swoich doświadczeniach. Dlatego w 2012 roku Angela Benedicto założyła WoteSawę. Chciała pomagać kobietom w opowiadaniu ich historii i walczyć o zmianę. Zaczęła od współpracy z przedstawicielami rządu, lokalnymi patrolami i policją. Nieraz poświęcała własne bezpieczeństwo, żeby komuś pomóc. Na szczęście satysfakcja z każdej interwencji zakończonej sukcesem była na tyle duża, że rekompensowała wszystkie trudności. Benedicto wspomina jedną z nich.

– Patrol doniósł, że kobieta pracująca w służbie domowej została zgwałcona przez więcej niż dwóch mężczyzn po tym, gdy jej pracodawca oskarżył ją o kradzież pieniędzy. Jestem dumna, że w tej sprawie odniosłyśmy sukces. Mężczyźni, którzy ją skrzyw-

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

dzili, poszli do więzienia na 30 lat – mówi założycielka WoteSawy.

Osoby ocalone ze służby domowej dzięki pomocy WoteSawy często decydują się podjąć kroki prawne przeciwko byłym pracodawcom. Sprawy kryminalne rozstrzyga sąd, cywilne – związane np. z odmową wypłaty wynagrodzenia – często kończą się ugodą.

Obecnie w Tanzanii nie obowiązuje prawo, które chroniłoby osoby pracujące w służbie domowej. Jest tylko ogólne prawo pracy, ale to nie wystarczy. WoteSawa wytrwale zabiega o to, żeby Tanzania ratyfikowała Konwencję nr 189 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącą pracowników domowych.

Obietnice lepszego życia

Wiele dzieci trafia do niewolniczej służby domowej za sprawą swoich rodzin. Matka, ojciec albo inny krewny współpracują z przemytnikami. Dlaczego? Najczęstszą przyczyną jest bieda. T sytuacja ekonomiczna sprawia, że przemytnikom łatwiej przekonać rodziców do tego, żeby wysłali swoje dziecko z wioski na tereny miejskie. Łączy się z tym obietnica dobrego życia, porządnej pensji i comiesięcznego wysyłania pieniędzy rodzinie. Zdarzało się, że dzieci z niepełnosprawnościami były rekrutowane do przymusowej pracy w Kenii. Przemytnicy wcześniej okłamywali ich rodziców i składali fałszywą obietnicę, że ich dzieci otrzymają lepszą opiekę medyczną poza Tanzanią. Po przyjeździe na miejsce o opiece medycznej nie było jednak mowy. Angela Benedicto opowiedziała mi historię grupy dzieci, które przywieziono do Nairobi, po to by żebrały na ulicach. Na koniec każdego dnia przemytnicy zabierali im wszystko, co zebrały.

Zdarza się też, że do pracy w służbie domowej zachęcają rówieśnicy. Niektóre młode osoby ulegają ich namowom, żeby wyrwać się do miasta.

Obietnice jednak szybko okazują się bez pokrycia. – Uważamy, że praca w służbie domowej w Tanzanii jest formą niewolnictwa. Większość dziewczyn, które ją wykonują, nie dostaje zapłaty do rąk własnych – ich pieniądze idą bezpośrednio do rodziny albo do agentów, którzy je zrekrutowali – mówi Benedicto. – Rodziny osób pracujących w służbie domowej nie mają z nimi żadnego kontaktu. Nie zdają więc sobie sprawy z tego, gdzie tak naprawdę wysłały swoje dziecko i z czym ono się mierzy. Warunki pracy bardzo często są zupełnie inne, niż się spodziewano. Zgodnie z tanzańskim prawem dziecko nie może pracować więcej niż sześć godzin dziennie. Nie powinno też pracować na nocnej zmianie. Te przepisy są jednak rzadko przestrzegane. To, czego pracodawcy oczekują od dziewczynek, też znacznie wykracza poza to, co ustalono. Benedicto podaje przykład młodych kobiet, które zrekrutowano do pracy kelnerek, a skończyło się na zmuszaniu ich do komercyjnego seksu.

– W służbie domowej dzieci często są zatrudniane na przykład jako nianie, ale okazuje się, że nie tylko zajmują się dziećmi pracodawcy, ale również dla niego gotują i sprzątają. Robią w domu wszystko – podkreśla założycielka WoteSawy. Tydzień przed naszym spotkaniem przeprowadzała rozmowy z dwiema nowymi podopiecznymi fundacji. Jedna z dziewczynek miała dziewięć lat, druga – dziesięć.

Ponieważ służba domowa odbywa się za zamkniętymi drzwiami, w prywatnych domach, trudno zauważyć ją z zewnątrz. To sprawia, że pracodawcy pozwalają sobie na wiele przekroczeń. Kiedy pojawia się konflikt, często kłamią, że dziecko jest członkiem ich rodziny, kuzynostwem. Dlatego WoteSawa współpracuje z lokalnymi władzami, które często jako pierwsze odbierają sygnały, że w tym, a tym domu może się dziać coś złego. Fundacja przeszkoliła lokalnych policjantów, m.in. w zakresie tego, jak rozpoznawać ofiary handlu ludźmi, pracy przymusowej albo gwałtu. Jedna z podpowiedzi, jakie wymienia Benedicto, to akcent

• **Kobiety ze schoroniska uczą się szyć podpaski wielorazowe. Kursy odbywają się w Mwanzie w ramach projektu Kulczyk Foundation walki z ubóstwem menstruacyjnym**

– niektóre dzieci pracujące w służbie domowej są przywożone do Tanzanii z Burundi. Z tego, jak mówią, łatwo da się poznać, że nie są spokrewnione z rodziną, u której mieszkają.

WoteSawa stara się zwiększać świadomość na ten temat wśród lokalnej społeczności poprzez spotkania i kampanie w serwisach społecznościowych i lokalnych stacjach radiowych.

– Czasami ludzie dzwonią do nas i mówią, że podejrzewają, że u ich sąsiadów dochodzi do nadużyć. Same dla swojego bezpieczeństwa nie ruszamy na ratunek. Zabieramy ze sobą przedstawicieli lokalnych władz, a czasami, w szczególnych przypadkach, też policjantów, którzy mają doświadczenie w rozmowach z ofiarami i pomagają nam na miejscu – wyjaśnia Benedicto.

Walka z ubóstwem menstruacyjnym

O niesamowitej historii i aktywizmie Benedicto opowiedziano w dokumencie CNN stworzonym we współpracy z Kulczyk Foundation. – Jesteśmy bardzo zadowolone, że ten film powstał. Po premierze skontaktowało się z nami wiele osób – mówi Benedicto.

Film zapoczątkował dłuższą współpracę WoteSawy z Kulczyk Foundation. – Wiele osób pracujących w służbie domowej jest w trudnej sytuacji finansowej, przez co trudno im kupować podpaski. Dlatego stworzyliśmy wspólny projekt, w ramach którego powstawały wielorazowe podpaski dla młodych kobiet. Fundacja zapewniła sprzęt, czyli maszyny do szycia, z których korzystamy do dziś. Nie tylko walczyłyśmy z ubóstwem menstruacyjnym, ale również organizowałyśmy lekcje szycia dla osób z przeszłością pracy w służbie domowej. Sprzedawałyśmy też podpaski wielorazowego użytku za przystępną cenę – mówi Benedicto.

– Nasza współpraca z WoteSawą zaczęła się od filmu dokumentalnego Dominiki Kulczyk w ramach serii CNN Freedom Project, w której opowiadaliśmy historie o współczesnym niewolnictwie – mówi Joanna Maliszewska-Mazek z Kulczyk Foundation. – Zdjęcia opóźniły się przez pandemię, ale Angelę poznaliśmy już w 2019 roku i od początku byliśmy pod jej ogromnym wrażeniem. Sama doświadczyła niewolniczej pracy w służbie domowej i poświęciła całe swoje życie ratowaniu dziewczynek, które padają ofiarami handlu ludźmi, molestowania i pracy w nieludzkich warunkach. Edukuje swoje podopieczne, opowiada o prawach, jakie im przysługują. Ma wpływ na zmia nę myślenia młodych dziewczyn w Tanzanii i jest prawdziwym wzorem do naśladowania w kwestii

Bieda sprawia, że przemytnikom łatwo przekonać rodziców, by wysłali dziecko do miasta, do pracy w służbie domowej. Na miejscu się okazuje, że składali obietnice bez pokrycia

FOT. MAREK KŁOSOWICZ

• **Mwanzie. Dominika Kulczyk, szefowa Kulczyk Foundation i Angela Benedicto – założycielka organizacji WoteSawa**

wyzwolenia się z niewolniczej służby i realizacji marzeń – opowiada Maliszewska-Mazek.

Jak podkreśla przedstawicielka fundacji, Angela Benedicto oprócz pracy na miejscu stara się również lobbować na rzecz zmiany tanzańskiego prawa. – Zazwyczaj, zanim podejmiemy współpracę z jakąkolwiek organizacją, jeździmy na wizje lokalne, patrzymy, jak ta organizacja funkcjonuje, rozmawiamy z różnymi jej beneficjentami. To, jak działa WoteSawa, zrobiło na nas ogromne wrażenie. Organizacje takie jak ta są w stanie z minimalnym wsparciem zrobić naprawdę dużo dobrego – mówi Maliszewska-Mazek.

W tamtym czasie Kulczyk Foundation prowadziła też intensywne działania w związku z ubóstwem menstruacyjnym. Udało się połączyć dwa cele. – Zakupiliśmy dla WoteSawy maszyny do szycia. Dziewczynki przeszły podstawowy kurs ich obsługi, w związku z czym nabyły nowe umiejętności, które pozwalają im znaleźć pracę, wyrwać się z kręgu ubóstwa. Jednocześnie wytworzyliśmy ok. 5 tys. wielorazowych podpasek, które dostarczyliśmy dotkniętym ubóstwem kobietom w Tanzanii. Mając podpaski, dziewczynki mogą w trakcie miesiączki swobodniej chodzić do szkoły, a kobiety – do pracy. To było wielotorowe wsparcie – mówi Maliszewska-Mazek. Dodaje, że dla Kulczyk Foundation ważne jest też budowanie świadomości, dlatego wraz z lokalnymi ekspertkami i ekspertami fundacja zorganizowała sesje edukacyjne na temat zdrowia reprodukcyjnego i menstruacyjnego, a także działania w lokalnych mediach.

Aktualnie Kulczyk Foundation kontynuuje działalność wokół zdrowia menstruacyjnego, skupiając się na projektach w Polsce. Właśnie trwa m.in. projekt Okresowe ABC, który jest pilotażem pod patronatem MEN i ma na celu zmianę systemową – bezpłatny dostęp do środków menstruacyjnych w szkołach. Co piątej polskiej uczennicy zdarzyło się opuścić lekcje przez brak podpaski. Prowadzone są także dwa projekty międzynarodowe – ekologiczne przedsiębiorstwo społeczne przeciwdziałające ubóstwu menstruacyjnemu w Nepalu oraz projekt infrastrukturalny w Kenii. ●

CZUŁOŚĆ. WOLNOŚĆ. RÓWNOWAGA

• Menstruacja, menopauza, równowaga w pracy, luka płacowa, rynek dla kobiet 50+, kompetencje przyszłości, siostrzeństwo – z wielką uwagą przyglądamy się naszym relacjom w nowej rzeczywistości. Z czułością i wrażliwością rozmawiamy o kobiecości, ale też męskości i niebinarności. Tworzymy nowy świat i pytamy o nasze miejsce w nim, zachowując balans. „Czułość. Wolność. Równowaga" to akcja społeczna „Wysokich Obcasów" i „Gazety Wyborczej".

OGŁOSZENIE
Kraj/34362519

Czułość. Wolność.
RÓWNOWAGA

ORGANIZATORZY
wyborcza.pl
wysokieobcasy.pl

PARTNER
KULCZYK FOUNDATION

eprasa.pl a3741fa136

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

Tu jest *jakby* LUKSUSO

Edyta Bryła

Tiktokerka Aga testuje, czy w Dubaju naprawdę jest tak czysto, że można chodzić po nim w białych skarpetach (nie), kolejni udowadniaja, że można się tam wybrać tanio (za 2,6 tys. na tydzień na dwie osoby). Wielu tiktokerow testuje dubajską czekoladę lub tłumaczy, jak zrobić ją w domu ze zwykłej milki i kremu pistacjowego. Na ulicach widać reklamy dubajskiego kołacza, knajpy organizują „festiwale w stylu dubajskiej czekolady". Młodzież lata na zielone szkoły do Dubaju zamiast do Białki.

O co chodzi z tym Dubajem?

Największe, najwyższe, najdroższe

Jeśli wciąż ostatnio słyszycie, że ktoś z waszych znajomych pojechał właśnie na urlop do Dubaju, jesteście w dużej grupie z kilku powodów.

Najprostszy to ten, że jeśli ktoś w ogóle wybierał się do Dubaju, to najpewniej pojedzie tam właśnie zimą. To dlatego, że zimowe miesiące są jedynymi, w których nie jest tam gorąco jak w piekle. W ciągu dnia jest 24-25 stopni C, nocą spada do 15. W kolejnych miesiąca temperatura będzie przekraczać 40 stopni, nocą nie spadnie poniżej 30. Dlatego nawet przystanki autobusowe w Dubaju mają klimatyzację.

Ale dlaczego ludzi tak tam ciągnie?

– Do Dubaju się jedzie, jak ktoś chce zobaczyć, jakie najdziwniejsze fantazje może zrealizować pieniądz – mówi mi jeden znajomy.

O czym mowa? Słynny jest stok narciarski na pustyni, ale nie tylko. To też na przykład Palma Jumeirah, długa na 5 km, największa na świecie sztuczna wyspa w kształcie palmy, na której ramionach stoją domy bogatych ludzi. Za furtką mają plażę i morze.

Emiratczycy kazali też usypać archipelag przypominający kształtem mapę świata.

Za pieniądze można mieć wiele rzeczy największych, najwyższych, najdroższych. Palmę Jumeirah można oglądać z najwyżej na świecie położonego basenu infinity, czyli takiego z ukrytą krawędzią zewnętrzną. Znajduje się on na 50. piętrze wieżowca The Palm i biegnie dookoła budynku. Wejście kosztuje około 400 zł.

W Dubaju jest Burdż Chalifa, najwyższy budynek świata, wysoki na 828 metrów, dwa razy tyle co Empire State Building i trzy razy tyle co wieża Eiffla. Widać z niego (z ziemi oczywiście też) największy pokaz fontann świata.

Dubaj ma największą galerię handlową na świecie z 12 tys. sklepów i 200 restauracjami, największy park motyli, największe wewnętrzne akwarium.

Są tam też jedne z najdroższych noclegów na świecie. Przoduje tu hotel Atlantis, na Bookingu najdroższy apartament, jaki znajduję, kosztuje ponad 40 tys. za noc.

Ale to, co przyciąga do Dubaju tak wielu ludzi, to dostępność luksusu nie tylko za miliony, ale też za relatywnie małe pieniądze. Łatwo można się tu nie tylko poczuć jak bogaty człowiek, ale też pomieszkać jak on. Dubaj jest jednym z najtańszych na świecie, jeśli mowa o luksusowym pobycie.

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

FOT. PAULA BRONSTEIN/GETTY IMAGE

• Jeżdżąc na wielbłądach (najlepiej cali na biało) po białym piasku plaży Jumeira, można oglądać ekskluzywną dzielnicę Dubai Marina. A w niej knajpy, hotele i jachty przepływające przez dużą sztuczną przystań, w której można jeździć na nartach wodnych czy uprawiać skoki spadochronowe.

WO

O co chodzi z tym Dubajem?

– Cena pobytu w pięciogwiazdkowym hotelu jest tam niższa niż w Polsce – przekonuje Paweł Kunz, podróżnik i dziennikarz.

Sprawdzam i okazuje się to prawdą. Na przykład w pięciogwiazdkowym Radisson Blu cztery noce dla dwóch osób kosztują w Dubaju niecałe 1,3 tys. (terminy na za tydzień). W tym samym hotelu w Warszawie zapłaciłabym 2,1 tys.

Kunz zaznacza, że na wyjazd do Dubaju nie trzeba mieć już minimum 10 tys., wystarczy budżet jak na wyjazd do Hiszpanii. Dubaj zrozumiał bowiem, że nie utrzyma rozwoju ofertą tylko dla bogatych. Rynek najbogatszych szybko się kończy, bo oni szybko się nudzą,

– Średnio zamożni może też przyjadą tylko raz, ale jest ich o wiele więcej. Trzeba się więc nastawić na klienta, który będzie szukał dobrej relacji jakości do ceny – mówi Kunz.

Emiraty trochę są przy tym w rozkroku. Z jednej strony dopieszczają bogatego klienta, który chce się tam czuć jak w miejscu niedostępnym dla mas. Z drugiej na klienta mniej zamożnego nie mogą się zamykać – enklawa luksusu najwyższych lotów na dłuższą metę się nie opłaca.

Krzysztof Rutkowski cały na biało

Ale jeździmy tam nie tylko z powodu obiektywnych walorów. Na nasze wybory, choć często temu zaprzeczamy, wpływają platformy społecznościowe. Przynajmniej w części dajemy się złapać na modę, nęci nas klimat, który wytworzył się wokół miasta. Oglądamy relacje znajomych i celebrytów z Dubaju, zostaje on w głowie.

– Chcemy jechać, bo był już ktoś z pracy, bo znajomi będą zazdrościć, że jedziemy na kolejne wakacje, bo chcemy się dopasować, nie być gorsi, ale też żeby samemu zobaczyć, doświadczyć, móc potem dyskutować na spotkaniach o naszych przygodach – mówi Joanna Ceplin, ekspertka ds. budowania marki osobistej w internecie.

Platformy społecznościowe inspirują nas w wielu obszarach – jaki serial warto obejrzeć po cel wakacji. Chcemy być częścią pewnych społeczności i dlatego kupujemy przedmioty, usługi takie jak osoby, które obserwujemy i które mamy w swoich kręgach znajomych.

– Niedawno zobaczyłam relację na Instagramie z Omanu, potem usłyszałam, że ktoś się tam wybiera, na koniec sama zaczęłam przeglądać informacje na temat podróży w ten rejon – mówi Ceplin.

Do Dubaju jeździ też wiele celebrytów i celebrytek. Czasem sugerują, że są tam w interesach, albo pokazują się w luksusowych miejscach, by zasygnalizować swój status. W Dubaju chętnie fotografuje się na przykład Krzysztof Rutkowski. Twierdzi, że kupił tam apartament, ma spotkania biznesowe, chodzi ubrany na biało jak Arabowie (choć jednocześnie zapowiada pozew o zmniejszenie alimentów, bo z 6 tys. emerytury nie da rady ich płacić).

Na bogato pokazują się też tam inni aktywni influencerzy, którzy pretendują do zarabiania online. – Jak jest naprawdę, nie wiemy. W końcu pieniądze lubią ciszę, ci naprawdę bogaci się nie afiszują. Ale pokazywaniem się w luksusowym otoczeniu uwiarygodniają się w oczach obserwujących – mówi Ceplin.

W jaki sposób? Mówią: „Zobacz, skoro mnie stać, to pomyśl, jak dobrze wiedzie się mnie i mojej firmie. Tak skuteczny jest mój produkt, mój wizerunek".

Ceplin: – Zrobiło się modnie pokazać się w Dubaju, powiedzieć, że ma się tam inwestorów, zarabia się tam. Dużo w tym gry pozorów, ale to działa. Kręci nas ten klimat.

Dubaj brzmi jak duże pieniądze, tajemniczość i egzotyka. Chcemy czy nie, buduje to pewne skojarzenia.

Jakby luksusowo, ale tanio

Do Dubaju przyciąga – a innych odstręcza – nietypowa dla arabskiego kraju swoboda. Nie trzeba się zakrywać, alkohol nie jest niedostępny. Weronika, która pojechała tam w styczniu na 40. urodziny, żałuje, że nie czuć tam, że jest się w kraju arabskim. – Robi wrażenie prawie tak duże jak Nowy Jork, ale jeśli chodzi o budowanie wizerunku luksusu, to Dubaj wygrywa – mówi.

Klimat kraju muzułmańskiego sprowadza się do ograniczonego dostępu do alkoholu – można go kupić tylko w hotelach i niektórych restauracjach, a także specjalnych sklepach – i wezwań na modlitwy. Tyle że tu nikt na nie nie reaguje.

Weronika nie marzyła o Dubaju, ale znalazła świetną promocję na noclegi w Marriocie – 800 zł za parę na dobę. Skoro zaoszczędziła mocno na hotelu, na inne wydatki się nie szczypała. Wydała w tydzień 6 tys., głównie na atrakcje.

Potwierdza: Dubaj jest mocno luksusowy. A jednocześnie przystępny cenowo. Da się tam polecieć Wizz Airem – najpierw do Abu Zabi, potem półtorej godziny autobusem do Dubaju.

Najbardziej zapadło jej w pamięć, że to miasto, które świeci. Świecą budynki, fontanny i drzewa, bo są obwieszone światełkami. Nawet pokazy fontann nie okazały się kiczowate.

Według niej widać nie tylko pieniądze, ale też gust. W Dubaju jest ładnie. – Można wydać dużo pieniędzy i zrobić na brzydko, kiczowato. A tu wszystko jest wysmakowane. Będzie się tam podobało pasjonatom designu czy architektury – mówi.

Poczucie luksusu dają nawet podróże taksówkami – to nowe lexusy i samochody podobnej klasy (kursy są tańsze niż w Warszawie). – Koleżanka, która tu mieszka, z jednej strony mówi, że czuje się jak uboga krewna, z drugiej – gdziekolwiek pójdziesz, traktują cię jak kogoś, kto ma pieniądze. Łatwo mieć poczucie, że jesteś jednym z bogaczy – mówi Weronika.

Przykład? Jechała raz z chłopakiem taksówką i chcieli wysiąść przy Burdż al-Arab, jednym z najdroższych hoteli. Taksówkarz nie zatrzymał się przy budynku, tylko wjechał na teren hotelu, bo uznał, że pasażerowie są jego gośćmi. – Wyjściowo traktują cię jak kogoś, kogo stać na najdroższe atrakcje – mówi.

W centrum jedzenie w knajpach kosztuje około półtora raza tyle co w Warszawie, w biedniejszej dzielnicy o połowę mniej co w drogiej. Alkohol droższy jest trzy razy niż w Polsce, jeden drink kosztuje lekko ponad 100 zł.

Wyjazd nie dałby takiej satysfakcji, gdyby nie wizyta w starej, biedniejszej części Dubaju, dzielnicy Deira. Zwłaszcza w porównaniu z nową częścią wydaje się pełna historii i lokalności. Mieszkają tam nie Arabowie, ale w większości imigranci z Azji, którzy budują miasto, pracują w usługach. – Można poczuć inny Dubaj. Nie byłam w Pakistanie, ale tak sobie wyobrażam pakistańskie miasteczko – mówi.

Jeśli ktoś ma cień wątpliwości, jak wysoki jest konsumpcjonizm w Emiratach, nie ma złudzeń po odwiedzeniu meczetu w Abu Zabi. Trzeba tam się dobrze okryć, także mężczyźni muszą mieć zasłonięte nogi, ale by do niego wejść, trzeba przejść przez podziemną galerię handlową dwa razy, bo bilet pobiera się na jednym końcu, a do meczetu wchodzi na drugim. – Jakby mówili, że tradycja jest ważna, ale po drodze pamiętajcie, by zostawić pieniądze w McDonaldzie – mówi Weronika.

Dubaj zajmuje piąte miejsce wśród najchętniej odwiedzanych miejsc świata. Przed nim są: Nowy Jork, Paryż, Bangkok, Londyn. W 2024 roku miasto odwiedziło rekordowe 18,7 mln turystów zagranicznych. Ilu z nich było z Polski? W 2022 roku do Dubaju pojechało 54 tys. polskich turystów od stycznia do sierpnia, o 125 proc. więcej niż w tym samym okresie poprzedniego (pandemicznego) roku i o 8 proc. więcej niż w 2019 roku.

Jeśli chce się zobaczyć wszystkie główne atrakcje, dużo to kosztuje, zwłaszcza 4-osobową rodzinę. Wydali około 38 tys. zł

Dziś jeszcze więcej, zważywszy na rosnącą liczbę lotów – zwiększyła się z 14 w 2019 roku do 82 w 2025 tygodniowo. Obsługują je Emirates, FlyDubai i LOT, a także Etihad i Wizz Air – do Abu Zabi. Od ubiegłego grudnia do innego emiratu – Szardży – lata Air Arabia, a Wizz Air zacznie latać też z Warszawy, a nie tylko z Katowic i Krakowa.

Choć liczby pasażerów linii lotniczych ewidentnie wskazują, że loty są w większości dla tych przesiadkowych: tylko z Warszawy do Dubaju poleciało w całym 2024 roku prawie 400 tys. pasażerów (dane Polskich Portów Lotniczych). PPL nie ma danych, ile pasażerów leci gdzieś dalej.

Wiking i Wilkołak zostają na przystanku

Dla promocji Dubaju w ponad 60 krajach działa rządowa agencja marketingowa Dubai Corporation of Tourism & Commerce Marketing. Wydała w ostatnim roku , do stycznia 2025, prawie 100 mln dol. na reklamę, ale to tylko część wydatków związanych z promocją Dubaju na świecie. W 2016 roku DTCM otworzyło przedstawicielstwo także w Polsce.

Wojciech Kulig i Sebastian Janiszewski, podróżniczy duet znany w sieci jako Wiking i Wilkołak, mówią, że Dubaj to dobra alternatywa dla chcących się wygrzać, ale też uniknąć natrętnych handlarzy w Egipcie.

Byli w Dubaju już dziewięć razy, przy czym tylko dwa razy on był celem. Przy pozostałych okazjach był przystankiem, gdzie spędzali dzień-dwa przed kolejnym odcinkiem podróży. Z Dubaju tanio można bowiem lecieć dalej do Azji, na przykład na Seszele za 500 zł.

Sebastian podkreśla, że do samego Dubaju też przyciągają atrakcyjne ceny lotów, choć już nie tak jak wcześniej. Ruch jest tak duży, że ceny wzrosły od nawet 100 zł jeszcze kilka lat temu do tysiąca teraz. Ostatnio chłopaki leciały za 300 zł, ale przez Kiszyniów. Ale takie ceny to raczej tylko z większym wyprzedzeniem, na za 2 tygodnie to już od około 2 tys.

O innych zaletach opowiadają z letnim entuzjazmem. Oceniają na przykład, że wiele atrakcji jest przereklamowanych, a są bardzo drogie.

Wjazd na Burdż Chalifa kosztuje 164 zł, a przecież tam jest tak wysoko, że nie tak wiele z niego widać – widok jest jak z samolotu. Naokoło też jest ogra-

eprasa.pl a3741fa136

niczony – horyzontu nie widać albo jest rozmazany – przez charakterystyczny smog powstający ze spalin i pustynnego pyłu.

Emirat nie ma przeszłości, o której mógłby rozprawiać, wybudował więc Muzeum Przyszłości. Podziwia się interaktywne wizualizacje tego, co kiedyś jeszcze będzie. – Przy czym często tego potem nie ma, bo jednak powstaje coś innego. Ponieważ wszędzie się odbijasz tylko od wizji, Dubaj szybko może się znudzić. Ale będą tu wciąż przyjeżdżać tłumy, głównie ci, co jeszcze nigdy nie byli, ale najpewniej raz im wystarczy – mówi Sebastian.

Podróżnicy opowiadają, że nawet krótkie pobyty wystarczają, by widzieć, jak Dubaj szybko się zmienia. Rozpoczynają się wciąż nowe budowy hoteli, na ulicach przybywa samochodów. Zdaniem podróżników rozwój infrastruktury nie nadąża za wzrostem ruchu turystycznego i mieszkańców. Ci ostatni to jednak głównie pracownicy z Pakistanu czy Filipin potrzebni na budowach czy do obsługi turystów. Widać ich zwłaszcza w coraz bardziej zatłoczonym metrze i autobusach. Gdy Wojtek i Sebastian wracali ostatnio na lotnisko, autobus ich nie pomieścił i pozostawieni na przystanku musieli zamawiać Ubera.

W ich ocenie Dubaj będzie się starał przyciągnąć głównie bogatego klienta. – Luksusowe hotele nie powstają dla tych biedniejszych – mówią.

Wnuczkom nie smakuje

Pan Wojciech z Gdańska, emerytowany właściciel firmy komputerowej, dużo jeździ po świecie. W Dubaju był już trzy razy. Po drugim jego wnuczki (15,16 i 17 lat) powiedziały: jak dziadek jeździ, to my też chcemy. Zabrał je więc tam w listopadzie zeszłego roku. – Wyjazd był bardzo udany. Chodziły bez sprzeciwu i dyskusji tam, gdzie je zaciągnąłem – mówi.

Pan Wojciech podróżuje budżetowo, lecieli Wizz Airem, spali w Deirze. Nie dla niego już hotele z czterema posiłkami dziennie – raz mu taki nadmiar zaszkodził. Z wnuczkami miał kłopot w drugą stronę, nic tam za bardzo nie chciały jeść: – Nie ma w nich żadnej ciekawości obcych kuchni. Wolą zjeść na kolację suchą bułkę. Lubią tylko kilka wybranych potraw, czegoś nowego i nieznanego nie tkną.

Zaczęli zwiedzanie od Dubai Mall, obejrzeli tamtejsze akwarium i lodowisko. Potem pokaz fontann, ogród z instalacjami kwiatowymi Miracle Garden, park tematyczny Global Village. Te dwie ostatnie atrakcje panu Wojciechowi wydawały się trochę kiczowate, ale dziewczyny były zachwycone. Duże wrażenie na panu Wojciechu zrobiły też tereny po wystawie Expo 2020. Zostały ciekawe obiekty i konstrukcje, a także ekspozycje w niektórych pawilonach. – Nie chciały wracać, wszystko im się podobało. Tam każde wyjście na ulicę to coś nowego, jakieś przeżycie – mówi.

Na Burdż Chalifa szkoda mu było pieniędzy, wjechali na wieżowiec nieopodal – widoki też fantastyczne, zwłaszcza gdy rozchyla się smog. Nie weszli też do Muzeum Przyszłości, choć bardzo chcieli, ale nie było już biletów.

W planach były Pałac Prezydencki i meczet w Abu Zabi, ale młodym nie udało się wyszykować rano na czas. Z hotelu wyszli w południe, a trzeba było o szóstej. Dzień przepadł.

– Dużo ludzi nastawia się na plażowanie, ale plaże nie są tu najlepsze. Wnuczki zarezerwowały sobie dwa dni na plażę, ale jak się tam rozejrzały, to powiedziały, że pół dnia wystarczy – mówi.

Razem z lotami, upominkami i zakupami (trzeba było kupić trzy chusty zakrywające zbyt odważne stroje przy wejściu do Global Village), wyszło niecałe 13 tys. Była w tym też jedna dubajska czekolada za jakąś astronomiczną kwotę. Pan Wojciech nie wie, czy dobra, nie zdążył spróbować.

Cena bogactwa

Katarzyna, menedżerka w korporacji, pojechała do Dubaju zimą dwa lata temu z mę-

• **Widok na centrum Dubaju z Burdż Chalifa, najwyższego budynku świata. 828 metrów.**

• **Global Village reklamowana jest jako podróż dookoła świata. W pawilonach prezentowane są tradycje, jedzenie, sztuka i rękodzieło z ponad 90 krajów.**

• **Ski Dubai. Pięć sztucznie naśnieżanych stoków narciarsko-snowboardowych w centrum handlowym. Raz dziennie wpuszczane są tam pingwiny**

FOT. SHUTTERSTOCK (4)

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Katarzyna Bosacka: czekolady dubajskie są rozchwytywane, nie było takiego hitu od czasu lodów Koral Ekipa

żem i trzema córkami. Lubią komfort. Zimą jeżdżą na narty poza Polską, latają na weekendy do miast Europy, ale latem wysyłają też dzieci na obozy młodzieżowe na Mazurach, takie w namiotach, w stylu artekowym.

Tym razem szukali egzotycznego, ciepłego miejsca, ale żeby nie był to all inclusive w Egipcie.

– Dubaj chodził nam po głowie od jakiegoś czasu, wielu znajomych już było. Ale myśleliśmy, że jest dla nas, pięcioosobowej rodziny, za drogi. Okazało się, że wcale nie – mówi.

Więcej zapłacili za loty (5 tys.), bo wybrali Emirates, ale w cenie biletów było wejście do aquaparku. Tanie, jak dla nich, okazały się noclegi. Wydali 10 tys. na apartament hotelowy, 2-3 tys. na jedzenie, które sami przygotowywali. – To podobne koszty do pobytu w Europie.

Jechali tam z przekonaniem, że zobaczą sztuczny świat – miasto na pustyni. Tak też było. To miejsce skrajności.

Katarzyna: – Jest czysto, bogato i bezpiecznie. Ale wciąż mieliśmy z tyłu głowy, że to tylko fasada. Że ceną bogactwa jest praca ludzi za minimalne pieniądze.

Obawiała się o bezpieczeństwo dwóch nastoletnich córek, że będą zaczepiane jak w Egipcie. Ale nic takiego się nie działo.
– Ale wiedziałam, że choć turystki są traktowane z szacunkiem, to miejscowe kobiety niekoniecznie. Myślałam o tym, że to, co widzimy: ta kultura, uprzejmość i szacunek do kobiet, to nie to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

Ważne jest dla niej też poszanowanie planety, a w Dubaju widać, jak duże muszą być koszty środowiskowe, na przykład utrzymania zieleni i zużycie wody. Nie żeby to wszystko psuło wyjazd – rodzina chętnie korzysta z przywileju poznawania świata i poszerzania horyzontów. – To urlop, poznanie innej kultury. Jest jaka jest, trzeba podejść do niej z akceptacją – uważa Katarzyna.

Więc wrażenia i tak były pozytywne. Katarzynie podobała się zwłaszcza dbałość o turystów, atrakcje przyjazne dla dzieci. Prócz w aquaparku byli też w Legolandzie, ale nawet w muzeach było coś atrakcyjnego także dla najmłodszych.

Muzeum bez kolekcji

Dubaj ma swój mit założycielski. Od lat 60., gdy odkryto tam ropę, przeszedł spektakularną transformację. Wiele źródeł powtarza jak mantrę, że Dubaj był wcześniej skromną wioską rybacką, którą pieniądze z ropy przekształciły w metropolię. To porusza wyobraźnię i w porównaniu z dzisiejszym stanem emirat faktycznie zaczynał niemal od zera.

Ale na starych zdjęciach Dubaj przypomina już w tamtych czasach małe miasteczko, ma też lotnisko. Dubaj handlował rybami i, wcześniej, perłami, ale warto też wspomnieć że w latach 60. był już jednym ze światowych centrów handlu złotem.

Dziś Emiraty inwestują w turystykę i tworzenie strefy dla biznesu, bo wiedzą, że ropa się kiedyś skończy.

Dubaj próbuje już jednak przyciągnąć innymi zachętami niż tylko „więcej, wyżej, nowoczesnej" – zaczął zwracać uwagę na tradycję i historię. Atrakcje jak pustynne safari, rajdy na quadach przez pustynię czy sandboarding nawiązują do tego, co region naturalnie ma do zaoferowania, w przeciwieństwie do stoku narciarskiego czy fontann.

Ale to wciąż mało. Tak młodemu miastu raz osiągnięty olbrzymi sukces nie starczy na zawsze ani nawet na długo. Trzeba ciągle inwestować nowe pieniądze, inaczej miasto zacznie się zwijać. – Dubaj goni za mirażem, że niemożliwe nie istnieje, ale nie chce i nie może tego robić w nieskończoność. By z tym zerwać, potrzebuje tożsamości, a do jej tworzenia potrzebni są po prostu ludzie, wspólnotowość – mówi Paweł Kunz.

To coś, co niesie na fali inne najchętniej odwiedzane miasta świata, a czego Dubaj sobie kupić nie może. Społeczność tworzy się w drodze ewolucji, nie rewolucji, która była dotąd siłą rozwoju Dubaju.

By nadal przyciągać, Dubaj potrzebuje więc społeczeństwa, które zbuduje swoją historię. Nie wiadomo tylko, kto ma je tworzyć. Do wyboru są Arabowie, którzy są mniejszością, pracownicy najemni, którzy to miasto budują, ale potem będą odesłani do domów, i ekspaci.

Metaforą tożsamościowych niedociągnięć jest też galeria sztuki z licencją Luwru w Abu Zabi. Zachwyca tam nowa architektura budynku, jednak za żadne pieniądze, przynajmniej nie szybko, nie da się kupić do tego budynku kolekcji światowej jakości.

Katarzyna Bosacka testuje dubajską czekoladę

Gdy brakuje tożsamościowych symboli, można je sobie wymyślić, gdy ma się dużo pieniędzy na marketing, lub pożyczyć. Dlatego świat ogarnia właśnie moda na dubajską czekoladę. I nie tylko. W ofercie jest dubajski kołacz, pancakes, pączek, precel, tartaletka...

Nie jest to produkt stworzony od zera przez marketingowców – czekolada dubajska jest tak naprawdę czekoladą turecką, teraz wylansowaną jako specjał dubajski. To powszechna praktyka. To jak woda Żywiec, która jest z zachodniopomorskiego, i jak polędwica sopocka, która jest schabem produkowanym wszędzie.

Katarzyna Bosacka, dziennikarka i edukatorka konsumencka, nie ma wątpliwości, że modę rozprzestrzenił TikTok. – Filmy niosą się łatwo. Także ten, na którym testowałam dwie czekolady dubajskie, miał ponad milion wyświetleń w trzy dni – mówi.

Ciemna czekolada z kremem pistacjowym z kawałkami tych orzechów i ciastem kataifi to rzeczywiście uczta dla oczu i kubków smakowych też – one kochają połączenie cukru i tłuszczu. Zwłaszcza cukru jest w tej czekoladzie mnóstwo, składa się on na 65 proc. tabliczki.

Do tego dubajski ulepek łechce ego. Wydaje się ekskluzywna, wyobrażamy sobie, że przyleciała business klasą liniami Emirates. Ale często nie jest jakościowo dobrym produktem, chyba że trafimy na dobrą gorzką czekoladę z prawdziwym kremem. Albo zrobimy ją sami w domu. Wiele czekolad sklepowych zrobionych jest po taniości, ze sztucznymi składnikami i aromatami, wypełniaczami. Składników jest nawet kilkadziesiąt.

Tym więcej szokują ceny. Nawet biorąc pod uwagę, że cena kakao ostatnio mocno wzrosła (były kiepskie zbiory z powodu długiej pory deszczowej), ceny czekolad dubajskich są zdaniem Bosackiej skandaliczne. Sięgają od 40 do 110 zł.

Mimo to są rozchwytywane. Gdy sprzedawała je Żabka, i Bosacka szukała tam czekolady dwa miesiące temu, usłyszała, że już jej nie ma, ale jest jeszcze w Empiku.

– To jak towar deficytowy, na który trzeba polować, patrzeć, gdzie rzucą. Nie było takiego hitu od czasu lodów Koral Ekipa – ocenia.

Jeepy, quady, wielbłądy.

Pan Łukasz kupił w Dubaju wiele różnych czekolad, najlepsza była taka robiona na miejscu, pakowana dwie godziny wcześniej. Pozostałe też dobre, ale bez szału. Za to moda wciąga wszystkich – rodzina pana Łukasza musiała zrobić zapasy, bo czekoladę zamówili znajomi w Polsce.

Pan Łukasz pracuje w IT w firmie telekomunikacyjnej w Warszawie. Widzi, że sporo ludzi z Polski jeździ do Dubaju – wielu przestawiło się z Egiptu. Bogatsi znajomi jeżdżą tam nawet co rok. Bo – uważa – lubią modne miejsca, chcą zrobić sobie tam zdjęcie. Bywa, że ludzie mają po dwa kredyty zaciągnięte na wakacje albo oszczędzają rok, by tam pojechać, więc wcale nie są tak bogaci, ale zależy im, żeby się pokazać w luksusowym otoczeniu.

Wybrał się do Dubaju na ferie z żoną i dwojgiem nastoletnich dzieci. Chcieli jechać gdzieś, gdzie jest ciepło, przy czym dalsze podróże są niemożliwe ze względu na problemy ze zdrowiem jednego z dzieci.

Dubaj jest w miarę blisko, a marzył o nim syn. Oglądał o nim programy w telewizji, o największych budowlach, przepychu.

Do zwiedzania było bardzo dużo, więcej, niż da się zmieścić w 11 dni, które tam spędzili. Przy czym jeśli chce się zobaczyć wszystkie główne atrakcje, dużo to kosztuje, zwłaszcza 4-osobową rodzinę. Wydali około 38 tys. zł.

Pan Łukasz nie jest fanem tanich linii, więc polecieli Lufthansą za 10 tys. Kolejne tyle to apartament w Dubai Marina, jednej z bardziej prestiżowych okolic. 15 tys. kosztowały atrakcje: Burdż Chalifa za około 750 zł, pustynne safari za 1,5 tys., Muzeum Przyszłości za 700 zł, aquapark w hotelu Atlantis za 1,6 tys. na cały dzień. Wycieczka do Abu Zabi – tysiak.

– Ale można mieszkać gdzie indziej i nie trzeba korzystać ze wszystkich atrakcji. Wiele osób przyjeżdża, nie wydaje w ogóle pieniędzy, tylko spaceruje i ogląda. Do Deiry można jechać metrem za 5 zł i pospacerować tam. Jest ładnie i klimatycznie – mówi pan Łukasz. Jego zdaniem 4-osobowa rodzina mogłaby się zmieścić w 15 tys.

Na dzieciach największe wrażenie zrobiło safari, przejażdżki jeepami, quadami, wielbłądami. W drugiej kolejności – Burdż Chalifa z galerią handlową, bo jest tak olbrzymia i oferuje tyle rozrywki, że tylko tam można spędzić dwa dni, nawet nie robiąc zakupów. – Dubaj pokazuje, co może ludzkość. U nas takich rzeczy nie ma. Muzeum Przyszłości jest szczytem inżynierii, skomplikowanym majstersztykiem, a nie dziwnym białym klockiem – mówi pan Łukasz, nawiązując do nowo otwartego Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Pan Łukasz woli jeździć w zieleń, na Filipiny, Seszele. Dubaj to jednak pobyt w mieście. Podobało mu się, oczywiście, nie był to czas stracony, ale jednak męczący. Chodzi nie tylko o miasto, ale też o to, że był organizatorem i przewodnikiem całej wyprawy. Dbał o przeżycia rodziny, czasem musiał usiąść do pracy.

Po powrocie czuł, że potrzebuje odpocząć, i poleciał jeszcze na tydzień na Dominikanę. ●

eprasa.pl a3741fa136

Żona w kwiatowej posypce

Meghan Markle wyrywa się z kuchni i jedzie po zakupy, ale przywozi tylko naręcza kwiatów. Jeśli za nie płaci, to poza kadrem. Może nie musi. Kwiaty na oko są warte tyle, ile zwykła rodzina wyda na jedzenie przez tydzień.

Emilia Dłużewska

O istnieniu programu „Z miłością, Meghan" [Netflix] dowiedziałam się we wtorek. Dwa dni później włączałam ostatni odcinek przepełniona szczerym żalem, że na kolejne będę musiała poczekać.

Program, w którym Meghan Sussex, de domo Markle, w twarzowych beżach kroi niekończące się porcje warzyw, posypuje je jadalnymi kwiatkami i otwiera kolejne butelki alkoholu jest urągająco głupi, wybitnie nudny i tym bardziej fascynujący.

Żeby ten paradoks zrozumieć, zacznijmy od samego formatu. „Z miłością, Meghan" to program, w którym eksaktorka, a obecnie księżna (w 2018 r. Markle poślubiła Brytyjczyka Harry'ego Windsora, księcia Sussex) dzieli się z widzami poradami dotyczącymi prowadzenia domu i podejmowania gości.

Osoba, która wytrzyma osiem odcinków, dowie się m.in.: jak przygotować girlandę z balonów i deskę warzyw, jak upiec foccacię, jak własnoręcznie odlać świeczkę, jak zrobić zdrowe przysmaki dla psa i zapakować je na prezent.

Dowie się również, że jedyną rzeczą lepszą od jedzenia jest karmienie innych, że, nawet gdy nie znosisz piec, warto poświęcić się dla kochanej osoby, że przygotowanie śniadania dla bliskich jest źródłem dumy, a ugotowanie im kolacji – spełnienia. A także, że świetnym rozładowaniem stresu i frustracji jest zagniatanie ciasta, miażdżenie czosnku i układanie kompozycji ze świeżych kwiatów, koniecznie z kieliszkiem wina.

A, i jeszcze, że można ugotować dwudaniowy obiad w białej koktajlowej sukience i wyjść z tego bez szwanku. Choć może to akurat współczesna wersja ziarnka grochu pod materacem – uda się tylko członkiniom rodziny królewskiej.

Jeśli osoba oglądająca „Z miłością, Meghan" potrafi czytać między wierszami, dowie się jeszcze czegoś: w narracji społecznej dokonuje się potężna zmiana. I powinna nas ona niepokoić.

Księżna Sussex kontra Safdie

Gdybym miała wybrać jeden epitet, który opisuje program księżnej Sussex – a ciśnie mi się pod palce wiele – byłby to: nieparodiowalny.

Nie, by nikt nie próbował. Przeciwnie, zaraz po premierze na platformach społecznościowych zaroiło się od filmików, w których ich autorzy, cali w bieli i beżu, pieką ciasteczka i zrywają kwiatki. Rzecz w tym, że żaden z nich nie miał szans osiągnąć takiego poziomu kuriozalności jak oryginał.

Najbliższego pokrewieństwa szukałabym nie w internetowych parodiach, ale w „The Curse" [Skyshowtime]: operującym na zażenowaniu widza, satyrycznym serialu Nathana Fiedlera i Benny'ego Safdiego. Jego bohaterami są Asher i Whitney, młode małżeństwo, które stawia w miasteczku Española w Nowym Meksyku zeroemisyjne lustrzane domy, a równolegle kręci o tym program telewizyjny, by pokazać się jako ludzie sympatyczni i rzutcy, o artystycznej wizji i społecznym zacięciu.

Z każdym odcinkiem ich plan coraz wyraźniej się sypie. „The Curse" bezlitośnie obnaża przywary bohaterów: ich narcyzm, płytkość, fałsz, a przede wszystkim hipokryzję. Whitney i Ash pod ekologicznym sztandarem niosą gentryfikację, są radykalnie odklejeni od życia zwykłych ludzi, lustrzane domy stawiają za pieniądze rodziców Whitney, którzy dorobili się, wynajmując nigdy nieremontowane rudery najbardziej zdesperowanym biednym. Lustrzane domy są zresztą zeroemisyjne tylko na papierze. Za to designersko wyglądają.

„Z miłością, Meghan" wygląda, jakby ktoś obejrzał „The Curse" i pomyślał: ten program o lustrzanych domach to superpomysł, róbmy!

Nie naprawiaj, ulepszaj

Dla porządku zaznaczmy: nie chodzi o prawdę. Kompletnie mnie nie obchodzi, czy Meghan Markle tak naprawdę jest dobrą czy złą osobą. Podobnie jak nie obchodzi mnie, czy faktycznie sama robi przetwory i wybiera z kurnika idealnie czyste jajka, czy rzeczywiście ucinała ręcznie każdy kolec wykładanej do wazonu róży ani czy – jak zapewniają zaproszeni do programu goście – jest wybitnie uzdolnioną kucharką (choć patrząc na jej dania, powątpiewam).

W XXI w. nikt nie wierzy, że program telewizyjny to zapis rzeczywistości. Twórcy „Z miłością, Meghan" zresztą tego nie oczekują. Przeciwnie, księżna od początku zaznacza, że pokazana w programie kuchnia to plan zdjęciowy, a nie część jej domu; wielokrotnie burzy czwartą ścianę, zwra-

FOT. JAKE ROSENBERG/NETFLIX (2)

▲ **Amerykanka Meghan Markle (43 l.), księżna Sussex, synowa brytyjskiego króla, ma w aktorskim dorobku, poza kilkoma epizodami, jedną dużą rolę – ambitnej asystentki w kancelarii prawniczej w serialu „W garniturach" (2011-17). Odeszła z niego, kiedy poznała księcia Harrego.**

◀ **Księżna nie tylko układa na ekranie owoce na desce i kupuje kwiaty, ale jest też producentką programu. Z mężem założyli współpracującą z Netflixem firmę, która zajmuje się promocją książęcej pary. Debiutowali w 2022 r. serialem dokumentalnym „Harry&Meghan" (6 odc.).**

> Kompletnie mnie nie obchodzi, czy Meghan Markle tak naprawdę jest dobrą czy złą osobą. Podobnie jak nie obchodzi mnie, czy faktycznie sama robi przetwory

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

cając się wprost do filmującej ją ekipy, by zaoferować im kawę, kanapki albo uroczy żarcik.

To, rzecz jasna, kolejna iluzja: oświetlenie kulisów scenicznym reflektorem niczego nie obnaża – sprawia tylko, że przestają być kulisami.

Ale to również nie ma znaczenia. Bo telewizyjna fikcja potrafi powiedzieć nam o świecie więcej niż jego dokumentalny zapis – właśnie dlatego, że można ją dowolnie kreować; projektować sytuacje społeczne tak, by podkreślać pewne ich aspekty, a wymazywać inne; napisać scenariusz, który kładzie nacisk na pewne pojęcia, a pomija inne.

Ulubionym słowem Meghan jest „elevate” – ulepszyć. „Ulepszenie” to takie ulepszone naprawianie: nie wymaga wielkich nakładów pracy ani radykalnej zmiany. Przede wszystkim zaś nie dotyczy tylko rzeczy zepsutych.

Tym samym, jak przekonuje księżna (cała na biało), ulepszyć można zawsze i wszystko: deskę warzyw – komponując je kolorystycznie; paczkę precli – przesypując je z plastikowego woreczka z logo do plastikowego woreczka bez logo; bukiet z supermarketu – rozkładając go i składając na nowo, po swojemu; kostkę lodu – zatapiając w niej plasterek ogórka; każdą potrawę – posypując ją suszonymi kwiatkami.

Słowem, które w scenariuszu nie pada ani razu, jest „tradwife”. Nieprzypadkowo.

Pranie? W pełnym makijażu

„Tradwife” – skrót od angielskiego „traditional wife”, tradycyjna żona – to współczesna kobieta, która zamiast stawiać na karierę zawodową, wybiera rolę strażniczki domowego ogniska. Zostawia zarabianie mężowi, w zamian za to gwarantując mu czysty dom, wyprasowane koszule, dobrze wychowane dzieci i pyszny obiad, który poda mu w sukience i starannym makijażu. Teoretycznie to więc nowe słowo opisujące zjawisko nienowe: tak wyglądała rzeczywistość amerykańskich kobiet z klasy średniej w latach 50. XX w.

Ale czy naprawdę? Określenie „tradwife” wywodzi się z platform społecznościowych, posługujące się tym hasztagiem influencerki śledzą miliony użytkowników i użytkowniczek, również w Polsce.

Amerykańskie tradwives to często również konserwatywne chrześcijanki. Ale w dobie TikToka i Instagrama trend szybko rozprzestrzenił się po innych krajach. Również – ku zgrozie sporej części społeczeństwa – w feministycznej Szwecji, o czym pisała niedawno w „Polityce” Katarzyna Tubylewicz.

W Polsce medialną tradycyjną żoną była m.in. Wiktoria Wilkosz, małżonka Karola, byłego asystenta Janusza Korwin-Mikkego. W obszernym wywiadzie dla magazynu „Vogue” opowiadała, że zamiast zasuwać w korporacji, woli posprzątać (najbardziej lubi pranie i odkurzanie), pójść na siłownię, przygotować dobry deser. I dodawała: „Codziennie się maluję. Bo przecież idę do pracy!”.

Tradwives budzą mieszane uczucia. Feministki podkreślają, że finansowa zależność od męża zwiększa ryzyko przemocy domowej i nadużyć, a eksperci polityki społecznej dodają, że nieodpłatna praca w domu nie daje prawa do świadczeń socjalnych, m.in. emerytury.

Trudno jednak spierać się z argumentem, że emancypacja oznacza uznanie prawa kobiety do decydowania o swoim życiu, również decyzji o skupieniu się na dbaniu o dom i rodzinę. Zwłaszcza – dodają niektórzy – że praca zawodowa wcale ich z tego obowiązku nie zwalnia. I niekoniecznie jest bardziej rozwijająca niż odkurzanie.

Kłócąc się, czy finansowa zależność od męża i realizowanie się w kuchni jest dobrym czy złym wyborem, łatwo przeoczyć kwestię kluczową: że promowany przez influencerki wizerunek skromnej strażniczki domowego ogniska jest fikcją.

Dzisiejsze tradycyjne żony, w przeciwieństwie do tych z lat 50., mają dostęp do internetu, własne konta w banku i możliwość monetyzowania zainteresowania, jakie budzi ich styl życia. Z której ochoczo korzystają.

I tu wracamy do Meghan.

Umęczona jak zwykli ludzie

Kiedy księżna Sussex, błyskając oślepiająco białym uśmiechem, przyozdabia kanapki biedronkami z pomidorków i glazury balsamicznej albo posypuje kruche ciasteczka płatkami kwiatów (jadalne kwiaty pojawiają się w tym tekście o wiele za często, a wciąż o wiele rzadziej niż w programie), czuję irytację. Nie dlatego, że nienawidzę dobrze wyglądających potraw. Sama dużo gotuję, ba, staram się, żeby jedzenie wyglądało ładnie na talerzu, i to nawet kiedy nikt nie patrzy.

Irytuję się, bo autorka programu jednocześnie przekonuje widzów, że podsuwa im proste, praktyczne sposoby ulepszenia życia. Swojego, swoich przyjaciół, a przede wszystkim dzieci – Meghan wyznaje bowiem kult matczynego umęczenia. Gdy zaproszona do programu Mindy Kaling, aktorka i producentka, oświadcza, że płaci osobie, która organizuje za nią kinderbale, księżna Sussex przekonuje: „Pokażę ci, jak zrobić to samej. Super jest móc powiedzieć, że zrobiłaś coś dla swoich dzieci”.

Jej matczyne umęczenie to oczywiście kolejna fikcja. Niejedna matka z przyjemnością plotłaby girlandy z balonów i piekła ciasteczka, gdyby nie musiała sortować prania, zbierać połamanych kredek świecowych i negocjować mycia głowy. Żadna z tych czynności nie mieści się w netflixowym kadrze. Szkoda, bo chętnie poznałabym sposób na ulepszenie doświadczenia wydłubywania resztek ciastoliny z białego dywanu.

I znów: milionerzy udający zwykłych ludzi nie są nowym zjawiskiem. Jeśli Meghan Markle jako 14-latka oglądała MTV, zna pewnie teledysk do „Common People” brytyjskiego zespołu Pulp, wydanej w 1995 r. piosenki o bogatej dziewczynie, która chce żyć jak zwykli ludzie. Ale nawet jeśli wynajmie obskurne mieszkanie, zacznie grywać w bilard w lokalnym pubie i zapomni o odebranym wykształceniu, nigdy jej się to nie uda, bo w tym świecie zawsze będzie turystką: wystarczy jeden telefon do taty i nigdy więcej nie zobaczy łażącego po ścianie karalucha.

Gospodyni „Z miłością, Meghan” podobnie jak bohaterka piosenki staje na rzęsach, by przekonać widza, że jest zwykłą dziewczyną. Ale trudno nie nucić w głowie przeboju Pulp, gdy synowa brytyjskiego króla przekonuje, że uprawianie warzyw we własnym ogródku „na dłuższą metę jest dużą oszczędnością”. Albo gdy po trzech odcinkach wyrywa się z kuchni i jedzie po zakupy, ale jedyne, co przywozi, to naręcza świeżych kwiatów. Jeśli za nie płaci, to poza kadrem. Może nie musi. A może dlatego, że kwiaty na oko są warte tyle, ile zwykła rodzina wyda na jedzenie przez tydzień.

Gwoli sprawiedliwości, targ kwiatowy nie jest jedynym miejscem, które odwiedza księżna. Bywa też na ekoryneczku i w sklepie z antykami.

Nuworysze i aspirujący

Podobnie jak influencerki, które z pomocą asystentek, profesjonalnego oświetlenia i sprzętu do nagrywania prezentują „proste życie” tradycyjnej żony, Meghan ma kontrolę nad swoim wizerunkiem – jest ona nie tylko gospodynią, ale i jego producentką. Może i na ekranie o mężu mówi dyskretnie „H”, ale już w napisach występuje jako „Meghan, księżna Sussex”.

Ujęcia z planu „Z miłością, Meghan” podbiłyby grupy dla tradwives. Ale świetnie sprawdziłyby się też z hasztagami #oldmoney, #quietluxury albo #cleangirl. To popularne na platformach społecznościowych trendy w modzie i makijażu inspirowane stylem kobiet z klas wyższych. Większość posługujących się nimi użytkowników nie urodziła się jako old money – w rodzinie gromadzącej kapitał od pokoleń; większość nie zostanie nawet new money – nuworyszami. Nie przeszkadza im to jednak dać się tej wizji uwieść.

Tak jak dali się jej uwieść młodzi wyborcy Trumpa, których zdjęcie w styczniu opublikował na okładce magazyn „New York”. Na fotografii zrobionej na imprezie z okazji inauguracji prezydenta widać dwudziestokilkulatków w muszkach i śnieżnobiałych koszulach, ich rówieśniczki w wieczorowych sukienkach – raczej nie drogich, ale drogie kopiujących. Ludzi gotowych zostać bogatymi konserwatystami.

Oni też potrzebują popkultury i też są gotowi za nią płacić. Prezesi platform streamingowych o tym wiedzą. Do niedawna amerykańska popkultura prezentowała się jako liberalna, a flagowym programem Netflixa były „Porady różowej brygady” – reality show, w którym piątka gejów jeździ po Stanach, ucząc zwykłych Amerykanów jeść sałatki, nosić dopasowane T-shirty i używać odżywki do włosów.

„Porady” były skupioną na konsumpcji telewizyjną fikcją, ale jej głównym przesłaniem było: pokochaj siebie. W programie księżnej tytułowa miłość to bat zaganiający żony i matki do kuchni.

Królowa i robotnica

O ironio, pierwszy odcinek zaczyna się od Meghan zaglądającej do ula, podczas gdy towarzyszący jej pszczelarz tłumaczy: „Pszczoły mają różne role i różne zadania”.

A przecież jeszcze niedawno Markle nie prezentowała się jako matka, żona i miłośniczka pieczenia kisz, lecz jako kobieta, która zbuntowała się przeciw narzuconej jej roli. Która przed ślubem zrobiła aktorską karierę, nie umiała się pogodzić z dworskim odklejeniem Windsorów i po powrocie do Ameryki będzie się spełniać jako producentka. Udało się. Paradoksalnie produkuje więc program, w którym opowiada o spełnianiu się jako matka i pani domu.

Trudno powiedzieć, na ile okaże się to skuteczne. „Z miłością, Meghan” zostało rozjechane przez krytyków, ale nie przeszkodziło to Netflixowi zapowiedzieć kolejnego sezonu jeszcze w tym roku. I choć część szumu program zawdzięcza ludziom, którzy – jak ja – oglądali go w pełnym niedowierzania stuporze, nie wątpię, że miał też widzów życzliwych.

Zwłaszcza że temperatura się zmienia. Strumień filmów i seriali o strasznych bogaczach słabnie. Nawet „Biały lotos” [Max] – głośna satyra na klientów luksusowych resortów – w trzecim sezonie zdaje się tracić pazur, zamiast galerii potworów prezentując bohaterów pogubionych, mających na sumieniu różne grzeszki, ale w sumie nie takich strasznych. W kilku przypadkach wręcz sympatycznych.

Może to chwilowe odchylenie. A może wręcz przeciwnie: po krótkim fantazjowaniu o zjadaniu bogaczy kultura wraca na normalne tory. Czyli do milionerek radzących nam, byśmy jedli ciastka. Posypane suszonymi kwiatkami. ●

eprasa.pl a3741fa136

ADAMMICHNIK POLECA

Polityka historyczna Putina

PAMIĘĆ POSZŁA NA WOJNĘ

A może Rosjanie zwrócą się przeciw kremlowskiej geopolityce podboju i jej oprawie historycznej? Wątła hipoteza.

Georges Mink*

Od 24 lutego 2022 r. obserwujemy coraz intensywniejsze zniekształcanie ukraińskiej historii przez Władimira Putina, który chce usprawiedliwić agresję na Ukrainę. Rodzi to pytania o związek rosyjskiej ciągłości geopolitycznej z uzasadnieniem historycznym. I tym samym o to, co znaczą dla Kremla prawo międzynarodowe i porządek światowy.

Zbigniew Brzeziński już dużo wcześniej zauważył to, co nazwał „fantasmagorią geostrategiczną". Jak zwykle doradca Jimmy'ego Cartera zawczasu wyczuł i opisał to, co się rodziło w rozbitej wydarzeniami lat 90. przestrzeni Imperium Rosyjskiego.

W błyskawicznym tempie Rosja przestała być imperium. Wszystkie tradycyjne parametry, które przewodziły rosyjskiej strategii i wizji świata, znikły z dnia na dzień. Nikt nie przewidział tempa procesu dezintegracji wiekowego rosyjskiego panowania nad wieloma narodami.

Skutkiem tego był według Brzezińskiego kryzys tożsamości narodowej: „Podczas ostatnich lat poprzedniego wieku Rosjanie szukają frenetycznie odpowiedzi na pytania, czym jest Rosja, co znaczy być Rosjaninem, gdzie Rosja się zaczyna i gdzie się kończy" („Wielka szachownica", 1997).

Rosyjscy nacjonaliści mają gotowe odpowiedzi. Putin pojawia się w momencie, gdy dostępna już jest wypracowana, wzniosła, patriotyczna narracja historyczna, która może odpowiedzieć na frustracje związane z deficytem tożsamości.

•

Wizja historycznego rewizjonizmu Putina była mu potrzebna jako usprawiedliwienie wojny w latach 2014-22. Argument historyczny towarzyszył argumentowi siły zbrojnej i zagrożenia jądrowego. Odkrywał go cały świat, który automatycznie został zaangażowany albo w związku z blokadą dostaw żywności, gazu lub nawozów, albo ze względu na wsparcie Zachodu dla Ukrainy w sferze sprzętu wojskowego czy też wsparcie pewnych autokratycznych krajów dla Rosji.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski dzięki swej strategii komunikacyjnej w dużym stopniu przyczynił się do europeizacji konfliktu i globalizacji spraw swojego kraju. Od tego czasu można się zastanawiać, jaką rolę i jaką skuteczność w strategii Putina mogą odgrywać rewizjonizm historyczny i gry pamięci historycznej.

Pozwólmy zatem przemówić samemu Putinowi, który podsumował swoje przekonania historyczne i pamięciowe w artykule z lipca 2021 r. Zatytułowany „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców" przedstawia Ruś Kijowską z IX wieku jako podstawę integrującą naród, którego kolebką jest stolica ukraińska, „matka rosyjskich miast".

„Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini są dziedzicami starożytnej Rusi, największego państwa w Europie. (...) Zrządzeniem historii centrum zjednoczenia kontynuującym tradycję dawnej ruskiej państwowości stała się Moskwa" - pisze Putin (przekład Sergiusza Kowalskiego).

Moskwa jest już nie trzecim Rzymem, ale nowym Kijowem. W 988 r. konwersja wielkiego księcia kijowskiego Włodzimierza (ok. 955-1015) na chrześcijaństwo bizantyjskie przypieczętowała duchowe przeznaczenie Rosji. Jedna z silnych hipotez głosi, że 11 wieków później motywacją Putina do prowadzenia wojny na Ukrainie jest absurdalne marzenie o wskrzeszeniu pierwotnego imperium.

Ale czy jest to wystarczająco przekonujące, by zjednoczyć Rosjan wokół idei rekonkwisty? Czy nie jest to zbyt abstrakcyjna narracja o przeszłości? Geopolityka Putina wymaga narracji historycznej, która opiera się nie tylko na zbiorowej PAMIĘCI KULTUROWEJ, ale także na PAMIĘCI KOMUNIKATYWNEJ (Aleida Assmann, „Między historią a pamięcią", Warszawa 2019). Chodzi o wciąż żywe w pamięci starszych ludzi wspomnienia świadków.

Tę ideę trzeba poddać analizie, która łączy koncepcję geopolityki z wykorzystaniem historii i pamięci historycznej.

•

W momencie swojego rozwoju na początku XX wieku myślenie geopolityczne opierało się na rodzaju teorii darwinowskiej przeciwstawiającej słabe państwa silnym. Było ono zdominowane myślą Friedricha Ratzela [geografa], który uważał, że siłą napędową tworzenia się państw jest walka o przestrzeń ży-

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

ciową. W tej logice granice państwowe ukute przez historie narodów nie miały sensu.

Osobą, która najbardziej inspirowała niemieckie strategie geopolityczne na początku XX wieku, był geograf i geopolityk, oficer sztabowy, gen. Karl Haushofer utrzymujący bliskie kontakty z przywódcami NSDAP. Jego relacje z wysokimi rangą nazistami, takimi jak Rudolf Hess, umożliwiły mu dostęp do polityki Hitlera. Jego geopolityczna koncepcja przebudowy przestrzeni życiowej Niemiec głosząca, że padły one ofiarą traktatu wersalskiego, stała się inspiracją do wojny.

Mniej więcej w tym samym czasie rozwijana była - w szczególności przez Lenina i Trockiego - sowiecka strategia geopolityczna podboju terytorialnego ukrywana pod mesjanistyczną teorią nieuchronnej rewolucji światowej, co wbrew intencjom bolszewików przyniosło im porażkę w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. Ta wojna zatrzymała armie bolszewickie, które miały za zadanie dotrzeć do ognisk rewolucyjnych w Bawarii bądź Budapeszcie.

Możemy w skrócie powiedzieć, że zderzenie tych dwóch podejść geopolitycznych skutkowało najpierw układem w Rapallo z 1922 r. (z tajną klauzulą o współpracy wojskowej), a następnie w 1939 r. paktem Ribbentrop-Mołotow.

Warto jednak przypomnieć, że Putin Lenina nie lubi, bo uważa go za odpowiedzialnego za poparcie odśrodkowych tendencji narodowościowo-wyzwoleńczych. To, że Leninowi w deklaracji o prawie narodów do samostanowienia chodziło o wyzwolenie energii rewolucyjnej proletariatów (a raczej bolszewickich awangard), które miały rozpowszechniać ideę globalnej rewolucji proletariackiej w Europie, czyli nowe imperium światowej rewolucji, nie jest zauważalne przez Putina w jego narracji.

Już gdy był wicemerem Petersburga w 1992 r., powiedział, że Lenin podłożył bombę z opóźnionym zapłonem pod Rosję sowiecką („W Rosji historia należy do państwa", „Wyborcza", „Ale Historia", 17-18 września 2022, wywiad z Bartłomiejem Gajosem). Woli pojęcie przestrzeni imperialnej w rozumieniu Stalina, czyli branie siłą i integrowanie narodów przemocą.

Po zwycięstwie w 1945 r. Stalin tłumaczył potrzebę otoczenia się strefą bezpieczeństwa wokół jedynego socjalistycznego państwa swoim obsesyjnym poczuciem prześladowania i zagrożenia, jakie dla młodej rosyjskiej rewolucji stwarzały państwa zachodnie wspierające białe armie. Uzasadniał podbój państw sąsiadujących z ZSRR za pomocą interpretowanej na swój własny sposób historii.

W stalinowskiej retoryce podbój był kamuflowany za pomocą pojęcia „przyjaznych krajów", „przyjaciół" zmuszonych do odmowy przyjęcia planu Marshalla i akceptacji RWPG oraz Układu Warszawskiego. Retoryka semantyczna Putina idzie jeszcze dalej. Putin twierdzi, że broni tych, których nazywa „naszymi współobywatelami" lub „naszymi rodakami" uciskanymi na Ukrainie.

Konieczne jest rozszyfrowanie tych słów, których pierwotne znaczenie zostało zawłaszczone. Pogląd, że pochodzenie etniczne ma pierwszeństwo przed obywatelstwem, jest koncepcją polityczną opartą na idei pseudonaturalizmu, tj. tym, że wszyscy ludzie rosyjskojęzyczni, niezależnie od ich obywatelstwa, są połączeni wspólnym klejem etnicznym, czyli krwią, i są zadłużeni wobec państwa rosyjskiego za samo swoje istnienie.

Gdy patrzy się przez pryzmat tej doktryny, powstaje pytanie: czy Łotwa (członek UE), w której mieszka duża rosyjskojęzyczna mniejszość, będzie kolejnym celem rekonstrukcji imperium sowieckiego? Czy krucha Mołdawia, która jest prawie dwujęzyczna, nie jest jeszcze bardziej zagrożona?

●

Sowiecka Rosja była targana wewnętrznymi żądaniami dotyczącymi pamięci historycznej już (bardzo krótko) podczas odwilży w 1956 r., a następnie na szeroką skalę w literaturze dysydenckiej skoncentrowanej na zjawisku Gułagu pod wpływem np. Sołżenicyna czy bardów, takich jak: Aleksander Galicz, Władimir Wysocki czy Bulat Okudżawa. Tutaj pamięć służy społeczeństwu obywatelskiemu do ujawnienia historycznej prawdy o sowieckich zbrodniach stalinowskich.

Po krótkim okresie odwilży i dojściu do władzy Chruszczowa, mimo lub właśnie z powodu dominacji ideologii marksistowsko-leninowskiej, sowiecka propaganda dążyła do konsolidacji w pamięci zbiorowej modelu militarystycznego.

Dyskurs Putina opiera się na tym dorobku. Źródła dyskursywne putinizmu mimo swojego zróżnicowania jasno wskazują dwa cele: ideę imperium i apologię wojny. Jest to wspólne tło sowietyzmu, „ortodoksyjnego" imperializmu, rosyjskiego konserwatyzmu, panslawizmu i eurazjatyzmu. Ale Putin może surfować po tym ideologicznym miszmaszu, ponieważ pamięć zbiorowa Rosjan, którzy powinni go popierać, została uformowana już w ZSRR, a następnie umocniona przez tuby propagandowe putinowskich rządów.

Do edukacji obywatela radzieckiego należało przygotowanie wojskowe, a życie spędzał on w różnych wojskowo-patriotycznych stowarzyszeniach. Kalendarz był wypełniony wojskowymi świętami; upamiętnianie walczących w „wielkiej wojnie ojczyźnianej" było obowiązkiem obywatelskim. Było to jakby zmilitaryzowanie rosyjskiej pamięci zbiorowej.

●

Po zmierzchu komunizmu i zaniku dwóch bloków ideologicznych wydarzenia upamiętniające wzmocniły się i rozmnożyły, otwierając szeroki repertuar działań i obszerną przestrzeń do rywalizowania w zakresie interpretacji bolesnej przeszłości XX wieku.

Paradygmaty pamięci łączyły się wówczas z geopolityką, która zasadniczo nie zmieniała się w aspekcie analizy przyczyn i skutków zimnej wojny. Wiemy, że osią geopolityczną struktury okresu zimnowojennego była oś Wschód - Zachód.

Podział ten częściowo przetrwał do następnego okresu, gdyż żądania dotyczące pamięci historycznej wstrząsały instytucjami europejskimi, Parlamentem Europejskim i organami wykonawczymi Unii Europejskiej oraz Zgromadzeniem Parlamentarnym Rady Europy.

Lata 90. i pierwsze lata XXI wieku przyniosły intensyfikację wymiany ciosów między stronami reprezentującymi interesy narodowe lub państwowe grup, które uważały się za poszkodowane przez II wojnę światową. W obszarze pamięci toczyła się walka o włączenie do pamięci europejskiej totalitaryzmu sowieckiego.

Ilustruje ją zawzięta dyskusja na temat asymetrii legitymizacji pamięci Unii Europejskiej, konieczności dokonania kwalifikacji komunizmu jako reżimu totalitarnego uznanego - tak samo jak reżim Hitlera - za system, do którego „nigdy więcej" nie może być powrotu.

Bitwa ta doprowadziła do próby zawarcia pojedynczych historii w jednej narracji muzealnej przedstawianej jako transnarodowa wizja w Domu Historii Europejskiej. Nie zadowoliło to w pełni różnych stron europejskiej pamięci historycznej.

Kilka transnarodowych inicjatyw odzwierciedlających zarówno oś Wschód - Zachód, jak i podział na europejską lewicę i konserwatywną prawicę zaatakowało ogólny projekt stałej wystawy w Brukseli jako ideologiczny, heglowski i neomarksistowski.

Inicjatywy te podkreślały intencjonalność luk w narracji muzealnej. Po wizycie studyjnej w 2017 r. na wystawie poświęconej historii zbrodni komunistycznych lub dwóch totalitaryzmów międzynarodowa grupa historyków i urzędników muzealnych, Platforma Europejskiej Pamięci i Sumienia, opublikowała obszerny raport krytyczny.

●

Niektórzy z tych narratorów pamięci historycznej odnosili realne sukcesy legislacyjne w Parlamencie Europejskim. W 2009 r. europarlament ustanowił 23 sierpnia dniem poświęconym pamięci ofiar dwóch totalitarnych reżimów. W związku z tym kilka państw członkowskich UE dodało do zbioru zakazanych symboli reżimu nazistowskiego symbole charakterystyczne dla propagandy komunistycznej.

Data 23 sierpnia jest silnym symbolem historycznym, ponieważ był to dzień podpisania w 1939 r. paktu Ribbentrop-Mołotow z tajnym załącznikiem przewidującym zaatakowanie Polski przez dwa paktujące kraje. Ten moment europejskiej historii geopolitycznej do dziś jest punktem zapalnym w międzynarodowych stosunkach w sferze polityki historycznej między Rosją a zachodnimi historykami, zwłaszcza w kwestii określenia, kiedy wojna rozpoczęła się dla Rosjan.

W maju 2009 r. ówczesny prezydent Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew wobec symbolicznych inicjatyw UE i Rady Europy dążących do zrównania stalinizmu (a nawet komunizmu) z nazizmem i wokół wymownej daty podziału łupów, czyli rozbioru Polski i krajów bałtyckich w konsekwencji najazdu Hitlera na Polskę, uczynił z tej historii atrybut narodowej „suwerenności".

Podczas uroczystości upamiętniających 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej i niemiecko-sowieckiego paktu prezydent Rosji powiedział: „Nie należy nazywać czarnym tego, co jest białe, nazywać agresorem tego, kto się bronił...". Te słowa były poprzedzone utworzeniem prezydenckiej komisji do zwalczania „fałszerstw" historycznych. Jej dokładna nazwa brzmi: „Komisja prezydencka do zapobiegania fałszowaniu historii, szkodzącemu interesom Rosji".

W stylu charakterystycznym dla reżimów policyjnych budowanych przez autokratów owa komisja ma za zadanie kontrolowanie wszelkich wersji pamięci historycznej i narracji historycznych, które byłyby niezgodne z oficjalną wersją narzuconą przez Kreml. Jej urzędnicy sprawdzają treści dokumentów, programów medialnych, wystąpień historycznych, wyszukując domniemane falsyfikacje faktów i interpretacji „rosyjskiej historii". W jej prerogatywach jest przygotowywanie argumentów dla wzmocnienia pozycji Rosji w debatach historycznych poza granicami Rosji.

W 2012 r. Siergiej Naryszkin, dotychczasowy szef tej komisji, staje na czele Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego z konkretnym zadaniem zwalczania rewizjonizmu historii II wojny światowej i zaproponowania szkołom jednolitej wersji podręczników historii.

Wielu rosyjskich historyków protestowało wtedy przeciwko prawdopodobnym naciskom ze strony tego organu nadzorczego, który pod pretekstem „śledzenia i zwalczania błędnych interpretacji historii za granicą" uprawomocniałby samowolę politycznej cenzury.

Po zakończeniu zimnej wojny współistniały różne sposoby interpretowania pamięci historycznej. Mnożyły się komisje historyków, takie jak ta pod przewodnictwem Anatolija Torkunowa i Adama Rotfelda, z pozytywnym przesłaniem zneutralizowania spornych punktów w polsko-rosyjskiej historii - takich jak uznanie likwidacji polskiej elity przez NKWD Stalina w Katyniu.

Przez trzy dziesięciolecia, od Jelcyna do Putina, tolerowano istnienie Memoriału, organizacji badającej i upamiętniającej zbrodnie stalinowskie. Działalność Memoriału poza rzeczywistą funkcją odkrywania bolesnej historii i utwierdzania bolesnej pamięci okresu sowieckiej przemocy odgrywała dla władzy pożyteczną rolę, bo stwarzała iluzję otwartości Rosji na krytykę historii, jej demokratycznego mimo wszystko charakteru.

Jednak w chwili, gdy nie było to już potrzebne (a zaczęło być wręcz definiowane jako szkodliwe), Memoriał okazał się „zagranicznym agentem wpływu". Biura organizacji najpierw zdemolowano, a potem zamknięto, pracowników prześladowano i prześladuje się sądownie. Działalność Memoriału nie ustała, ale musiała się przenieść do krajów demokratycznych, pozostając pod wrogim nadzorem służb rosyjskich nawet za granicą.

●

W późnych latach 90. i w pierwszych latach XXI wieku, zwłaszcza od aneksji Krymu, „ofensywa pamięci" koncentrowała się wokół „wielkiej wojny ojczyźnianej" przeciwko nazizmowi w latach 1941-45 do tego stopnia, że stała się ona obiektem mistycznego kultu.

Aby uzasadnić odbudowę imperium za pomocą środków militarnych, Putin musi mieć za sobą nie tylko swoją armię i generałów, ale również społeczeństwo. Czyli musi legitymizować działania za pomocą wizji historycznej.

Bartłomiej Gajos doskonale to streścił: „Gdyby liderzy Rosji i większość społeczeństwa uznali,

Moskwa ciągle uważa pokonanie Hitlera za podstawową legitymizację swych roszczeń do wyjątkowej pozycji w systemie międzynarodowym

◀ **Prezydent Putin zwiedza Muzeum Zwycięstwa (d. Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941-45) w Moskwie, w 77. rocznicę przełamania blokady Leningradu w czasie II wojny (27.01.2021)**
FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV/SPUTNIK /AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl a3741fa136

że wojna lat 1941-45 nie była jednak wojną wyzwoleńczą dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej, to czy Tigran Kieosajan, mąż szefowej dawnej telewizji Russia Today Margarity Simonian mógłby w swoim programie telewizyjnym mobilizować (...) do wsparcia agresji na Ukrainę stwierdzeniem, że ci Rosjanie, którzy występują z hasłem: »Nie dla wojny«, mówią jednocześnie: »Nie dla Wielkiej Wojny Ojczyźnianej«" („Czy Armia Czerwona wyzwoliła Europę od faszyzmu?", „Mówią Wieki", maj 2022).

Putinowska geopolityka rosyjskich podbojów nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną zweryfikowaną przez podejście naukowe. Liczy się tylko skuteczność mobilizacyjna narracji.

Aby osiągnąć ten efekt, trzeba wykorzystać pewną formę pamięci, „reaktywną pamięć Rosjan". Jest to pamięć o II wojnie światowej. „Wielka wojna ojczyźniana" nie jest „miejscem pamięci" (à la Pierre Nora), chociaż ma kilka symbolicznych geozlokalizowancyh punktów, takich jak bitwa o Stalingrad czy sowiecka flaga osadzona na Reichstagu w Berlinie. Jest raczej „depozytem pamięci".

Ten koncept przez swoją metaforyczną konotację oznacza więcej niż tylko „miejsca pamięci", to DEPOZYT ZASOBÓW, który można bezustannie przetwarzać w aktualnych rozgrywkach politycznych lub geopolitycznych. Różni aktorzy wykorzystają ten „depozyt zdarzeń terytorialnych lub wyobrażonych" jako symboliczny materiał potrzebny do podtrzymania rywalizacji.

W przypadku „wielkiej wojny ojczyźnianej" jest to żywy materiał historyczny. Oparty jest, jak to metaforycznie wyraził Adam Michnik, na „egoizmie bólu" związanego z kosztami ludzkimi poniesionymi przez Sowietów oraz na wzmacnianiu dumy ze zwycięskiego poświęcenia.

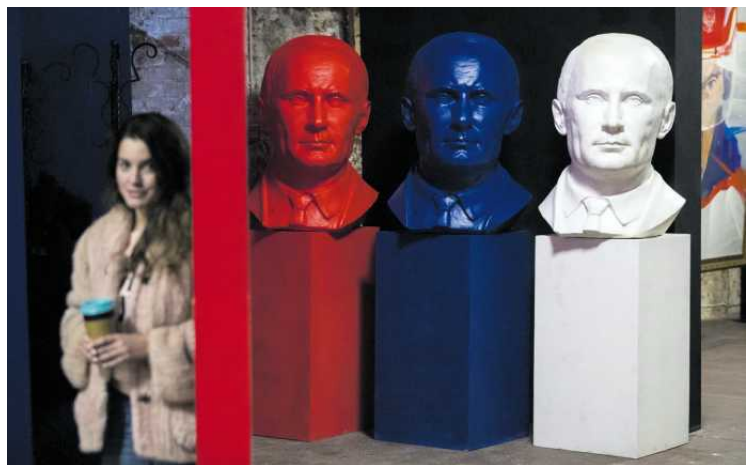

▼ **Głowy Putina w barwach narodowych na wystawie SUPERPUTIN w galerii UMAM (Muzeum Sztuki Ultranowoczesnej) w Moskwie. Wystawiono tam w sumie 30 obrazów i rzeźb Putina w różnych superbohaterskich pozach i sytuacjach. (7. 12.2017 r.)**

FOT. PAVEL GOLOVKIN/ AP/EAST NEWS

Liderzy rosyjscy po 1945 r. przywłaszczyli sobie monopol semantyczny stygmatyzującego słownictwa. Tylko oni, a szczególnie Putin od czasu dojścia do władzy, mają prawo uznać kogoś za nazistę, jakiś kraj za rewizjonistyczny, tęskniący za hitleryzmem. Według Putina winni wybuchowi II wojny światowej są wszyscy, ale nie ZSRR.

Nie ulega oczywiście wątpliwości, że ZSRR jako członek koalicji antyhitlerowskiej odegrał ogromną rolę w zwycięstwie. Poniósł przy tym wielomilionowe straty w ludziach i straszliwe straty materialne. Jednak nie jest to cała prawda. Całe zwycięstwo i całą jego krwawą cenę zapisano na konto ZSRR, a potem Rosji, choć większość z nich dotknęła zachodnie - białoruskie i ukraińskie - części państwa.

Może jest to zbyt wielkie uproszczenie, ale można powiedzieć, że pełnię chwały Moskwa przyznała sobie, zrzucając na Bałtów, Ukraińców czy Białorusinów tak drażliwe tematy jak kolaboracja z Hitlerem czy współudział w Holokauście. Ofiary i zasługi stały się radzieckie, winy powiązano z nacjonalistami i faszystami.

• **Więcej: Wyborcza.pl/magazyn**

Represje, które spadły na opanowane przez Armię Czerwoną kraje, wyparto w sferę tabu.

Putin jest tym bardziej przekonany o skuteczności tej narracji, im bardziej podbudowuje argumentację własną historią rodzinną, innymi słowy: „pamięcią komunikatywną".

Przypomnijmy chociażby słynny tekst Putina „75 lat od Wielkiego Zwycięstwa. O wspólnej odpowiedzialności przed historią i przyszłością" (2020).

Pisał: „Przyzwyczailiśmy się mówić, że wojna pozostawiła głęboką, niezagojoną ranę na historii każdej rodziny. (...) Dla moich rodziców wojna jest synonimem cierpienia oblężonego Leningradu, gdzie zginął mój dwuletni brat Witia i gdzie moja matka cudem przeżyła. Mój ojciec zgłosił się na ochotnika do obrony miasta, podobnie jak miliony innych Rosjan"; został ciężko ranny.

Już samo to wystarczy, aby ustalić związek z bieżącymi wydarzeniami. Znamienne jest to, że słowa te skierowane są do ludzi z Zachodu, jakby miały ich przekonać o międzypokoleniowej podstawie legalności „operacji specjalnej" przeciwko Ukrainie. Putin: „Bezinteresowność, patriotyzm, miłość do domu, do rodziny i do ojczyzny pozostają podstawowymi i ciągle niezbędnymi wartościami dla społeczeństwa rosyjskiego".

Putin buduje w swojej narracji obraz zjednoczonego doświadczeniem historycznym narodu gotowego do największych poświęceń: „Dla mnie i dla mojego pokolenia ważne jest, aby nasze dzieci, wnuki i prawnuki zrozumiały próby i cierpienia znoszone przez ich przodków"; oni „bronili swoich domów, swoich dzieci, swoich bliskich, swoich rodzin. Ale łączyła ich ta sama miłość do kraju, do ojczyzny".

Putin podkreśla kreatywność społeczną niezbędną do stałej odnowy depozytu pamięci o „wielkiej wojnie ojczyźnianej". W tymże artykule zwraca uwagę na inicjatywy oddolne, które tworzą nowe tradycje. Jak np. Nieśmiertelny Pułk:

„Jest to marsz w imię naszej wdzięczności ich pamięci, więzi krwi, ciągle żywotnej, międzypokoleniowej. Miliony osób defilują na ulicach z fotografiami członków ich rodzin, tych, którzy bronili ojczyzny i zmiażdżyli nazizm. To oznacza, że ich życie, ich ofiarność i poświęcenie, próby, przez które przeszli, i zwycięstwo, które nam dali, nie pozostaną nigdy zapomniane".

Oczywiście wiele zmieniło się w ciągu ostatnich dekad. Europa Środkowa i Wschodnia odzyskały niezależność i głos w debatach historycznych. Jednak Moskwa ciągle uważa pokonanie Hitlera za podstawową legitymizację swych roszczeń do wyjątkowej pozycji w systemie międzynarodowym. Alergicznie reaguje na wszystko, co uważa za podważanie dogmatu własnych zasług i związanego z tym rzekomego prawa do wiecznej wdzięczności.

Od powrotu Putina na Kreml w 2012 r. pamięć o walce Armii Czerwonej stała się kamieniem węgielnym rekonstrukcji wizji rosyjskiej historii. Celem jest nadanie krajowi stałej i mitycznej tożsamości - narodu, który może być tylko ofiarą w obliczu agresorów, którzy mogą być tylko nazistami.

Czy po 2014 r., gdy Rosja jawnie staje się agresorem w stosunku do demokratycznego i suwerennego kraju, brutalnie podważa prawo międzynarodowe i wyśmiewa opinię zdecydowanej większości państw świata, upada ostatecznie mit ZSRR/Rosji jako pogromczyni hitleryzmu, obrończyni pokoju i wybawicielki Europy? Coraz częściej pada to pytanie. Coraz częściej konfrontacje wersji historii i odwołania do ludzkiej pamięci podważają sfingowane narracje rosyjskich ideologów.

Coraz częściej pojawia się interpretacja przebiegu i skutków II wojny światowej nie tyle jako wspólnej obrony cywilizacji wraz z ZSRR, ile zmagania dwóch najgorszych w dziejach reżimów, w których jeden z nich wykorzystał współpracę z demokracjami jako atut w walce i punkt wyjścia do późniejszej ekspansji.

Pseudohistoryczne dywagacje Putina, który czuje się uprawniony do oceny dzisiejszej Ukrainy i Ukraińców (a pewnie w podobnym stylu i reszty mieszkańców postradzieckiej przestrzeni), i całości jej tysiącletniej historii, wydają się szaleństwem. Jednak jest to element całej agresywnej, a właściwie wojennej kampanii. Także w wymiarze ideowym, na polu narracji o historii Zachód nie jest jednolity i ma trudności z daniem odporu prorosyjskiej propagandzie.

Rosja musi być oceniana z uwagi nie na wojnę zakończoną prawie 80 lat temu, lecz tę wywołaną przez siebie w lutym 2022 r. A używa w niej metod, które to ją umieszczają w jednym szeregu z samowolnymi agresorami, w tym z Hitlerem.

Praktykowała je w Czeczenii, wobec Gruzji, na pograniczu z Mołdawią, wreszcie w Syrii, a teraz zastosowała na wschodzie Europy. Znamienne, że na różnych karykaturach twarz Putina łączona jest właśnie z obliczem wodza III Rzeszy. To uniwersalizuje przekaz, mocniej przemawia do odbiorców na całym globie.

Możemy także założyć, że Putin potrzebował historycznych wymówek tylko do tego, by uzasadnić rozpoczęcie geopolitycznej awantury, ale gdy zaczęły przemawiać działa, jego memorialny dyskurs stał się niewyraźny i niespójny. Być może dlatego, że pamięć o daninie krwi, jaką zapłaciła Rosja sowiecka i zależna od niej ukraińska część populacji między 1941 a 1945 r., ożywiła refleksję nad znaczeniem dzisiejszych cierpień związanych z obfitym strumieniem rosyjskiej i ukraińskiej krwi przelewanej w wojnie przeciwko Ukrainie.

Czy stwarza to szanse, że rosyjskie społeczeństwo zwróci się przeciwko geopolityce podboju i jej oprawie memorialnej? Niestety, na dziś wygląda to na wątłą hipotezę. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Georges (Jerzy) Mink

• ur. w 1946 r., polsko-francuski socjolog i politolog. Wieloletni dyrektor ds. badań we francuskim centrum naukowym CNRS, profesor w Kolegium Europejskim w Natolinie. Tytuł tekstu – „Wyborcza".

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Czesław Miłosz

Do polityka

Kto ty jesteś człowieku – zbrodniarz czy bohater
Ty, którego do czynu wychowała noc.
Oto starca i dziecka w ręku dzierżysz los
I twarz twoja zakryta
Jak golem nad światem.

Czy obrócisz w popioły miasto czy ojczyznę?
Stój! Zadrżyj w sercu swoim! Nie umywaj rąk!
Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom!
Twoja jest waga i twój jest miecz.
Ty ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją
Ocalasz albo gubisz
Pospolitą rzecz.

Ty jesteś dobry i w gronie rodziny
Pieściłeś nieraz blask dziecinnych głów.
Ale jeżeli przeklnie ciebie – milion rodzin?
Biada! Co pozostanie z twoich dobrych dni?
Co pozostanie z twoich krzepkich mów?
Ciemność nadchodzi.

Gwarne miasta i pola, kopalnie, okręty
Na twojej dłoni, ludzkiej, jakże ludzkiej.
Patrz. Linia twego życia tędy będzie szła.
Trzykroć błogosławiony
Po trzykroć przeklęty
Władco dobra
Albo władco zła.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wiersz z tomu „Światło dzienne" (1953)

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; **PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:** Roman Imielski; **ZASTĘPCY:** Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl a3741fa136

Za pięć trzynasta

Mara się przelała. I miara też

A jeśli teraz piszę to krótkie memento, to dlatego, że zło powraca i dusi, tyle tylko, że ja nauczyłem się przed nim bronić. Ale uwaga: bronię siebie samego. Tylko siebie. I nie wiem jak sprawić, żeby była to również obrona społeczna

Jarosław Mikołajewski

Ta myśl nie ma związku ze śmiercią pani Barbary Skrzypek, choć przyznaję, że zrodziła się w dniach, w których ludzie z PiS próbowali powiązać ją z przesłuchaniem w prokuraturze: zbyt rzadko i zbyt powierzchownie zdajemy sobie sprawę z wpływu, jaki politycy mają na życie.

Nie na to udawane, które jest grą, lecz na to z krwi, kości, sporadycznych radości i częstych zasmuceń. Ci, którzy twierdzą, że doświadczyli tego na własnej skórze, nie mają nic na poparcie swojego przekonania, a przecież ono w nich jest – silniejsze niż gdyby było poparte tysiącem dowodów fizycznej, metafizycznej czy filozoficznej natury.

Po tym, jak półtora miesiąca temu padłem jak długi na centralnym placu w Warszawie, i przez jakiś czas byłem gdzieś poza życiem, leżąc w szpitalu chowałem w sobie przed światem najgłębszą pewność, że utratą przytomności płacę za ośmioletnie rządy Kaczyńskiego, Ziobry i ich towarzystwa. Było tak, jak gdyby przesypała się, czy przelała jakaś miara. (Jakaś mara – napisało mi się przez pomyłkę, i nie miałem ochoty poprawiać tego przejęzyczenia).

Osiem lat głupoty, nieszczerości, codziennego podważania tego, co jest podstawą jasnego wymiaru mojego życia. Retoryki krzyku i donosu, praktyki podlizu i donosu. Niekompetencji i pychy najwyższych urzędników. Chamstwa w języku tak zwanych elit (utożsamianych coraz szerzej z miejscem w hierarchii).

Ale nie chodzi tylko o tych osiem lat. Poprzedziły je epizody bezwstydnej buty także po „mojej” stronie, stronie demokratycznej, które przyczyniły się do tragicznej nie tylko w wymiernych skutkach, lecz także w odczuwalnej poetyce wygranej wyżej wymienionych.

Ze szczerym zawstydzeniem, jako dyrektor Instytutu Polskiego w Rzymie, patrzyłem na zachowania niektórych przedstawicieli PO, przepowiadając zbyt łatwo, że ich sposób bycia utoruje drogę politycznej łobuzerii, stronniczości.

I nie kończy się tych osiem lat na szczęśliwym (tak, szczęśliwym na miarę mojej euforii) zwycięstwie formacji skrzykniętych przez Donalda Tuska 15 października 2023 roku. Posłuchajmy co mówią ci, którzy odeszli od władzy, i jak mówią w tych częstych i długich chwilach kiedy wolne i niewolne media zapraszają ich niesłusznie do studia (a niesłusznie dlatego, że nie stanowią o pluralizmie, lecz o żywotności przestępstw).

Odnotujmy, jak brutalnie poświadczają mentalną zmianę, która polega na utracie instynktu wstydu. Powroty do polityki tych, którzy kompromitując się spadli poniżej poznanego poziomu. Apele o wolność mediów ze strony ludzi winnych wykluczania, uciszania, przemilczania, jednostronności, tendencyjności.

Na potworny obraz uprawiania „służby publicznej” ze strony PiS nakładały się procesy degeneracji w instytucjach odpowiedzialnych za mówienie prawdy, za inspirowanie do nadziei, promowanie wolności, zastępowanie Jezusa na ziemi, jak Kościół. Z perspektywy szpitalnego łóżka intuicja, że nie ja jeden padłem ofiarą klerykalnej bandy, krystalizowała się we mnie i sublimowała, powodując na szczęście oczyszczenie i uwolnienie, na której to drodze – drodze „trzeźwego smutku” (Andrzej Kotański), zdystansowania, rozrzedzenia kreaturalnych konturów, idę w tej chwili.

A jeśli teraz piszę to krótkie memento, to dlatego, że zło powraca i dusi, tyle tylko, że ja nauczyłem się przed nim bronić. Ale uwaga: bronię siebie samego. Tylko siebie. I nie wiem jak sprawić, żeby była to również obrona społeczna. Niezbędna – powtarzam – do tego, żeby jakaś jednostka nie padła, tym razem już śmiertelnie, na kolejnym placu, przywalona politycznym i społecznym gównem.

Przy czym jestem świadomy, że dzisiejsze gówno jest bardziej podstępne, trudniejsze do rozpoznania. Pachnie białymi koszulami, mechaniczną mową, papierową trawą, mediami społecznościowymi, obojętnością na siebie i na własny odrażający przekaz. Na to, czy słowa głoszą faszyzm czy humanizm, wszystko jedno, bo ważne jest jedynie to, czy łatwo wchodzą do sformatowanych głów i wywołują wyborczy efekt.

Tak więc – czuję się ofiarą ośmiu lat rządów PiS, lecz jestem daleki tego, by twierdzić, że nią (ofiarą) jestem. Inną rzeczą jest wewnętrzna, nawet niesprawiedliwa pewność, inną – publiczne oskarżenie. Jako poeta, mam prawo wołać: „Oskarżam!”. Ale i tak nie oskarżam. Referuję odczucia. I nie pozywam politycznych łobuzów za atak.

To jakiś mój wewnętrzny defekt, ale każdy felieton uważam (wbrew logice, w tej innej, niewytłumaczalnej prawdzie) za szansę, którą muszę wykorzystać do końca – żeby powiedzieć coś blisko wszystkiego. Dlatego skorzystam z okazji i dodam, nie całkiem bez związku z moim głównym wywodem, że mamy obowiązek mówić szanowanemu premierowi o naszych buntach wobec jego decyzji. A jeśli tak, to po raz nie wiem już który dodam, że zawieszenie prawa azylowego jest błędem. I proszę, żeby pan premier nie miał mi tego za złe. Wystarczy, że mają mi za złe niektórzy z przyjaciół, przekonani, że przysparzam głosów populistom.

Kiedy znikną ludzie sprzeciwu wobec negatywnych w ich ocenie szczegółów „ogólnie” pozytywnej polityki, krytycy Mentzena i Nawrockiego nie będą mieli się na co i na kogo powołać. I może na tym głównie polega ten błąd, któremu przyglądam się z przyjazną, choć dramatyczną niezgodą. Ze smutkiem towarzyszę „namysłom” prezydenta, których treść bym musiał podzielać, gdybym nie widział w nich perfidnej i lekkomyślnej rozgrywki. ●

REKLAMA Kraj/34369019

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

ALE HISTORIA

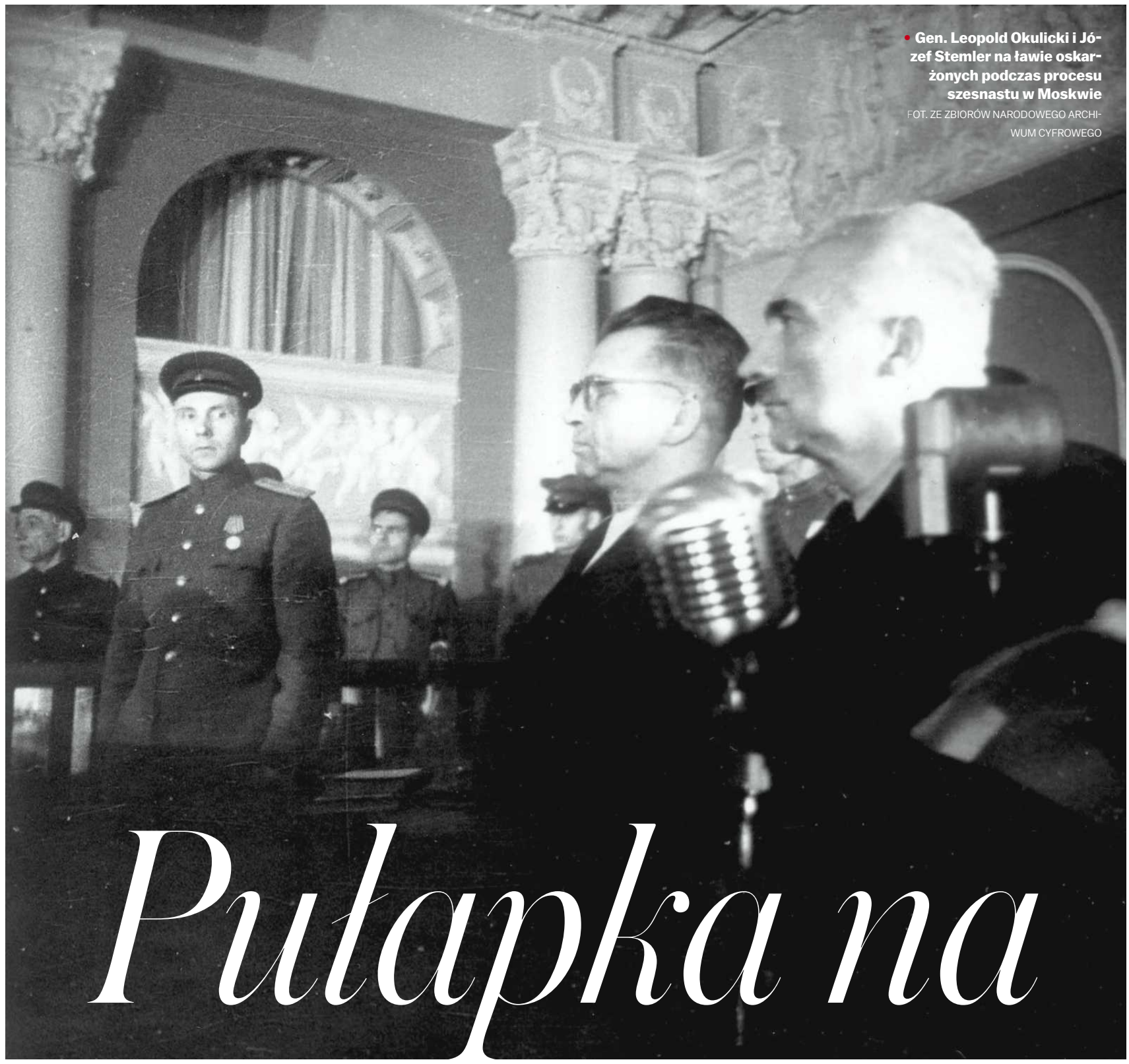

Gen. Leopold Okulicki i Józef Stemler na ławie oskarżonych podczas procesu szesnastu w Moskwie

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Pułapka na 16

Generał Okulicki miał problem z dotarciem na spotkanie z Sowietami. Nie zdążył na pociąg, a samochód, który go podwoził, się zepsuł. Za palto i trochę pieniędzy pożyczył więc rower. Mija 80 lat od aresztowania szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

Sebastian Pawlina

Wcześniej Okulicki otrzymał list datowany na 6 marca 1945 roku i podpisany przez sowieckiego pułkownika Konstantina Pimienowa. Treść utrzymana była w serdecznym tonie. Pułkownik zapraszał na rozmowy polskich konspiratorów i zapewniał, że włos im z głowy nie spadnie:

„Co do mnie, to ja jako oficer Armii Czerwonej, któremu przypadła w udziale tak ważna misja, daję Wam pełną gwarancję, że od momentu, kiedy Wasz los będzie zależny ode mnie (po przyjeździe do nas), będziecie w całkowitym bezpieczeństwie”.

Przywódcy podziemia mu uwierzyli.

OPÓR ALBO WSPÓŁPRACA

Kto będzie rządził Polską? To pytanie u schyłku wojny nurtowało wszystkich. Faworytem byli komuniści, za którymi stały sowieckie bagnety, podczas gdy za rządem na uchodźstwie jedynie moralne oburzenie opinii światowej. Sojusznicy nie mieli zamiaru rozdzierać szat w sprawie Polski. 3 grudnia 1944 premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill przekazał Stalinowi, że postara się, by nowy rząd emigracyjny Tomasza Arciszewskiego, następcy Stanisława Mikołajczyka, nie zagroził jedności sojuszniczej.

Kraj i emigracja rozjeżdżały się w ocenie rzeczywistości i planach. Władze podziemia powoli skłaniały się ku rozmowom z Sowietami, politycy emigracyjni coraz bardziej usztywniali swoje stanowisko. Premier Arciszewski w depeszy z 31 grudnia 1944 roku do Jana Stanisława Jankowskiego, delegata rządu na kraj, oczekiwał od Rady Jedności Narodowej, konspiracyjnego parlamentu, oświadczenia o „wyłącznym uznaniu” rządu emigracyjnego i deklaracji, że „PKWN nie reprezentuje żadnego odłamu społeczeństwa polskiego, jest instytucją obcą i narzuconą”.

Pięć dni po tej depeszy Rada Narodowa RP w Londynie podjęła dodatkowo uchwałę, że nie uznaje Rządu Tymczasowego (powstał 31 grudnia 1944 w miejsce PKWN), a jego akty i zarządzenia uważa za pozbawione mocy prawnej.

26 stycznia Jankowski dostał z Londynu kolejną instrukcję: ujawnianie się władz podziemia przed Sowietami nie powinno być brane pod uwagę.

Ale w końcu lutego, dwa tygodnie po zakończeniu konferencji jałtańskiej, nadeszła następna: wobec postanowień z Jałty podziemie ma dwa wyjścia: trwać w oporze i domagać się od aliantów dotrzymania zobowiązań, do czego ich Londyn zachęcał, albo pójść z Sowietami na współpracę.

ZAPRASZAM NA SZCZERĄ ROZMOWĘ

W tym czasie Sowieci intensywne szukali sposobu, jak rozprawić się z podziemiem. Odpowiedzialnym za to zadanie został gen. Iwan Sierow, zastępca Ławrentija Berii na stanowisku szefa NKWD. Miał duże doświadczenie. W 1940 roku organizował deportacje Polaków ze wschodnich województw II RP, a od lata 1944 zajmował się wyłapywaniem AK-owców w Wilnie i w Lublinie. Pomagał też tworzyć polski aparat bezpieczeństwa. Polska bezpieka miał sama prowadzić walkę z podziemiem, ale wobec braku kadr zostawiła to w rękach Sierowa.

Od połowy października 1944 do początku stycznia 1945 jego oddziały aresztowały

eprasa.pl a3741fa136

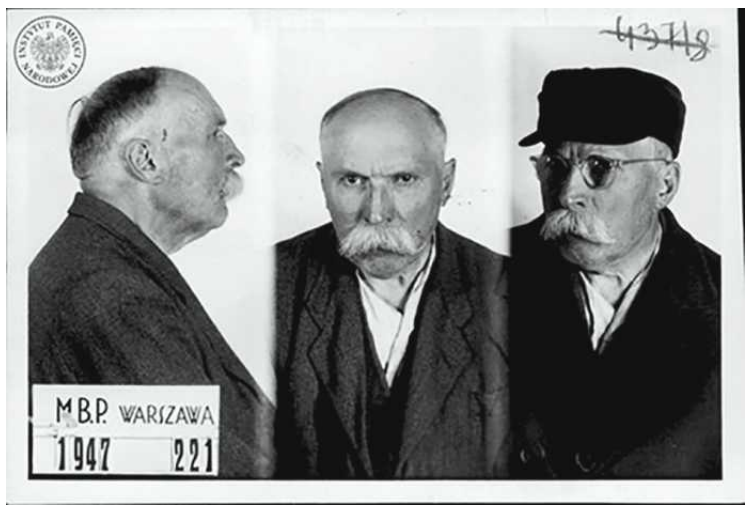

▲ **Willa przy ul. Pęcickiej 5 (dziś Armii Krajowej 11), do której zwabiono przywódców podziemia**

▲▲ **Kazimierz Pużak na zdjęciu z 1947 roku, wykonanym tuż po aresztowaniu przez polską bezpiekę**

FOT. ZE ZBIORÓW IPN (2)

Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego

Proces szesnastu rozpoczął się w Moskwie 18 czerwca 1945 roku

Wyroki:

- **Gen. Leopold Okulicki**, ostatni dowódca AK – 10 lat, zmarł w więzieniu w Moskwie w 1946 roku, być może zamordowany.
- **Jan Stanisław Jankowski**, delegat rządu na kraj – 8 lat, zmarł w więzieniu we Włodzimierzu w 1953 roku.
- **Adam Bień,** działacz Stronnictwa Ludowego „Roch" – 5 lat, zwolniony w 1949 roku, zmarł w 1998 w Warszawie.
- **Stanisław Jasiukowicz**, wiceprezes Stronnictwa Narodowego – 5 lat, zmarł w więzieniu w Moskwie w 1946 roku.
- **Kazimierz Pużak**, przewodniczący Rady Jedności Narodowej, współtwórca Polskiej Partii Socjalistycznej „Wolność, Równość, Niepodległość" – 1,5 roku. Po powrocie do Polski skazany na 10 lat, zmarł w więzieniu w Rawiczu w 1950 roku.
- **Kazimierz Bagiński**, wiceprzewodniczący Stronnictwa Ludowego – 1 rok. Zmuszony do emigracji, zmarł w 1966 roku w Phoenix.
- **Aleksander Zwierzyński**, prezes zarządu SN – 8 miesięcy, zmarł w Łodzi w 1958 roku.
- **Kpt. Eugeniusz Czarnowski**, żołnierz AK, prezes Zjednoczenia Demokratycznego – 6 miesięcy, zmarł w 1947 roku w Warszawie.
- **Józef Chaciński**, prezes Stronnictwa Pracy – 4 miesiące, zmarł w 1954 roku w Górze Kalwarii.
- **Stanisław Mierzwa**, działacz SL – 4 miesiące. Po powrocie z ZSRR skazany na 10 lat za działalność w PSL, wyszedł na wolność w 1953 roku, zmarł w 1985 w Krakowie.
- **Zbigniew Stypułkowski**, działacz SN – 4 miesiące. Po powrocie emigrował, zmarł w 1979 roku w Londynie.
- **Franciszek Urbański**, działacz SP – 4 miesiące, zmarł w 1949 roku w Warszawie.
- **Stanisław Michałowski**, wiceprezes ZD – uniewinniony, po powrocie skazany na 9 lat. Wyszedł w 1953 roku, zmarł w Kórniku w 1984.
- **Kazimierz Kobylański**, przedstawiciel SN – uniewinniony. W 1947 roku skazany w Polsce na 8 lat wyszedł w 1954, zmarł w 1978 w Warszawie.
- **Józef Stemler**, wiceszef Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj – uniewinniony. W 1955 roku skazany na 6 lat (po amnestii na trzy), zmarł w 1966.
- **Antoni Pajdak**, działacz PPS-WRN, nie przyznał się do winy, sądzony w odrębnym procesie – 5 lat. Po odbyciu kary zesłany na Syberię, gdzie pracował jako drwal. Wrócił w 1955 roku, w PRL działacz KOR. Zmarł w 1988 roku w Warszawie.

13 142 osoby podejrzewane o udział w konspiracji. AK-owcy byli torturowani i zabijani. 1 lutego komendant okręgu Białystok donosił: „ [NKWD] bada w bestialski sposób drutem kolczastym, kłuje szpilki za paznokcie, łamie żebra i wszystkich wywozi do Rosji".

Miesiąc później Jankowski również informował Arciszewskiego o aresztowaniach:

„Penetracja NKWD jest tak intensywna, że niebezpieczeństwo dla nas i aparatu jest groźne".

Sowieci od tygodni zaciskali pętlę wokół przywódców podziemia. W raporcie dla Berii z przełomu marca i kwietnia 1945 roku Sierow pisał, że do ich namierzania i aresztowań NKWD wykorzystało „legalizujących się oficerów »Polskiej Armii Ludowej«, którzy wyszli z podziemia".

Chodzi o gen. Stanisława Pieńkosia „Skałę" i płk. Zygmunta Zielińskiego „Burzę", którzy nawiązali kontakt z byłymi oficerami AK, mjr. Lucjanem Milewskim „Baczyńskim" i kpt. Zbigniewem Woroniczem „Jurgarem", przez których chcieli dotrzeć do gen. Okulickiego. Po miesiącu doprowadzili do spotkania „Baczyńskiego" i „Jurgara" z płk. Konstantinem Pimienowem, wykonawcą placu Sierowa, który wiedząc, że jest zbyt rozpoznawalny, skrył się pod nazwiskiem Iwanow.

4 marca Pimienow spotkał się z Milewskim i Woroniczem w Pruszkowie i przekonywał ich, że Sowieci są otwarci na szczerą rozmowę i poprawę stosunków. AK-owcy mu nie uwierzyli, ale enkawudziście udało się ich nakłonić, aby przekazali listy od niego Okulickiemu i Jankowskiemu.

CHCEMY SIĘ UJAWNIĆ

„Do Generała Brygady Niedźwiadka. Moje dobre życzenia, które bez wątpienia, jak przypuszczam, znajdą u Was żywy oddźwięk i szacunek, zmierzają do tego, aby zaproponować Wam spotkanie z Generałem-Pułkownikiem Iwanowem, przedstawicielem dowództwa 1. Białoruskiego Frontu", zaczynał Pimienow swój list do Okulickiego. Tłumaczył, że zależy mu na wzajemnym zrozumieniu i zaufaniu, które pomogą „załatwić bardzo poważne sprawy i nie dopuścić do ich zaostrzenia".

Żeby zachęcić Jankowskiego i Okulickiego do spotkania, umieścił w tekście zacytowaną na początku gwarancję bezpieczeństwa.

Od tego momentu wydarzenia zaczęły toczyć się w coraz szybszym tempie.

9 marca ambasador RP w Wielkiej Brytanii Edward Raczyński przekazał brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Anthony'emu Edenowi nazwiska czterech polskich polityków uznanych za szczególnie zagrożonych: Antoniego Pajdaka, Stanisława Jasiukowicza, Adam Bienia (pod pseudonimem) i Jankowskiego. Lista miała dać aliantom możliwość szybkiego interweniowania, gdyby któryś został aresztowany, a im samym złudne poczucie bezpieczeństwa.

Również 9 marca przedstawiciele Stronnictwa Ludowego w Polsce poinformowali Londyn, że chcą się ujawnić.

Dwa dni później Jankowski wysłał Arciszewskiemu opis zaproszenia na spotkanie i wyjawił, że zamierza iść na rozmowę z Pimienowem. Jednym z motywów mogła być złość na polityków w Londynie. W innym piśmie Jankowski wyrzucał rządowi, że nie informuje kraju o tym, co istotne, nie przekazuje ważnych dokumentów i nie dostarcza pieniędzy. „To wszystko – biorąc jeszcze pod uwagę niezmiernie ciężkie warunki naszej pracy, a wygodne waszej, wywołuje u nas niesłychane oburzenie, gorycz oraz wytwarza opinię, że nie ma co oglądać się na Londyn" – napisał.

Ten brak zaufania wobec Londynu sprawił, że u Pimienowa zaczęli się pojawiać różni rozmówcy. Pierwszy, 14 marca, przybył wysłannik Jankowskiego Józef Stemler-Dąbski, który miał zweryfikować dobrą wolę Sowietów. Po spotkaniu był zadowolony, więc Jankowski trzy dni później również pojawił się u Pimienowa. W sprawozdaniu dla Arciszewskiego datowanym na 20 marca opisał m.in. rozmowy pułkownika z przedstawicielami Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Pracy oraz Stronnictwa Narodowego. Tym ostatnim Pimienow oznajmił, że Rząd Tymczasowy będzie musiał się podporządkować dowództwu 1. Frontu Białoruskiego, czyli gen. Iwanowowi.

Był to blef obliczony na przekonanie Polaków, że rozmowa z przedstawicielami Armii Czerwonej może wpłynąć na losy Polski.

Jankowski zapewniał Londyn, że Sowieci „przykładają wielką wagę do rozmów, uważają sprawy za pilne i o ile umożliwią wyjazd delegacji do Londynu – będzie to realnym dowodem dobrej woli". Dodał, że RJN zdecydowała się na ujawnienie, a „u pozostałych – SN i SP jest podobna tendencja. O PPS jeszcze nie wiemy".

Pięć dni później w meldunku do sztabu Naczelnego Wodza udział w rozmowach zapowiedział Okulicki.

TAKA BYŁA RACJA STANU

Sierow również o wszystkim informował zwierzchników. Pisał m.in. do Berii:

„Ten plan jest obliczony na zatrzymanie kierownictwa pięciu partii politycznych, wchodzących w skład rządu podziemnego, wicepremiera Jankowskiego, a także zatrzymanie przedstawicieli partii tworzących podziemną »Radę Jedności Narodowej«".

O tej „kombinacji", jak nazywano operację, poinformowani zostali Bolesław Bierut i premier Edward Osóbka-Morawski. Według Sierowa poprosili jedynie, aby przed aresztowaniami mogli wskazać tych, których spróbowaliby przeciągnąć na swoją stronę. Przy czym takich ludzi – zaznaczyli – jak Jankowski uważają za „sprawców walki bratobójczej narodu polskiego" i powinni oni zostać pociągnięci do odpowiedzialności.

Wtajemniczenie Bieruta i Osóbki-Morawskiego o mało nie zakończyło operacji fiaskiem. Opowiedzieli oni o akcji członkom Komitetu Centralnego PPR i to stamtąd prawdopodobnie podziemie otrzymało ostrzeżenie. Dzień przed zaplanowanym spotkaniem na posiedzeniu RJN Adam Bagiński odczytał karteczkę. „Treść jej była ostrzeżeniem przed udawaniem się na konferencję ze stroną rosyjską. Wywód: pewne aresztowanie. Wiadomość tę potraktowaliśmy jako zupełnie widoczną próbę storpedowania konferencji" – wspominał Pużak.

Uznali, że jak nie stawią się w wyznaczonym miejscu, to Sowieci uznają, że podziemie unika spotkań, bo ma na sumieniu „akty antyradzieckie i oczywiście dąży do wojny z ZSRR". To były główne zarzuty, które stawiał wcześniej Pimienow.

Ostatecznie, jak stwierdził Pużak: „racja stanu wymagała bez względu na to, co wyniknie, stawiennictwa naszych osób".

OKULICKI POŻYCZA ROWER

We wtorek 27 marca Kazimierz Pużak dotarł z Warszawy do Pruszkowa około 8.30. Po drodze kupił jeszcze cztery bułki. W willi przy ul. Pęcickiej 5 (dziś Armii Krajowej 11) powitał go Pimienow, który wyraził nadzieję, że niebawem spotkają się z gen. Iwanowem, a może nawet i z marszałkiem Gieorgijem Żukowem. Pużak razem z Jankowskim rozpoczęli wstępne rozmowy o warunkach ujawnienia się i o współpracy z Rządem Tymczasowym. W przerwie w dyskusji poszli na obiad.

Wtedy przyjechał Okulicki, który miał problem z dotarciem. Nie zdążył na pociąg, a zatrzymany samochód, którego kierowca zgodził się go podwieźć, się zepsuł. Ostatecznie za palto oraz trochę pieniędzy udało mu się pożyczyć rower. W komplecie usiedli do stołu.

Pużak zapamiętał, że „była wódka, wino, zakąski i normalny obiad: zupa z pierożkami, mięso, jakieś słodycze i owoce".

Sytuacja stawała się jednak napięta. Sowieci rozmawiali, ściszając głos, co chwila ktoś wchodził i wychodził. Pimienow odbierał raporty. W końcu zarządził, że czas jechać do Iwanowa. Całą trójkę wyprowadzono na podwórze i wsadzono do samochodów. W jednym Pużak i Jankowski, w drugim Okulicki. Zawieziono ich do Warszawy, na Pragę, do budynku należącego do NKWD. Mieli czekać. Pużak zrozumiał, że znaleźli się w pułapce. Musiał się tylko upewnić.

„W tym celu zwróciłem się o wskazanie mi ustępu. Po porozumieniu się obecnych [oficerów sowieckich] oczyma – bodaj kapitan, rozejrzawszy się po przedpokoju i podeście – sprowadził mnie do ubikacji, w której stanął tuż za mną. A zatem aresztowanie było faktem".

eprasa.pl a3741fa136

W budynku spędzili noc. Rankiem 28 marca zaczęto ich wypytywać o nazwiska, pochodzenie, przynależność partyjną. Jak na przesłuchaniu. Potem dostali śniadanie i wodę do mycia. Każdy osobno, od razu ich bowiem rozdzielono.

„Około wpół do 11-tej rozwarły się nagle drzwi i do pokoju wkroczyła cała gromada epoletowych oficerów wyższych stopni, a na ich czele Iwanow na cywila w cyklistówce – zapisał Pużak. – Przywitawszy się z uśmieszkiem, zaznaczył, że niestety projektowana na dziś, tj. środę, konferencja z naszym udziałem nie odbędzie się, gdyż jesteśmy we trójkę, tj. ja, Delegat i Okulicki, zaproszeni do Moskwy, gdzie z kim należy, odbędziemy rozmowy".

Gdy wsiadali do samolotu na warszawskim Okęciu, Pużak dalej miał ze sobą cztery bułki, które kupił, gdy jechał na spotkanie z Iwanowem-Sierowem.

W raporcie o zatrzymaniu pierwszej trójki Sierow pisał do Berii: „Istnieje możliwość, że jutro uda się zebrać w całości wszystkich członków »Rady Jedności Narodowej«".

TRZEBA SIĘ ZAPREZENTOWAĆ

„Piękny był ranek 28 marca", zapamiętał Zbigniew Stypułkowski, działacz Stronnictwa Narodowego. Ponad pięć lat wcześniej w sowieckiej niewoli podał się za plutonowego, mimo że był podchorążym, dzięki czemu nie trafił do obozu w Kozielsku i nie został ofiarą mordu katyńskiego. „Słońce przygrzewało tak silnie, iż choć się w Polsce zima ledwo o tej porze kończy, narzuciłem na siebie tylko lekki płaszcz gumowy i ruszyłem w drogę do Pruszkowa (...). Kilku przyjaciół, wyraźnie zaniepokojonych, żegnało mnie silnym uściskiem dłoni. Obawiali się o mój los, choć na ogół nikt nie przewidywał, aby aresztowanie mogło nastąpić już w tym etapie pertraktacji".

Do Pruszkowa docierali też inni podziemni politycy. Niektórzy chcieli na tak ważnym spotkaniu dobrze się prezentować. „Kazimierz Bagiński – notował Stypułkowski – nie miał na sobie przyzwoitych butów. Uprosił więc żonę, która gdzieś się wystarała o nowe zamszowe buty i przywiozła mu je do Pruszkowa na stację.

Wdział przy nas nowe buty, a stare zostawił u sprzedawcy gazet na dworcu, mówiąc, iż przyjdzie je odebrać mniej więcej za dwie godziny".

Mimo obaw i niepewności co do losu trzech towarzyszy, którzy dzień wcześniej pojechali na spotkanie, wszyscy zgodnie z planem przyszli do willi. Sowieccy oficerowie ich powitali, a oni przedstawili się po kolei, ujawniając swoje funkcje w podziemiu. Gospodarze zapewnili ich, że Jankowski, Okulicki i Pużak znaleźli wspólny język z Iwanowem. Przez cały dzień zwodzono ich, że oficjalne rozmowy zaczną się później, bo muszą poczekać na – jak relacjonował Stypułkowski – Żukowa, który właśnie rozpoczyna ofensywę.

Z willi przewieziono ich do podwarszawskich Włoch, do kilkupiętrowego domu otoczonego drutem kolczastym. Tam enkawudziści zabawiali ich rozmową, odwracając uwagę od upływającego czasu, tam spędzili noc, podczas której byli pilnowani przez oficera. Stypułkowski zorientował się, że zostali aresztowani.

Rankiem 29 marca Sowieci oznajmili, że polska delegacja zostanie przetransportowana do – zależnie od relacji – Żukowa albo Iwanowa-Sierowa. Ponieważ muszą jechać natychmiast, nie mogą wrócić do domów i powiadomić rodzin. Ale Sowieci znają ich adresy, więc się tym zajmą. Potem samochodem i pod strażą – towarzyszył im m.in. wóz pancerny – pojechali na Okęcie. Już w samolocie zorientowali się, że lecą na wschód. Wyjaśniono im, że przecież lepiej rozmawiać z samym Stalinem.

Jeden z sowieckich oficerów, widząc ich niepewne miny, rzucił szyderczo: „Czy w drogę tak daleką zabraliście, panowie, garść ziemi ojczystej?". ●

Kryształ Z BURAKA

Potomek francuskich hugenotów na wsi pod Wrocławiem uruchomił pierwszą na świecie cukrownię buraczaną.

Beata Maciejewska

„A kiedy cię pocałuję, trzy dni w gębie cukier czuję" – twierdził Jan Kochanowski. W jego czasach znano tylko cukier z trzciny cukrowej. Był zamorskim luksusem, przysmakiem królów i lekarstwem dla chorych bogaczy. Do Europy wprowadzili go Arabowie, plantacje trzciny cukrowej istniały na Półwyspie Iberyjskim, na Krecie, Sycylii i Cyprze, a kupcy weneccy i genueńscy tuczyli się na imporcie cukru z Bliskiego Wschodu.

O ile w średniowieczu traktowano cukier jako drogą przyprawę dodawaną do zup, pieczeni, ryb czy sosów, o tyle w czasach nowożytnych stał się składnikiem deserów, więc popyt rósł. Po odkryciach geograficznych można go było zaspokoić, wielkie połacie Nowego Świata pokryły plantacje trzciny cukrowej, a sztuka gastronomiczna zyskała nowe specjalizacje – cukiernika i konfiturnika.

SKARB POD KLUCZEM

Cukier sprzedawany był w stożkowatych, kilkukilogramowych bryłach, a przechowywano go pod kluczem, żeby osoby niepowołane – dzieci i służba – nie dostały się do cennego przysmaku.

Nie tracił powabu luksusu. Kahał żydowski próbował za pomocą głowy cukru zapewnić sobie przychylność Stanisława Augusta Poniatowskiego, gdy ten w 1784 roku zajechał do Kobrynia. Nie wiadomo, czy inwestycja się opłaciła, ale Kornel Makuszyński twierdził, że „cukrem można zdobyć nie tylko człowieka, ale i każde inne bydlę".

Ale każdy luksus prędzej czy później znajduje tańszą konkurencję i cukier trzcinowy też ją znalazł, a stało się to dzięki berlińskiemu chemikowi Andreasowi Sigismundowi Marggrafowi.

Sądząc z portretów, wyglądał jak asceta, który nigdy nic słodkiego do ust nie wziął, ale cukier bardzo go interesował. Przez kilka lat prowadził eksperymenty z burakami i w 1747 roku udało mu się wyodrębnić cukier w stanie krystalicznym. Biznes nie zwietrzył wtedy swej szansy, odkrycie Marggrafa poszło do lamusa na prawie 40 lat. Niewykluczone, że zadziałał układ, czyli lobby związane z handlem trzciną cukrową i jej rafinacją.

WYDUSIĆ CUKIER Z BURAKA

Uczeń Marggrafa, Franz Karl Achard (albo François Charles, był synem francuskiego pastora) okazał się utalentowanym fizykiem, chemikiem, biologiem oraz ostatnią ofermą biznesową. Na szczęście zdołał sobie zapewnić przychylność władzy – najpierw króla pruskiego Fryderyka Wielkiego, a potem Fryderyka Wilhelma III. Z królewskiej kiesy dostał tyle, że w majątku pod Berlinem opracował metodę produkcji buraczanego cukru i w styczniu 1799 roku wręczył królowi Fryderykowi Wilhelmowi III dwie cukrowe głowy.

Ryzyko eksperymentu podjęła rafineria w Jeleniej Górze, o czym napisał w sierpniu 1800 roku w liście do brata John Quincy Adams, przyszły prezydent USA, który podróżował po Śląsku: „Najciekawsza rzecz, jaką nam pokazali, to rodzaj nowego cukru produkowanego z buraków, o którym ci już wspominałem w jednym z listów. Zrobili tutaj z niego kilka głów; zewnętrznie wygląda jak najdrobniejszy cukier z trzciny, ale nie ma tak zwartej konsystencji i nie jest tak słodki w smaku. Przed dwoma miesiącami przesłali jego próbkę (dwie głowy) Królowi, który uprzejmie podziękował i przesłał elegancki złoty medal jako nagrodę za ich pracowitość. Dżentelmen, który nam towarzyszył, jeden z dyrektorów Towarzystwa [rafineria była spółką], zapewniał nas, że można produkować ten cukier dwa razy taniej, niż kosztuje cukier z Indii Zachodnich. Z kwintala tej jarzyny mogą wydobyć tylko cztery funty cukru".

Achard w 1799 roku wydał w Berlinie „Abhandlung über die Bereitung des Zuckers" (Traktat o przygotowaniu cukru z buraków), w 1801 kupił folwark Konary (Cunern) między Ścinawą i Wińskiem, a rok później zaczął pierwszą na świecie kampanię cukrowniczą.

PIERWSZA KAMPANIA

Linię produkcyjną zbudował w dwóch murowanych budynkach parterowych. W pierwszym był magazyn buraków i stanowisko do płukania z ujęciem wody. Umyte buraki tarto na specjalnych tarkach, a potem wsypywano do worków i umieszczano w prasach. W drugim znajdowały się klarownie, w których filtrowano sok, a we dworze urządzono warzelnię. Z soku produkowano syrop, poddawany następnie rafinacji w Jeleniej Górze i Wrocławiu, a z odpadów destylowano procentowe trunki.

Sukcesu finansowego Achard jednak nie odniósł. Anglicy rzucili się na ratunek swojej trzciny cukrowej i zaproponowali interes: Achard opublikuje artykuł dyskredytujący właściwości buraczanego cukru, oni zapłacą 200 tys. talarów. Achard okazał się odporny na korupcję. Choć

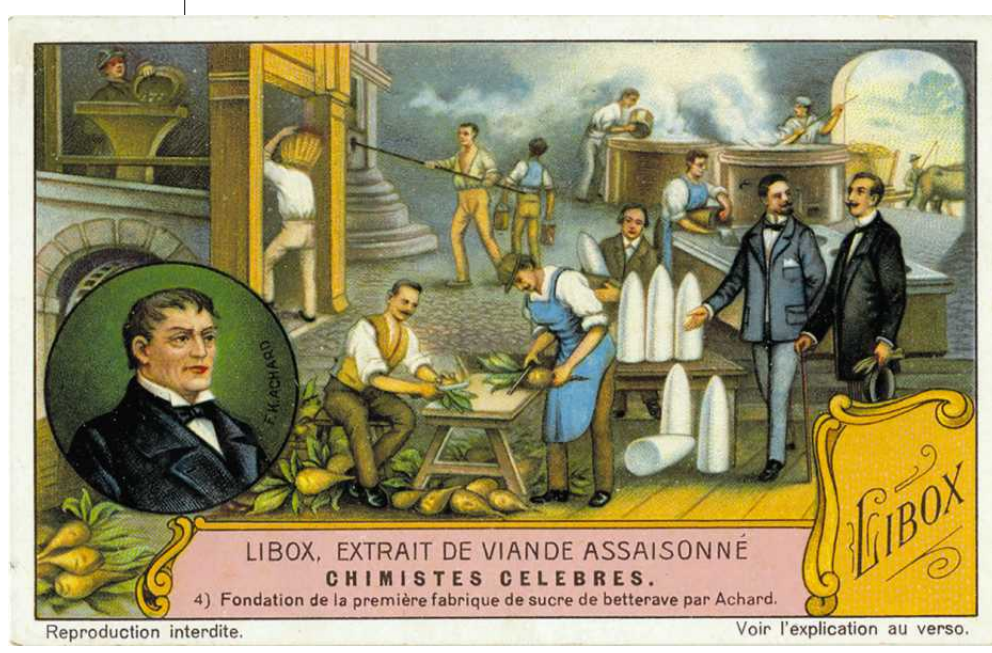

▼ **Reklama cukrowni braci Gustawa i Adolfa Liebichów, otwartej w 1835 roku w podwrocławskiej wówczas Klecinie**
FOT. SCIENCE HISTORY INSTITUTE

eprasa.pl a3741fa136

▶ **Wybudowany na cześć Gustawa Liebicha pomnik – Liebichshöhe, jedno z najpiękniejszych miejsc we Wrocławiu, które nosi dziś nazwę Bastion Sakwowy**
FOT. LIBRARY OF CONGRESS

▲ **Gustaw Liebich** FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

◀◀ **Franz Karl Achard, fizyk, chemik, cukrownik**

◀ **Henryk Łubieński, przemysłowiec, cukrownik i aferzysta**
FOT. BE&W; ZE ZBIORÓW MUZEUM ZIEMI AUGUSTOWSKIEJ

miał renty zaledwie 500 talarów rocznie – dostał ją od króla za badania tytoniu – odrzucił propozycję Anglików.

Buraczany interes Acharda skończył się w 1807 roku, w pierwszy dzień wiosny. Od przegrzanego i pękniętego komina zapaliło się pokrycie dachu głównego budynku. Spłonęły wszystkie budynki fabryczne, zmagazynowane towary i maszyny, zboże, pasza i słomę. Spaliło się 100 jagniąt.

Król pruski ponownie udzielił wsparcia, więc w 1812 roku Achard wybudował nową cukrownię, ale majątku na tym nie zrobił i umarł w biedzie.

PARYSKI WYSTĘP ŚLĄSKIEGO BURAKA

Miał już jednak następców, którzy za wszelką chcieli wycisnąć z buraka duże pieniądze. Jednym z pierwszych był przyjaciel Acharda, baron Moritz von Koppy, który w 1809 roku wybudował cukrownię w Krajnie pod Strzelinem. I odniósł nawet sukces, bo skorzystał na blokadzie kontynentalnej, którą napoleońska Francja zmontowała trzy lata wcześniej, zakazując państwom europejskim handlu z „perfidnym Albionem”. Wielka Brytania odpowiedziała embargiem na handel z Francją i jej sojusznikami, hamując tym w praktyce cały europejski handel zamorski i blokując Europejczykom między innymi dostęp do tytoniu, cukru i bawełny, więc burak wyrósł na zbawcę wielbicieli słodkości.

Ale blokada okazała się strzałem we francuską stopę, a gdy Napoleon zebrał baty w bitwie pod Lipskiem i trafił na Elbę, została zniesiona, więc burak znów musiał rywalizować z trzciną cukrową. Choć przegrywał, wciąż miał rzeszę zwolenników, którzy wierzyli, że odniesie sukces.

Cukrownie buraczane były początkowo skromnymi manufakturami właścicieli ziemskich. Proces produkcyjny był bardzo prosty: wypłukać buraki, zetrzeć, wycisnąć sok, oczyścić, zagęścić, wykrystalizować z niego sacharozę. Buraki pochodziły z własnych plantacji, w cukrowniach pracowali miejscowi chłopi, kapitał nie odgrywał dużej roli, bo nakłady były niewielkie. Ale burakiem zainteresowali się bankierzy, kupcy, przemysłowcy, innowacje technologiczne zamieniły manufaktury w fabryki cukru, a rządy wspierały nową gałąź przemysłu dotacjami i protekcyjnymi cłami.

Już nie kieraty i koła wodne, lecz maszyny parowe i prasy hydrauliczne zaczęły pracować w cukrowniach, a na polach dojrzewały odmiany buraków z większą zawartością cukru. Na Wystawie Światowej w Paryżu w 1855 roku furorę robił biały burak śląski, który miał 16 proc. zawartości cukru, czyli dorównywał współczesnym odmianom. Marggraf wyduszał cukier z buraka, który miał 3,6 proc. sacharozy, więc postęp był duży. Słodki biznes zaczął dawać pieniądze, a cukrownie rosły jak grzyby po deszczu. W 1836 roku pracowało na Śląsku 11 cukrowni, sześć lat później było ich już 21, a w połowie wieku – 28.

Ale rywalizacja z cukrem trzcinowym trwała ponad pół wieku, dopiero ok. 1880 roku producenci cukru buraczanego mogli powiedzieć, że są w stanie wyprodukować więcej. Warto się przyjrzeć pionierom słodkiego biznesu, bo podejmowali duże ryzyko i czasem przegrywali.

HRABIA POSPŁACAŁ DŁUGI

To przypadek hrabiego Henryka Łubieńskiego, który często jest wymieniany jako założyciel pierwszej cukrowni w Kongresówce. Miał ją uruchomić w 1826 roku w swoim majątku w Częstocicach koło Ostrowca Świętokrzyskiego, dzisiaj można tam zwiedzić Izbę Pamięci Cukrownictwa i obejrzeć przy okazji muralowy portret hrabiego.

W rzeczywistości Częstocice zaczęły pracować dopiero w 1840 roku, a pierwszą cukrownię uruchomił w 1829 roku w Izdebnie pod Grodziskiem Mazowieckim baron Pierre Galichet, były oficer napoleoński, do spółki ze szwagrem Piotrem Łubieńskim. Ale Henryk już w roku następnym zbudował cukrownię w Guzowie.

Dostał pożyczkę od Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji, zobowiązując się kształcić kadry dla przyszłych cukrowni oraz przekazywać wszystkim marzącym o własnej fabryce cukru plany i dobre rady. To miało być wzorcowe przedsięwzięcie organizowane z inicjatywy rządu i pod jego opieką i Łubieński spełnił oczekiwania, był znakomitym administratorem.

Buraki rosły na polach guzowskich, a uprawy uwzględniały wszystkie francuskie i niemieckie nowinki, więc zbierano 33 tony z hektara. Dzisiaj zbiera się średnio dwa razy tyle, a w ubiegłym roku wielu rolników chwaliło się w mediach społecznościowych, że mieli nawet 100 ton z hektara, ale trzeba uwzględnić prawie 200 lat zmian w rolnictwie. W pierwszej kampanii przerobiono zaledwie 12,3 t buraków, ale siedem lat później do cukrowni wjechały już 1843 tony. W cukrowni pracowały porządna maszyna parowa, prasy hydrauliczne i ponad setka pracowników, w tym kilkunastu Niemców.

Hrabia Łubieński był w Królestwie Polskim wiceprezesem Banku Polskiego, inicjatorem budowy kolei łączącą Warszawę z Zagłębiem Dąbrowskim, zakładał cukrownie, ale fajansarnię w Lubartowie, topielnię stali i fabrykę wyrobów żelaznych w Firleju, zakłady w Żyradowie, Starachowicach i Ostrowcu. Tuż przed wybuchem powstania listopadowego wraz z bratem Tomaszem otworzył przy Królewskiej w Warszawie wielki dom handlowy pod firmą Bracia Łubieńscy i Spółka. Udzielali kredytów ziemianom i handlowcom.

Prywatny majątek hrabiego urósł jak ciasto w dzieży, władze rosyjskie bardzo go ceniły, polska opinia publiczna widziała w nim męża opatrznościowego. Bomba pękła w 1842 roku, hrabia został aresztowany (razem z prezesem Banku Polskiego) pod zarzutem sprzeniewierzenia funduszów banku przez użycie ich na cele prywatne. Po sześciu latach śledztwa skazano go na cztery lata więzienia, z których rok odsiedział w twierdzy w Zamościu, a trzy pozostałe lata przebywał na przymusowym zesłaniu w Rosji.

Dobrze byłoby napisać, że polskiego geniusza biznesu chciał zniszczyć zaborca, ale, niestety, dokumenty potwierdzają fakt kilkakrotnego pożyczania środków z Banku Polskiego przez Towarzystwo Wyrobów Lnianych pod zastaw tych samych aktywów. A szefowie Banku byli jednocześnie filarami żyrardowskiej spółki, więc konflikt interesów jest oczywisty. Ale trzeba przyznać, że hrabia spłacił długi. Gustaw Plewako pisał w 1887 roku na łamach warszawskiego dwutygodnika „Niwa”: „Ale jeżeli Henryk Łubieński nie tylko nie może stanowić zdaniem naszym wzoru godnego naśladowania dla przemysłowców polskich ani tym mniej wzoru dla synów tej ziemi, którym przypadnie przewodniczyć wielkim czy to prywatnym, czy to rządowym instytucjom kredytowym, to natomiast daje on piękny przykład, jak trzeba ginąć z honorem, kiedy już ginąć przyjdzie”.

POMNIK WROCŁAWSKICH CUKROWNIKÓW

Taki upadek z biznesowego olimpu jest smutny, tym bardziej że

eprasa.pl a3741fa136

Łubieński po powrocie z zesłania nie wrócił już do gry, ale to nie znaczy, że cukrownictwo było interesem podwyższonego ryzyka, a kredyty prowadziły na zesłanie. W wielu przypadkach pozwalało zbudować ogromną fortunę. Tak się przynajmniej zdarzyło braciom Gustavowi i Adolfowi Liebichom, którzy w 1835 roku zbudowali w podwrocławskiej Klecinie buraczaną cukrownię. Pieniądz popłynął szeroką strugą, Liebichowie udzielali się jako obywatele w kulturalnych i charytatywnych towarzystwach.

W 1857 roku Gustav umarł, pięć lat później Adolf sprzedał Klecinę i przystąpił do swojej najgłośniejszej inwestycji: zamiany Bastionu Sakwowego w prywatny pomnik brata. XVI-wieczny bastion był już obsypany ziemią i zamieniony na wzgórze, w mieście płaskim jak stół takie miejsce jest bezcenne i prestiżowe. Liebich zaproponował władzom miejskim, że na własny koszt zabuduje wzgórze tak, że będzie wyglądać jak Eden. Topowy architekt Karl Schmidt zrobił mu projekt, mieszkańcy się zachwycili klasycystycznym belwederem z wieżą widokową w kształcie glorietty o wysokości 32 metrów, zwieńczoną posągiem Wictorii, z kolumnadą i fontanną oraz efektownymi schodami. Liebich wyłożył na to 71 tys. talarów, a budżet miejski wynosił ok. 30 tys. i zrzekł się na rzecz gminy pieniędzy z wynajmu pomieszczeń, za co dostał tytuł honorowego obywatela Wrocławia oraz nową nazwę wzgórza: Liebichshöhe. To do dzisiaj jedno z najefektowniejszych miejsc w mieście i choć nosi dziś nazwę Bastion Sakwowy, o Liebichach wszyscy pamiętają. Romantycy mówią, że to pomnik miłości braterskiej, a realiści – że pomnik cukrowników.

CUKIER KRZEPI

Cukrownicy nie dostawali jednak góry złota za samą produkcję, musieli jeszcze sprzedać towar. A w 20-leciu międzywojennym nie było to takie łatwe, przynajmniej w Polsce. Bo jak sprzedać cukier buraczany, jeśli trwa światowy kryzys z powodu nadprodukcji, cukier trzcinowy jest tańszy, a obywatele odrodzonej RP biedni i przyzwyczajeni przez wojenne braki do słodzenia sacharyną? Trzeba przekonać obywateli, że bez cukru nie wyżyją.

Według danych FAO (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa), statystyczny Polak zjada rocznie ok. 46 kg cukru, gdy tymczasem mieszkańcy Luksemburga spożywają tylko 10,8 kg, Cypru – 17,6 kg, a Bośni ok. 18 kg. W 1950 roku zjadaliśmy tylko 21 kg, w 2013 już 41 kg.

Słodycz nas zalewa, dietetycy biją na alarm, ale w II RP byłby to dowód patriotyzmu, bo cukier obłożono wysoką akcyzą i państwo było zainteresowane, żeby zasłodzić obywateli. Niestety dla budżetu, w 1924 roku konsumpcja cukru w Polsce wynosiła ok. 6,7 kg, więc rok później została powołana Komisja Propagandy Konsumpcji Cukru (KPKC), a lekarze, sportowcy, nauczyciele, artyści, a nawet harcerze połączyli swe siły, żeby przekonać Polaków: cukier to zdrowie.

Kampanię koordynowało powołane w 1930 roku Biuro Propagandy Konsumpcji Cukru, którym kierował Melchior Wańkowicz. Wymyślone przez niego hasło „cukier krzepi" przerabiano wprawdzie prześmiewczo na wiele sposobów („cukier krzepi, alkohol – pokrzepia, piwo – tuczy, tytoń – wzmacnia, sanacja – uzdrawia"), ale zwięzły slogan wchodził do głowy. Jedno jest pewne, Wańkowicza z pewnością cukier pokrzepił, bo za dwuwyrazowe hasło dostał honorarium w wysokości 5 tys. zł, w przeliczeniu na obecną walutę ok. 50 tys. zł. Starczyło na duży zapas cukru, kilogram kosztował wtedy 1,50 zł.

Przez kilka lat hasła cukrowniczej propagandy były dosłownie wszędzie i trudno było im się oprzeć. Bo jeśli lekarz przekonywał, że herbata z cukrem chroni przed alkoholizmem, a cukier w diecie żołnierzy poprawi sprawność bojową armii, to obywatel zaczynał wierzyć i jedyną barierą stawała się cena.

Zgodnie z tym, co głosił jeden z plakatów, „cukier należy do najtańszych pokarmów dla dzieci, czyni organizm odpornym na wszelkie choroby, jest odżywką sportową i daje energię młodemu pokoleniu, rozwija fizyczne siły naszej młodzieży". A ten kto „szczędzi na cukrze, traci na zdrowiu".

W 1928 roku na VII Zjeździe Cukrowników RP w Wilnie wystąpił Władysław Demby, prezes Banku Cukrownictwa i jeden z członków Komisji Propagandy Konsumpcji Cukru, który rok wcześniej podróżował po Danii, żeby się dowiedzieć, dlaczego Duńczycy jedzą ponad 50 kg cukru, a Polacy tylko 11 kg (krzywa poszła w górę przez te cztery lata). Wystąpienie zostało wydane drukiem, ale lektura może współczesnych lekarzy przyprawić o palpitacje serca.

Demby przekonywał, że cukier jest najtańszym źródłem energii, bo kilogram to ponad 4 tysiące kalorii i „jedynie kg bardzo nielicznych artykułów spożywczych jak słonina, masło, tłuste wędliny i.t.p wytwarza w organizmie więcej jednostek ciepła". Zdaniem dyrektora Banku Cukrownictwa, „wysokość spożycia cukru uzależniona jest od kultury i uprzemysłowienia kraju, od dobrobytu szerokich mas ludności i upodobania do słodyczy, od możności wreszcie, a zarazem skłonności tych mas do intensywnego odżywiania się". I z wyraźnym żalem relacjonował, że przeciętny Duńczyk siada do stołu co najmniej pięć razy dziennie, a jego kawa, owsianki, zupy mleczne są „w naszym pojęciu wprost przesłodzone". I pochwalił się, że jadł do mięsa ziemniaki odsmażone na cukrze zamiast na tłuszczu.

Zofia Zakrzewska, autorka książki „Cukier krzepi. Propaganda konsumpcji cukru w Polsce w latach 1925-1932", uważa, że dane liczbowe nie wskazywałyby na sukces kampanii reklamowej, gdyż w czasie najintensywniejszych działań propagandowych konsumpcja systematycznie spadała, od prawie 12 kg do 8,6 kg na osobę rocznie. Jednak od razu po zakończeniu kryzysu i obniżce cen cukru w 1936 roku spożycie zaczęło rosnąć. Pozostajemy w mocy buraka cukrowego i na razie nic tego nie zdołało zmienić. ●

Polecamy książkę

Rok przełomu w trzeciej rzeszy

Karlrobert Kreiten był wirtuozem fortepianu. Podczas wspólnej herbatki ze znajomą zadrwił z Hitlera. Doniosła na niego. Został powieszony.

Joanna Banaś

Gdy niemieccy żołnierze umierają pod Stalingradem z głodu i zimna, marszałek Hermann Göring przez kilka tygodni zajmuje się głównie przygotowaniami do swoich 50. urodzin.

Zastępca Führera nie lubi niespodzianek, więc u zaproszonych gości zawczasu zamawia prezenty – a to średniowieczną rzeźbę, a to kosz piknikowy Hermèsa z monogramem H.G. i luksusowym porcelanowym wyposażeniem. O meblach, obrazach, diamentach czy szlachetnych winach i cygarach nie ma nawet co wspominać. Ale jako że impreza urodzinowa odbywa się w ciężkich czasach, kelnerzy w białych liberiach podają 160 porcji zupy z kapusty. Spokojnie, na szampana i homary też przyjdzie czas.

Tak oto w 1943, przełomowym roku wojny, tragedia łączy się z groteską.

●

Oliver Hilmes, autor książki „Codzienność i groza. Trzecia Rzesza w 1943 roku", podzielił ją na rozdziały opisujące miesiąc po miesiącu rok, który zaczął się klęską pod Stalingradem. Joseph Goebbels w płomiennym przemówieniu ogłasza wojnę totalną. Na ekrany amerykańskich kin wchodzi „Casablanca", a do kin niemieckich zabawny „Münchhausen" – jedna z najdroższych produkcji filmowych Trzeciej Rzeszy. Rodzeństwo Sophie i Hansa Schollów umiera zgilotynowane za rozrzucenie antywojennych ulotek. Brytyjczycy bombardują Berlin, a Hamburg zostaje obrócony w perzynę wskutek lotniczej alianckiej operacji „Gomora". Pracę w KL Auschwitz zaczyna nowy lekarz obozowy dr Josef Mengele.

W całej Rzeszy brakuje budzików. Pewien górnik jest gotów zapłacić 500 marek za budzik, bo jego żona nie śpi w nocy, żeby obudzić go na poranną zmianę.

Czasopismo „Die Dame" tuż przez swoją likwidacją radzi czytelniczkom, by przerabiały sukienki na spódniczki. Przed berlińską kawiarnią pojawia się słoń. Ludzie opowiadają dowcipy, za które giną. Dziennikarze piszą obrzydliwości, których oczekują od nich władze, za co przez wiele lat po wojnie nikt ich nie rozliczy. Młoda piosenkarka Magda Hain dzięki kompozytorowi Gerhardowi Winklerowi zaczyna wielką karierę – w studiu na Kreuzbergu nagrywa szlagier „Capri Fischer" (Rybacy z Capri).

●

Hilmes nie unika znanych nazwisk, bo trudno pisać o codzienności hitlerowskich Niemiec bez wspomnienia Victora Klemperera, autora zapisków, które zaowocują po wojnie książką o języku Trzeciej Rzeszy, albo o nazistowskiej propagandzie bez Josepha Goebbelsa.

Norweski noblista pisarz Knut Hamsun spotyka się ze swoim fanem Goebbelsem i naraża się Hitlerowi. Niemiecki noblista Tomasz Mann na emigracji w Ameryce śledzi i krytycznie opisuje wydarzenia z Niemiec. Jak co roku w Bayreuth odbywa się Festiwal Wagnerowski, dyryguje szef Berlińskich Filharmoników Wilhelm Furtwängler, ulubieniec Hitlera. Kończy się życie 85-letniej wdowy po Maxie Liebermannie, wybitnym malarzu i grafiku pochodzenia żydowskiego zmarłym w 1935 roku.

Hilmes, z wykształcenia politolog i historyk, od lat pracuje w Fundacji Filharmoników Berlińskich, gdzie m.in. kieruje magazynem „Phil" i pisze biografie. Napisał książki o żonach wybitnych muzyków: Almie Mahler-Werfel i Cosimie Wagner, Ferencu Liszcie, królu Ludwiku II Bawarskim, a także o igrzyskach olimpijskich w Berlinie z 1936 roku. W jego ostatniej książce, która właśnie ukazała się po polsku, łączą się jego zainteresowania muzyką i nazistowskimi Niemcami.

●

Głównym bohaterem opowieści o roku 1943 uczynił bowiem młodego, ale już nagradzanego pianistę Karlroberta Kreitena, który właśnie wtedy padł ofiarą mordu sądowego z powodu swobodnej wypowiedzi kwestionującej zdrowie psychiczne Hitlera i przewidywanie nieuchronnego końca wojny. Fatalne komentarze wyszły z jego ust podczas przedpołudniowej herbatki z dawną przyjaciółką jego matki. Było to 17 marca przed południem. Zadenuncjowany przez nią, 3 maja o 8 został aresztowany w Heidelbergu, dokąd przyjechał, by dać koncert. Śledzimy jego losy w areszcie, obserwujemy, jak ćwiczy grę na sucho, bo nuty utworów ma w głowie, i kibicujemy państwu Kreitenom w ich staraniach o odzyskanie wolności przez syna, który przecież nie miał na myśli tego, co powiedział – jak go odwiedzają, wysyłają mu paczki, wynajmują kolejnych adwokatów. Wszystko na nic. 7 września o godz. 22.50 funkcjonariusz berlińskiego więzienia Plötzensee odnotował śmierć Kreitena po kilkuminutowej agonii na katowskim sznurze. Dwa miesiące później rodzice powieszonego pianisty dostaną do zapłacenia rachunek za jego uwięzienie i egzekucję – opiewał na 639,20 reichsmarek.

Książkę kończy informacja, że nagranie nokturnu Chopina w wykonaniu Kreitena z 1934 roku zawiera zdanie wypowiedziane przez pianistę. Odszukałam je w internecie. I kiedy usłyszałam ów głos „z cudownym nadreńskim zaśpiewem", przeszły mnie ciarki.

Oliver Hilmes stworzył panoramę Niemiec w momencie, w którym defetyzm państwo uznało za zbrodnię i bezwzględnie karało, fanatyczni zwolennicy reżimu nie cofali się przed żadną podłością, a tylko nieliczni opozycjoniści, świadomi ryzyka, decydowali się na bohaterskie czyny. Warto ją przeczytać właśnie teraz, wczesną wiosną 2025 roku, jeszcze zanim z okazji 80-lecia zakończenia II wojny zaczniemy przypominać sobie ostatnie dni nazistowskich Niemiec, bo świetnie pokazuje, konsekwencją jakich czynów była owa klęska. ●

Oliver Hilmes

„Codzienność i groza. Trzecia Rzesza w 1943 roku"
Tłum. Eliza Borg
Wydawnictwo Marginesy

1 RP

eprasa.pl a3741fa136

Jasne strony dziejów

Era świra

„Żadna chyba epoka nie rozgrzeszała w takim stopniu z bezwstydu jak czasy dzisiejsze” – pisał przed wojną Antoni Słonimski.

Brzeziecki

Słynny film „Dzień świra” z Markiem Kondratem sprawił, że wielu ludzi poczuło się raźniej. Prawdziwą i praktyczną ulgę przyniosło natomiast wprowadzenie przez koleje wagonów ciszy. Oto wreszcie nie słuchamy o cudzym zdrowiu, problemach domowych i niezapłaconych fakturach. Choć hasło reklamujące wagony ciszy – bodajże „Sam na sam ze swoimi myślami” – mogło dla wielu brzmieć dość przerażająco.

Jest wiele zachowań społecznych, które wydają się nam dziwne, niepokojące, niebezpieczne, albo irytujące. Na przykład ostatnio zauważyłem grupę ludzi, którzy w popularnej sieci drogerii z lubością wpychają nos w różnego rodzaju detergenty i dezodoranty. Tak jakby nie był podany ich zapach na opakowaniu. Nie – taki człowiek musi odkręcić wieczko i wścibić tam nos. Niby nic złego – ale sama myśl, że miałbym się myziać pod pachą czyimiś smarkami, wprawia mnie w zły nastrój.

Człowiek idzie ulicą, obok niego drugi – i głośno mówi, gestykuluje. Do nas, nie do nas? Dawniej takiemu schodziło się z drogi. Teraz to biznesmen załatwiający przez telefon ważne sprawy – ma słuchawki bezprzewodowe. Żaden wariat. Chyba że my wszyscy już zwariowaliśmy.

Często padają komentarze, że kiedyś – bez tej całej techniki – było lepiej. Mieliśmy więcej czasu i spokoju, a ludzie kierowali się etykietą, a nie netykietą, która oznacza po prostu brak kultury. Ale czy naprawdę kiedyś było lepiej? I kiedy było to „kiedyś”, skoro już teksty z Sumeru pełne są utyskiwań na głupotę i upadek obyczajów.

Na wielu stokach narciarskich w Polsce dudniło radio. Kontakt z przyrodą oznaczał kontakt z dżinglami, mrożącymi krew w żyłach informacjami i reklamami. Teraz jest lepiej, choć coraz większa moc głośniczków bezprzewodowych sprawia, że od dźwięku ciężko się uwolnić (w „Panu Samochodziku” już dekady temu było urządzenie ściszające wszystkie radia w pobliżu – czy każdy ORMO-wiec takie miał?).

A jednak bywało gorzej! Przedwojenne felietony Antoniego Słonimskiego pełne są skarg na ówczesne czasy. „Żyjemy w epoce ośmielonego głupstwa (...) głupstwo, byle śmiało idące z duchem epoki, może liczyć na powodzenie” – pisał Słonimski i dodawał innym razem: „żadna chyba epoka nie rozgrzeszała w takim stopniu z bezwstydu jak czasy dzisiejsze”.

Chodziło głównie o politykę, ale weźmy też utyskiwania dotyczące zgiełku: „Tu w Zakopanem wydani jesteśmy na żer gigantofonów. Rano na Gubałówce głośnik wyje tango. Jest godzina dziesiąta. (...) Idzie człowiek na obiad do »Jędrusia«: w trzech małych klitkach ryczy radio. Na Kondratowej, na Kasprowym – wszędzie wyje, zawodzi i łka jakaś szmatława melodia”.

I jeszcze jeden cytat: „radio słychać ze wszystkich stron. Ryczy w ogródku, wyje u sąsiadów, wydziera się na ulicy. Oczywiście, radio ma swoje dobre strony. Posiada wielkie znaczenie dla nauki i jej popularyzacji, bywa przyjemnością i może odegrać poważną rolę wychowawczą. Ale jako przyjemność musi być kameralne”.

Autor „Kronik tygodniowych” nie miał złudzeń – szum wezbranej głupoty dogoni nas na szczytach górskich i zagłuszy wrzaskiem radia na środku oceanu.

Dziś narzeka się na quady rozjeżdżające z rykiem nasze góry i lasy, wtedy Słonimski pisał: „jeśli nie gra radio, ryczy samochód albo motocykl strzela nam w uszy straszliwą kanonadą”. Poetę zbulwersował fakt, że „pewien szaleniec” wjechał motorem na Kasprowy Wierch i szybko znalazł naśladowców.

Gdy w Polsce pojawiły się multipleksy, oznaczało to nie tylko koniec dawnych kin, ale także inwazję popcornu – z jego zapachem i odgłosami konsumpcji, w tym siorbania przez rurkę resztek coli. Ale i w czasach Skamandrytów kino nie było wolne od „klęsk, utrapień i nieszczęść czyhających na człowieka”. Co wówczas przeszkadzało w skupieniu obejrzeć (niemy) w film? Otóż „straszną zmorą jest sąsiad w kinie, który głośno czyta napisy”.

W przededniu wojny (felieton ukazał się już z datą 3 września 1939 roku), gdy Berlin eskalował napięcie, Słonimski zalecał: „jeśli mamy wygrać wojnę nerwów, szanujmy własne nerwy”. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz publicysta

Antypolityka historyczna

O chłopach polemicznie

Nie wydaje mi się, że nędza chłopska wynikała z pańszczyzny

Janowski

Czytam ostatnio o historii wsi pańszczyźnianej – i narasta we mnie sprzeciw wobec tego popularnego obrazu, który koncentruje się wyłącznie na negatywach. Nie chodzi mi o kwestię niebywałej nędzy; akurat ta część obrazu jest, niestety, prawdziwa. Wieś polska bardzo długo, do drugiej połowy XIX wieku, żyła na granicy przetrwania; w roku przeciętnym jakoś szło, ale gdy zdarzył się zły – zarazy, wojna, szarańcza, powódź, itp. – pojawiał się głód. Chodzi mi co innego.

Po pierwsze nie wydaje mi się, aby ta nędza wynikała z pańszczyzny. Świat był wielokroć uboższy niż dziś i w nędzy żyła ogromna większość jego mieszkańców. Polska i Europa Środkowo-Wschodnia były regionem zacofanym, toteż i nędza była większa. Pańszczyzna była objawem zacofania gospodarczego (przy słabym obiegu pieniężnym czynsz w formie odpracowania bywał korzystniejszy niż czynsz w pieniądzach), a nie jego przyczyną.

Po drugie zaś, zapomina się o samorządzie wsi pańszczyźnianej. Chociaż pan mógł uchylić wyroki sądu wiejskiego, na ogół zostawiał sądowi wolną rękę. Skład sądu – wójt i przysięgli – teoretycznie pochodził z nominacji pańskiej, ale w praktyce (jak podkreśla badacz dziejów wsi Tomasz Wiślicz) pan często godził się na wybory, bo zależało mu, aby sąd miał we wsi autorytet.

Jeśli był sąd, to było i prawo, a ten fakt zamyka dyskusję o niewolnictwie chłopów. Wystarczy przejrzeć wiejskie księgi sądowe, których większość stanowią sprawy majątkowe – dziedziczenie, zamiany, spory o ziemię. Niewolnik nie ma własności i nie dziedziczy.

Klarowna opozycja wolni/niewolni wywodzi się z prawa rzymskiego i w ogóle nie ma zastosowania do systemu prawnego wsi; systemu, wywodzącego z owych praw barbarzyńskich, o których pisał Karol Modzelewski w swej wspaniałej książce „Barbarzyńska Europa”. W tym systemie nie ma pełnych wolnych i pełnych niewolników. O chłopach mówi się „poddani” – był to status pośredni między wolnością a niewolą.

Wewnętrzne życie wsi reguluje gromada – zebranie wszystkich, albo tylko bogatszych, chłopów. Ogranicza ona swobodę jednostek, ale za to tworzy nad nimi rodzaj parasola. Dzięki niej wieś nie jest zbiorem atomów, ale strukturą, z która pan musi się liczyć.

Z ksiąg sądowych bije poczucie dumy i godności. Wielokrotnie wieś określa sama siebie jako „rzeczpospolita”. To słowo oznaczało każdą zbiorowość zorganizowaną politycznie – Rzeczą Pospolitą była szlachta zebrana na Woli pod Warszawą dla obioru króla, i rzecz pospolitą stanowili gospodarze zebrani w karczmie, aby wybrać wójta i przysięgłych. Wybierali zaś wójta – czytamy w jednej z ksiąg sądowych – „libera voce”, swobodnym głosem („Na chłopski rozum. Wiejskie akta sądowe nowożytnych Ołpin...”, Warszawa 2024, s. 337).

To jest wspaniałe świadectwo wpływu szlacheckiej kultury politycznej na życie wsi. W pewnym sensie gromada jest odpowiednikiem sejmiku. Francuski historyk Fabrice Mouthon opublikował w 2014 roku pracę o wspólnotach chłopskich średniowiecznej Europy, której podtytuł brzmi: „Nowa historia polityczna średniowiecza”. W odniesieniu do polskiej wsi ta „nowa historia” (u nas raczej czasów wczesnonowożytnych) pozostaje do napisania.

Różni badacze (m.in. Jaśmina Korczak-Siedlecka) podkreślają chłopskie poczucie honoru. Podobnie jak u szlachty honor ten dotyczył zarówno jednostki jak i rodu – stąd zjawisko wróżdy, czyli zemsty rodowej, zwłaszcza za morderstwo. Wróżdę z reguły zażegnywano rozbudowaną procedurą pojednania, która pozwalała zachować honor współrodowcom zamordowanego, a chroniła od śmierci zabójcę. Drakońskie kary, które widzimy w różnych przepisach, często nie były więc wykonywane. Pan wsi się cieszył, bo nie chciał tracić pracowników. W XVII, a zwłaszcza XVIII wieku problemem nie był brak ziemi, lecz brak ludzi – a to dawało chłopom niezłą pozycję przetargową. Zawsze mogli uciec do innego pana, a możliwości ścigania były raczej iluzoryczne.

Nie chodzi o to, aby jeden przesadny i jednostronny obraz zastąpić drugim, lecz aby go zniuansować; aby pokazać obok obszarów niewoli obszary (względnej) wolności, obok poddaństwa – sprawczość, a także kreatywność w dziedzinie kultury. Jeśli ziszczą się nadzieje, rozbudzone przez nowe badania historyków, których tylko kilkoro przykładowo wymieniłem, to doczekamy się może zupełnie innej historii chłopów w dawnej Rzeczypospolitej. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX wieku

eprasa.pl a3741fa136

SKRZYDLACI BRACIA

▲ Tadeusz

▲ Wiesław

▶ Zbigniew

▲ Jan

FOT. ARCHIWUM RODZINNE (4)

URBAŃCZYKOWIE

Czterech polskich lotników – mój ojciec Wiesław oraz jego bracia: Tadeusz, Zbigniew i Jan. Wszyscy przeżyli wojnę. Bez zadraśnięcia.

Przemysław Urbańczyk

Spróbowałem zrekonstruować ich wojenne losy, co okazało się trudne, bo żaden nie był zbyt wylewny, a dokumentów zachowało się niewiele. Jedynie Jan spisał niektóre fakty ze swojego życia. O pozostałych zachowały się jakieś strzępy informacji i niewyraźne zdjęcia w rodzinnych albumach. Konkretów jest mało, a niektóre informacje sprzeczne. Na pewno część z nich można uzupełnić, docierając do wojennych archiwów.

Wojna zastała rodzinę Urbańczyków w Białymstoku, dokąd Stefania i Władysław przenieśli się parę lat wcześniej z Piotrkowa Trybunalskiego. Niewielki dom przy Podleśnej 7, w którym zamieszkali z córką i czterema synami, przetrwał do dziś jako ostatnia „plomba pamięci" między nowymi blokami a budynkiem Filharmonii Białostockiej.

We wrześniu 1939 roku najstarsi z braci – Tadeusz (rocznik 1916) i Zbigniew (1918) – od paru lat byli już w lotnictwie. Tadeusz, skupiony i systematyczny, był genialnym mechanikiem, czasem latał w załogach bombowców – zapewne „Łosi". Zbigniew, żywiołowy, z „niewyparzoną gębą", dopiero co skończył Kurs Wyższego Pilotażu w Grudziądzu, był początkującym pilotem w eskadrze myśliwskiej.
Na początku 1939 roku Zbigniew dostał przydział do 162. Eskadry Myśliwskiej 6. Pułku „Lwów". Latał na przestarzałych już PZL P-7a, których w jednostce było i tak o połowę mniej niż pilotów. W przeddzień wojny eskadra przeniosła się na prowizoryczne lotnisko polowe na przedmieściach Łodzi. Od rana 1 września trwały walki, były pierwsze zestrzelenia, a także ofiary.

3 września kapral Urbańczyk wbrew rozkazom zapuścił się nad terytorium wroga. Wracając, w okolicach Radomska strącił zwiadowczego henschela 126. Musiał się jednak ratować przed pościgiem, lądując w przygodnym terenie. Dopiero wieczorem wrócił na swoje lotnisko, gdzie uznano go już za zaginionego.

Szczegóły tej eskapady nie są znane, ale według naocznego świadka sierżanta Karola Surmy, mechanika 162. eskadry: „Maszyna

eprasa.pl a3741fa136

wyglądała strasznie, kadłub posiekany jak tarka, nie było 10 cm miejsca na kadłubie wolnego od pocisku, jedynie skrzydła były całe. […] Maszyna nadawała się do muzeum, nie było w niej nic, co by można wymontować. Nawet karabiny maszynowe były zniszczone”. I tylko pilot wyszedł bez szwanku!

Dwa dni później jednostka zaczęła przebazowanie na lotnisko pod Grójcem. Zbigniew z kolegami wycofali tam trzy ocalałe samoloty RWD-8 – przy czym znów nie obyło się bez awaryjnego międzylądowania w polu. Ale dotarli do celu. Okazało się jednak, że tylko po to, by za chwilę ponownie wskoczyć do kabin myśliwców.

Zbliżającą się do lotniska kolumnę samochodów transportowych eskadry zaatakowały trzy heinkle He-111, byli zabici i ranni. Polacy poderwali trzy myśliwce – podobno walka była krótka. Dwa niemieckie bombowce zwaliły się na ziemię, trzeci odleciał, ciągnąc za sobą smugę dymu. Zbigniew zaliczył strącenie; za udział w tych walkach został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Tymczasem resztki eskadry wycofywały się na kolejne lotniska, aż za Lwów. A po sowieckim ataku 17 września dostały rozkaz ewakuacji powietrzem i lądem do Rumunii.

MECHANIK „NA SŁUCH”

A co wiadomo o Tadeuszu?

We wrześniu ’39 służył w 1. Pułku Lotniczym, z którym zapewne był przerzucany z lotniska na lotnisko – ze wschodu na zachód i z powrotem w chaotycznej próbie odparcia wroga. Samoloty pułku zapewne bombardowały niemieckie kolumny, prowadziły nierówne walki, cofały się przed linią frontu.

17 września pułk Tadeusza również dostał rozkaz przelotu do Rumunii. Stamtąd, jak wielu innych pilotów i członków obsługi, przedostał się przez Francję do Anglii. Tam podjął służbę jako instruktor w 18 OTU (Operational Training Unit), gdzie przygotowywał polskie załogi lekkich bombowców.

Nie wiadomo, czy już wtedy potrafił „na słuch” zidentyfikować każdy problem z silnikiem, ale na pewno wkrótce doprowadził tę sztukę do perfekcji.

JEDEN LIST OD OJCA

W październiku 1939 roku Białystok zajęli Sowieci. Rodzina żyła w przekonaniu, że Tadeusz i Zbigniew polegli. Dopiero po pewnym czasie nadeszły wiadomości z Rumunii. W domu zostali – z matką, siostrą, babką i ciotkami – dwaj młodsi bracia: Wiesław (rocznik 1921) i Jan (1926). Rodzinną pasję do samolotów realizowali dotąd wyłącznie w konkursach modelarstwa.

Ojciec, Władysław, we wrześniu 1939 również został zmobilizowany, z wojny wrócił, ale jako urzędnika państwowego na kolei aresztowało go NKWD. Skazany na 8 lat robót pojechał do kopalni na Uralu. Rodzina nie wiedziała, co się z nim działo, do domu dotarł tylko jeden list od niego.

Przed świtem 20 czerwca 1940 roku rodzina dostała kilka godzin na spakowanie i w bydlęcym wagonie pojechała na Syberię. Po miesięcznej podróży znaleźli się w malutkiej osadzie Askat nad rzeką Katuń w Kraju Ałtajskim, prawie 200 km od najbliższego miasta, Bijska.

Okolica piękna i dzika, góry ciągnęły się aż po horyzont, a zimą temperatura regularnie spadała poniżej minus 40 st. C. Wiesław i Jan pracowali tam przy wyrębie lasu. Po latach, mimo niechęci do „Ruskich”, miejscowych, z których część również została zesłana, wspominali ciepło.

POLACY W AFRYCE

W tym czasie w Wielkiej Brytanii Tadeusz szkolił załogi lotnicze pod Nottingham, a Zbigniew, na wschodzie kraju, trenował na angielskich myśliwcach. W lipcu 1940 roku miał tam groźny wypadek w hawker hurricane, być może zawiniły trudności językowe albo brawura – nie wiadomo. Znów wyszedł z opresji cało, tyle że zamiast znaleźć się dywizjonie bojowym i walczyć w pierwszej fazie Bitwy o Anglię, dostał przydział do transportu powietrznego w 1. Aircraft Delivery Unit (Jednostka Dostarczania Samolotów) w Afryce.

Po dodatkowym przeszkoleniu 40 Polaków dotarło w styczniu 1941 roku lotniskowcem HMS „Furious” do Takoradi na Złotym Wybrzeżu (dziś Ghana). Ich zadaniem było przerzucanie samolotów do Kairu. Niełatwe loty trwały około tygodnia, wymagały trudnych międzylądowań w Nigerii, Czadzie, środkowej Afryce i Sudanie. Na tej trasie podczas wojny zginęło aż 23 polskich pilotów, ich groby rozsiane są od Lagos przez Chartum do Kairu.

Zbigniew przeżył i został włączony w skład stacjonującego w Libii 112. Dywizjonu Myśliwskiego RAF zwanego „The Shark Squadron” (Dywizjon Rekinów) – od charakterystycznych zębatych pysków malowanych na amerykańskich kittyhawkach (Curtis P-40). 14 marca 1942 r. w rejonie Gazali zestrzelił włoski myśliwiec Macchi MC.202.

ODNALEZIENI

Wiadomość o formowaniu Armii gen. Władysława Andersa dotarła do osady Askat w Kraju Ałtajskim bardzo późno. Po nieudanym i szczęśliwie nieodkrytym zamachu na sadystycznego obozowego nadzorcę, który miał zginąć pod toczącymi się pniami drzew, Wiesław postanowił uciec i zaciągnąć się do polskiego wojska. Na skradzionym koniu dotarł do odległego Bijska, w czym pomogła mu miejscowa Rosjanka, której imię i nazwisko będzie pamiętał jeszcze 70 lat później.

W lipcu 1942 r. stanął przed komisją rekrutacyjną i dostał przydział do 6. Lwowskiej Dywizji Piechoty formowanej w Szachrisabz w Uzbekistanie. Na miejscu jednak zachorował na malarię. Przeżył, ale nie wszyscy mieli takie szczęście – z trudów i chorób umarło w Szachrisabzie ponad 250 osób.

W październiku 1942 r. dywizja została ewakuowana ze Związku Radzieckiego, najpierw do Persji, potem do Iraku i Palestyny. Prawdopodobnie tam Wiesław odnalazł ojca, któremu udało się wydostać z łagru i również dołączyć do Armii Andersa. Przejdzie z nią później szlak przez Włochy, ale bez syna, który wiedziony imperatywem latania, dostał zgodę na wyjazd z grupą młodych ochotników do Anglii. Długa podróż morska przyszłych lotników – z Basry przez Indie i Kapsztad – skończyła się na angielskim wybrzeżu dopiero w kwietniu 1943 roku.

W Anglii Wiesław zaciągnął się do Polskich Sił Powietrznych. Przeszedł szkolenie przerywane nawrotami malarii. Zwalczył ją dopiero końską dawką chininy. Gdy wrócił do zdrowia, trafił najpierw do polskiej szkoły lotniczej w Hucknall, gdzie chyba wciąż stacjonował jego starszy brat Tadeusz. Szkolił się tam na dwupłatowych samolotach Tiger Moth, a następnie przeniesiono go do Newton, gdzie latał na wysłużonych myśliwcach Hawker Hurricane. W sąsiedniej jednostce najpewniej odnalazł drugiego brata, Zbigniewa, który wrócił już z Afryki do Anglii.

W Szkocji, po szkoleniu na spitfire’ach, w lutym 1943 roku Zbigniew dołączył do polskiego 306. Dywizjonu Myśliwskiego „Toruńskiego”. Jednostka zajmowała się osłoną bombardujących III Rzeszę bombowców. Zbigniew latał nad Niemcy do końca września, a już w 1944 roku, po kolejnym szkoleniu, został w Newton instruktorem w polskiej 16. Flying Training School.

JANEK JEDZIE DO BERLINGA

Latem 1943 roku do Kraju Ałtajskiego dotarła wiadomość o tworzeniu nowej polskiej armii, tym razem pod nadzorem komunistów i dowództwem gen. Zygmunta Berlinga. Po ucieczce Wiesława Urbańczyków na szczęście nie spotkały kłopoty, choć po wyjściu Armii Andersa z ZSRR na Polaków spadły represje. Sytuacja nawet trochę się poprawiła, bo z górskiego przysiółka przenieśli się do Bijska.

Stamtąd najmłodszy z braci, Jan, wyruszył z dwoma kolegami do Sielc nad Oką, gdzie formowano polskie wojsko.

Dotarli tam – wyczerpani i wygłodzeni – po trzech tygodniach podróży na gapę pociągami towarowymi. Na bramie wisiał napis: „Witaj żołnierzu tułaczu”, a zza lasu dobiegała pieśń „Marsz, marsz Polonia…”. Warunki były trudne – na dworze ostry mróz, a kwatery wyznaczono im w ziemiankach. Zostali przydzieleni do 7. Pułku III Dywizji im. Romualda Traugutta. Jan, jak wielu innych chłopaków, żeby dostać się do armii, dodał sobie dwa lata.

Rok później, w 1944 roku, był już w Lublinie, gdzie tworzył się właśnie „rząd” PKWN. W pierwszych miesiącach 1945 roku znalazł się na lotnisku Mokre pod Zamościem, gdzie powstała Szkoła Lotnicza Wojska Polskiego. W kwietniu przenieśli się do reaktywowanej Wojskowej Szkoły Pilotów w Dęblinie. Trenowali tam na radzieckich samolotach szkoleniowych UT-2, a później na bombowcach nurkujących Pe-2. Oba te samoloty miały poważne wady konstrukcyjne, które kilku z kursantów przypłaciło życiem. Jan również otarł się o śmierć, ale ukończył szkolenie. Był jednym z pierwszych siedmiu powojennych absolwentów dęblińskiej Szkoły Orląt.

PODZIELENI PRZEZ WOJNĘ

Po wojnie Tadeusz zakończył służbę jako sierżant RAF, a jego ostatni zarejestrowany przydział to 305. Dywizjon Bombowy „Ziemi Wielkopolskiej”. Został dwukrotnie odznaczony Medalem Lotniczym.

Zbigniew dosłużył się starszego sierżanta, a oprócz Krzyża Walecznych trzykrotnie został uhonorowany Medalem Lotniczym. .

Wiesław, dzięki staraniom starszych braci, którzy przyznali się do tego dopiero po wojnie, nie trafił na front. Bojąc się o jego życie, załatwili mu kolejny kurs pilotażu, na ciężkich bombowcach, dzięki czemu uniknął służby w jednostce bojowej. Już po pokonaniu III Rzeszy dostał przydział do 305. Dywizjonu Bombowego, w którym służył też Tadeusz. Służbę skończył jako sierżant RAF zdemobilizowany w październiku 1946 roku. Również był odznaczony Medalem Lotniczym.

Jan wiosną 1946 r. dostał promocję na pilota wojskowego. W kolejnych latach kilkukrotnie był bliski śmierci, przeżył m.in. dwa awaryjne lądowania z bombami w lukach. W wypadkach stracił kilku kolegów z jednostki. Po kolejnych przydziałach i awansach w lipcu 1950 roku został dowódcą eskadry bombowców nurkujących w Malborku, a potem w Bydgoszczy, gdzie zamieszkał na stałe.

Dzięki staraniom Jana we wrześniu 1946 roku Stefania Urbańczyk ze swoją matką, siostrami i córką wróciły z Ałtaju do domu w Białymstoku. Na szczęście wcześniej odmówiły przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Niedługo później z Anglii wrócił ojciec, Władysław.

Rodzina nigdy jednak nie spotkała się już w całości, choć wszyscy przeżyli wojnę. Ich drogi się rozeszły, podzieliły ich żelazna kurtyna, polityka i własne sprawy.

Najstarszy, Tadeusz, ożenił się z Angielką i został „rasowym” Brytyjczykiem – Stephenem Morlandem, inżynierem lotnictwa. Aż do emerytury latał jako mechanik w liniach lotniczych, a jego hobby było kolekcjonowanie licencji na wszystkie cywilne samoloty w Wielkiej Brytanii. Podobno po pewnym czasie egzaminatorzy, widząc go, od razu odkładali niepotrzebne pytania, by pogawędzić o pogodzie lub powspominać wojnę. Do Polski przyjechał na krótko dopiero w 1983 roku, potem jeszcze raz, w latach 90. Pamiętam go jako dystyngowanego dżentelmena w dobrym angielskim stylu. Zmarł w 1999 roku w Alton niedaleko Londynu.

Zbigniew również został w Anglii, ale nie zerwał kontaktu z polskością ani z Polonią. Jako Edward Urban zamieszkał z żoną Angielką koło Blackpoolu. Produkował najpierw trumny, potem meble, aż wreszcie został zatrudniony na kierowniczym stanowisku w znanej firmie meblarskiej. Oprowadził mnie po niej w 1970 roku. Polskę odwiedził z rodziną w sierpniu 1969 r., ale szybko wyjechali wystraszeni inwazją wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Zmarł w 1986 roku w Blackpoolu z powodu choroby płuc, której nabawił się, latając zbyt wysoko bez tlenu. Jego trzy córki co jakiś czas odwiedzają kraj ojca.

SPROWADZENI NA ZIEMIĘ

Mój ojciec, Wiesław, w połowie 1947 roku w ślad za swoim ojcem wrócił do Polski, gdzie wkrótce ożenił się z poznaną jeszcze na Syberii moją matką, Ireną Dolińską. Wedle rodzinnej tradycji to moje babki, Stefania i Zofia, jeszcze podczas syberyjskiej zsyłki zawiązały „spisek” w celu połączenia swoich dzieci. W PRL ojciec bezskutecznie próbował dostać się do lotnictwa czy choćby zapisać do aeroklubu. Skończył studia w warszawskiej SGH, ale fatalny życiorys sprawił, że mógł dostać pracę tylko jako ślusarz, dorabiał też jako fotograf.

Dopiero po odwilży 1956 roku został przyjęty do Biura Handlu Zagranicznego „Społem”. Jako że uparcie odmawiał zapisania się do PZPR, to nawet mimo unikatowej wówczas znajomości angielskiego nie zrobił tam większej kariery. Dopiero na początku lat 80., w czasie solidarnościowej rewolucji, na krótko został dyrektorem departamentu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Zmarł w Warszawie w 2013 roku.

Najmłodszemu, Janowi, dobrze zapowiadającą się karierę wojskową przerwały stalinowskie czystki i nieodpowiednia rodzina. W listopadzie 1952 roku na własną prośbę odszedł do cywila, by uniknąć represji. Zatrudnił się jako konstruktor w firmie produkującej maszyny budowlane, skończył studia w poznańskiej Akademii Handlowej i Politechnikę Poznańską. Na fali październikowej odwilży w 1957 roku zaproponowano mu powrót do wojska, ale odmówił. Przez wiele lat pracował na wysokich stanowiskach w branży budowlanej, kierował m.in. inwestycjami w Iraku i Kuwejcie, zdobył wiele patentów. Działał też w organizacjach kombatanckich, dziwiąc się ich liczebności: „Gdybyśmy w czasie wojny mieli tylu żołnierzy, bylibyśmy najpotężniejszą armią świata” – pisał.

Został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w 2001 roku, już na emeryturze, awansowany na podpułkownika. Do końca życia jako jedyny w rodzinie dobrze, choć nie bezkrytycznie, oceniał PRL. Zmarł w Bydgoszczy w 2018 r.

Ich najmłodsza siostra, Danuta, pozostała w stojącym wciąż rodzinnym domu w Białymstoku. Dziś ma 97 lat.

Żadne z dzieci „skrzydlatych braci” nie kontynuowało lotniczej tradycji. Ja też nie, tym bardziej że odziedziczona po kądzieli wada błędnika utrudniała mi w dzieciństwie nawet podróże samochodem, a samoloty nigdy mnie nie fascynowały. Nie miałem też żyłki ryzykanta, w przeciwieństwie do moich synów, z których jednego przygarnęły góry, a drugiego morze. Niezwykła „mutacja lotnicza” w skoncentrowanej formie wystąpiła więc tylko w jednym niezwykłym pokoleniu naszej rodziny. ●

eprasa.pl a3741fa136

weekendówka 148

SIĘ NOSI

Nie wierzę w życie pozagrobowe, ale i tak zawsze zabieram ze sobą bieliznę na zmianę" – mawia Woody Allen.

Dziś noszenie jej jest oczywistością, jest tym elementem garderoby, bez którego – z reguły, od której są wszak wyjątki! – nie wyobrażamy sobie wyjścia z domu. Bielizna już dawno przestała być zresztą li tylko odzieniem, które ma chronić nasze wierzchnie ubrania od zabrudzenia czy zapewniać nam dodatkowe ciepło czy komfort.

Słowo bielizna, jak czytamy w Wielkim Słowniku Języka Polskiego – może pochodzić od prasłowiańskiego słowa bělizna, które oznaczało coś, co jest białe, biel. Angielskie słowo lingerie, oznaczające szczególnie bieliznę damską, pochodzi zaś od francuskiego słowa lin, czyli „len".

Ale bielizna to wcale nie wymysł Francuzów, bo coś pod spód zakładali już starożytni. Pierwszymi sztukami bielizny były rzecz jasna przepaski biodrowe, które często okazywały się też jedynym elementem garderoby, zwłaszcza, jeśli mówimy o krajach z ciepłym klimatem. Archeologowie dokopali się nawet do resztek skórzanych przepasek sprzed 7 tysięcy lat!

Pierwsze biustonosze pojawiły się zapewne w starożytnej Grecji i Rzymie. Greczynki nosiły apodesmos, Rzymianki zaś strophium – był to rodzaj przepaski na piersi, który generalnie miał paniom ułatwić uprawianie sportu (choć pierwszy „oficjalny" sportowy stanik powstał dużo później, w 1977 roku, za sprawą trzech miłośniczek joggingu – Hindy Miller, Polly Smith i Lisy Lindahl).

Mądrzy starożytni opracowali też subigaculum, które już nieco bardziej przypominało majtki. Mieszkańcy Hawajów w wiekach dawnych mieli swoje malo, Japończycy zaś – fundoshi.

W średniowieczu przepaski zastąpiły braies – najczęściej dłuższe, do połowy łydki sięgające gatki, które z czasem uległy skróceniu.

W modzie damskiej przez setki lat dominowały gorsety. W 1859 roku pierwszy model biustonosza opracował Amerykanin Henry Lesher. Pod koniec XIX wieku Francuzka Hermine Cadolle rozpłatała nożycami gorset, pozostawiając sznurowany dół w talii i rozciętą na miseczki górę. Wreszcie w 1913 roku pewna młoda dziewczyna z Nowego Jorku, Mary Phelps Jacobs zszyła ze sobą dwie chusteczki i w ten sposób powstało „caresse crosby" – mniej więcej znany nam do dziś stanik.

Majtki, jakie znamy dziś, to też stosunkowo młody wynalazek – takie, które znamy dziś, można datować na początek XX wieku.

A skoro już wylądowaliśmy w czasach współczesnych, to zdradzamy, że dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy rzecz jasna bieliźnie. A to za sprawą Święta Polskiej Bielizny, które od roku 2019 przypada na 29 marca właśnie. Niech się święci!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

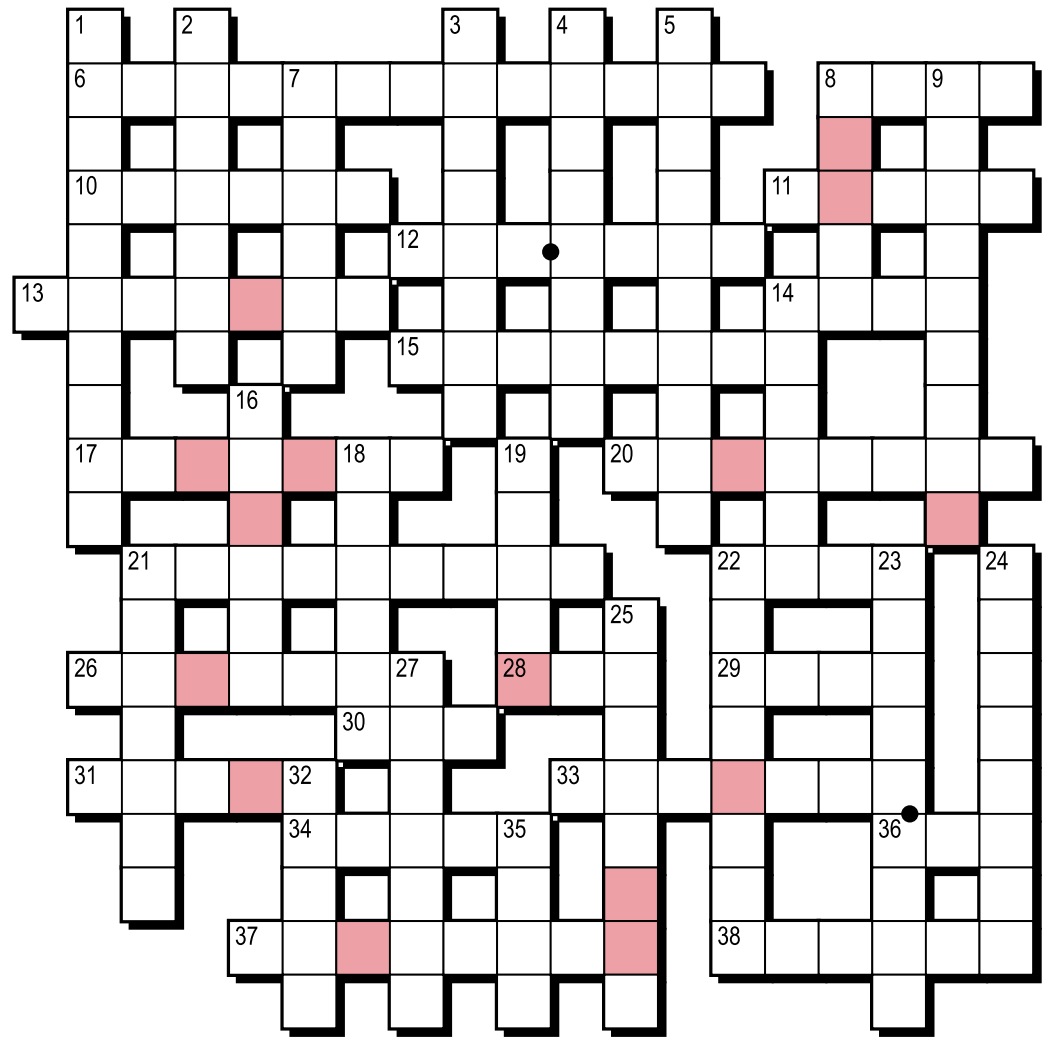

Od Redakcji: Tydzień temu („Weekendówka nr 147) w haśle 10) pionowo pytaliśmy o morszczuka, tymczasem w diagramie powinny być dwa określenia: 10) mors i 21) huk (decybele wodospadu). Za pomyłkę przepraszamy.

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 147 z 22.03:

Poziomo: 3) wazon, 6) port morski, 11) okapnik, 12) jezioro, 13) spryskiwacz, 14) Instytut, 15) wścieklizna, 19) egzorcysta, 22) szalupa, 23) Nautilus, 26) Afryka, 27) kleik, 28) lato, 32) zabiegi, 34) Nazaret, 35) WOPR, 38) wodniacy, 39) zimna, woda, 41) barwa, morza, 42) Rów, 43) ryż, 44) łódka, 45) lejek, 46) oaza, 47) żyły, wodne.

Pionowo: 1) filtrowanie, 2) stanice, 3) wanna, 4) zakaz, 5) Niagara, 7) oceanografia, 8) triatlon, 9) okręt, 10) mors, 13) Stasiuk, 16) Kształt, 17) igloo, 18) napój, 20) Canal, Grande, 21) huk, 24) tlen, 25) licznik, 29) grunty, 30) pojazd, 31) tramwaje, 32) zawory, 33) budowla, 36) ryba, 37) dopływ, 39) zęza, 40) miraż.

HASŁO:
MOKRA ROBOTA

BIELIZNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
6) przestarzale i żartobliwie o kalesonach
8) ... wystawowe butiku z bielizną
10) z ramiączkami lub bez
11) np. bieliźniarka z półkami do przechowywania bielizny
12) sklep, w którym można zaopatrzyć się w bieliznę erotyczną
13) potocznie o roznegliżowanych paniach ze świerszczyków (miau)
14) wsunięta w rajstopy, podkolanówkę
15) bulwersują opinię publiczną (w co ona się ubrała!)
17) majteczki typu paseczki
20) odzież spodnia
21) przestarzale: utrzymywanie w czystości czyjejś bielizny (zapewnić wikt i ...)
22) wzór utworzony przez układ otworów
26) ... lekarski (proszę się rozebrać)
28) obraz lub zdjęcie kojarzące się z negliżem
29) miejsce zszycia kawałków tkaniny (pończochy ze ...)
30) krótka, obcisła bluzeczka damska
31) Frank, reżyser filmu z określenia 22 pionowo
33) lekki kaftanik damski wkładany na nocną bieliznę
34) czas relaksu, opalania się, kąpieli w basenie
36) nie lubimy, gdy zagnieździ się w garderobie
37) „ringowe" majtki męskie
38) oblekana poszewką (bielizna pościelowa)

Pionowo:
1) dobrany przez brafitterkę
2) przestarzale: niekompletne ubranie; negliż
3) modelowana pasem wyszczuplającym, ciasno związanym gorsetem
4) niewymowne
5) spędzanie wolnego czasu nad wodą, zwykle w skąpym stroju
7) króciutkie majtki męskie
8) może polecieć w pończosze
9) stosowana jako środek owadobójczy przeciw 36 poziomo
14) bardzo swobodny strój domowy
16) „Śmierć w ...", piosenka Republiki
18) obcisły, usztywniany fiszbinami albo prętami
19) „Halka" Stanisława Moniuszki
21) damski kostium plażowy
22) „... i stare koronki", komedia filmowa z 1944 r.
23) pokaz z aniołkami Victoria's Secret
24) nocna – do spania
25) rozbieranka w klubie nocnym
27) damski kostium kąpielowy niezakrywający piersi
32) Piers Anthony, ... powieści fantasy „Barwa jej bielizny"
35) zestaw skarpetek

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617
MAGAZYN wyborcza
szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

1 RP

eprasa.pl a3741fa136